

MARGARET

ATWOOD

KAMIENNE  
POSŁANIE



 WIELKA LITERA

MARGARET  
**ATWOOD**  
KAMIENNE  
POSŁANIE

Alphinlandia

---

Zamarzający deszcz sączy się w dół, garście migotliwego ryżu rzucanego przez niewidocznego gościa weselnego. Wszędzie, gdzie spada, krystalizuje się w granulowaną warstwę lodu. W świetle latarni ulicznych wygląda pięknie, niczym srebrny pył wróżek, myśli Constance. To dla niej typowe: chętnie daje się oczarować. Piękno jest złudzeniem, ale także przestrogą: ma mroczną stronę, jak jadowite motyle. Powinna raczej rozmyślać o zagrożeniach, ryzyku, smutku, jakie burza lodowa przyniesie wielu ludziom; w zasadzie już przynosi, jeśli wierzyć wiadomościom telewizyjnym.

Telewizor z płaskim ekranem HD kupił Ewan, żeby oglądać mecze hokejowe i piłkarskie. Constance wołała stary, z dziwnie pomarańczowymi ludźmi i nieostrym obrazem, który lubił falować i zanikać; pewne rzeczy nie wypadają dobrze w *high definition*. Nie podobają się jej pory skóry, zmarszczki, włoski w nosie, nienaturalnie wybielone zęby podtykane tuż pod nos, przez co nie można ich zignorować jak w prawdziwym życiu. To tak, jakby zmuszano człowieka do pełnienia funkcji czyjegoś lustra powiększającego w czyjejś łazience; przeglądanie się w tych lustrach rzadko bywa przyjemne.

Na szczęście prezenterzy prognozy pogody stoją daleko cofnięci. Zajęci swoimi mapami wykonują zamaszyste gesty rękoma jak kelnerzy w filmach z lat trzydziestych czy iluzjoniści, którzy lada chwila ukażą widzom unoszącą się w powietrzu kobietę. Patrzcie! Ogromne połacie bieli rozkwitają na całym kontynencie! Tylko spójrzcie, jak daleko sięgają!

Program przenosi się w plener. Dwoje młodych komentatorów – chłopak i dziewczyna, oboje w stylowych czarnych parkach z aureolami jasnego futra wokół twarzy – kulą się pod ociekającymi deszczem parasolami, gdy samochody suną za nimi powoli, wycieraczki pracują mozolnie. Komentatorzy nie kryją podniecenia, mówią, że nigdy nie widzieli czegoś podobnego. Oczywiście, że nie, są za młodzi. Później na ekranie pojawiają się ujęcia katastrof: karambol, padające

drzewo miażdży fragment domu, splątane przewody elektryczne runęły pod ciężarem lodu i żałośnie iskrzą, pokryte warstwą lodu samoloty stoją porzucone na lotnisku, wielka ciężarówka złożyła się wpół, przewróciła na bok i dymi. Na miejscu wypadku są karetka pogotowia, wóz straży pożarnej, pracownicy w strojach przeciwdeszczowych: ktoś został ranny, na ten widok serce zawsze bije szybciej. Na ekranie pojawia się policjant z wąsami pobielonymi przez kryształki lodu, surowo upomina ludzi, by nie wychodzili z domów.

– To nie żarty – mówi telewizor. – Nie sądźcie, że dacie radę żywiolom!

Zmarszczone, oszronione brwi policjanta mają szlachetny wygląd, jak na plakatach wojennych z lat czterdziestych. Constance pamięta te plakaty albo tak jej się wydaje. Możliwe, że przypomina sobie tylko książki historyczne, wystawy muzealne czy filmy dokumentalne: tak trudno jest precyzyjnie umiejscowić wspomnienia.

Na koniec drobny akcent patetyczny: widać zabląkanego, na wpół zamarzniętego psa otulonego w różowy dziecięcy kocyk. Skostniałe z mrozu niemowlę bardziej by się nadawało, ale z braku laku pies wystarczy. Dwoje młodych komentatorów układa twarze w wyraz „och, jaki słodki!”, dziewczyna poklepuje psa, który słabo merda przemoczoną ogonem.

– Szczęściarz z niego – mówi chłopak.

Program sugeruje, że jeśli nie zachowa się ostrożności, można podzielić los psa, tyle że nie zostanie się uratowanym. Chłopak zwraca się do kamery i przybiera poważny wyraz twarzy, choć widać, że w życiu lepiej się nie bawił. To jeszcze nie koniec, zapowiada, ponieważ burza wciąż nie uderzyła z pełną siłą! Jak to zwykle bywa, w Chicago jest znacznie gorzej. Zostańcie z nami!

Constance wyłącza telewizor. Przechodzi przez pokój, przyciemnia lampę, potem siada przy oknie, patrzy w rozświetlaną przez latarnie uliczne ciemność, obserwując, jak świat przeistacza się w diamenty: gałęzie, dachy, rurociągi – wszystko lśni i migocze.

– Alphinlandia – mówi na głos.

– Będziesz potrzebowała soli – mówi jej Ewan na ucho.

Za pierwszym razem, kiedy się do niej odezwał, zaskoczył ją, wręcz zaniepokoił – przecież od co najmniej czterech dni nie żył, i to jak najbardziej namacalnie – teraz jednak Constance już się tym tak nie przejmuje, choć Ewan

bywa nieprzewidywalny. Cudownie jest słyszeć jego głos, choć nie może liczyć na rozmowę. Jego wtręty najczęściej są jednostronne: jeśli Constance odpowiada, on nie zawsze się odzywa. Ale przecież tak mniej więcej było między nimi.

Nie wiedziała, co począć z jego ubraniami. Początkowo zostawiła je w szafie, ale wytrącało ją z równowagi, kiedy otwierała drzwiczki i widziała kurtki i garnitury czekające, aż ciało Ewana wślizgnie się w nie i wyprowadzi je na spacer. Tweedowe spodnie, wełniane swetry, kraciaste koszule robocze... Nie mogła oddać ich biednym, co przecież byłoby rozsądne. Nie mogła ich wyrzucić: to byłoby nie tylko marnotrawstwo, ale i działanie zbyt raptowne, jak zerwanie opatrunku. W końcu spakowała ubrania i schowała w kufrze na drugim piętrze, przekładając je naftaliną.

W ciągu dnia jest niezłe. Ewan chyba nie ma nic przeciwko temu, a jego głos, kiedy się pojawia, brzmi mocno i pogodnie. Energiczny głos, który mówi, co ma robić. Głos podobny do palca wskazującego: „Idź tam, kup to, zrób tamto!”. Głos nieco drwiący, droczący się, obracający wszystko w żart: właśnie tak się do niej zwracał, zanim zachorował.

W nocy jest jednak inaczej. Ostatnio dręczą ją koszmary: z kufra dobywają się łkanie, żalosne skargi, prośby o uwolnienie. Na progu domu pojawiają się ludzie obiecujący, że są Ewanem, ale to nieprawda. Groźni ludzie w czarnych trenczach. Czegoś żądają, ale Constance nie rozumie czego, nalegają, by zobaczyć się z Ewanem, wpychają się obok niej do domu wyraźnie żądni mordy.

– Ewana nie ma – mówi błagalnie, choć z kufra na drugim piętrze dobiegają przytłumione wołania o pomoc. Kiedy ludzie w czarnych płaszczach ciężko wstępują na schody, Constance się budzi.

Rozważała środki nasenne, ale wie, że prowadzą do uzależnienia i bezsenności. Może powinna sprzedać dom i przeprowadzić się do kondominium. Ten pomysł forsowali podczas pogrzebu obaj chłopcy, którzy nie są już chłopcami i mieszkają na tyle daleko, w Nowej Zelandii i we Francji, że nie muszą odwiedzać jej za często. Synów poparły w całej rozciągłości energiczne, lecz taktowne żony, które odniosły sukces zawodowy – chirurg plastyczna i księgowa – tak więc były cztery głosy przeciwko jednemu. Mimo to Constance twardo obstawała przy swoim. Nie może porzucić domu, ponieważ jest w nim Ewan, chociaż miała dość rozumu, by im o tym nie mówić. Synowie i tak zawsze uważali, że psychika Constance

balansuje na krawędzi z powodu Alphinlandii, chociaż kiedy podobne przedsięwzięcie staje się dochodowe, przestaje wydawać się szalone.

Kondominium jest eufemizmem na dom starców. Constance nie ma tego synom za złe: chcą tego, co najlepsze dla matki, a nie tylko tego, co dla nich najprostsze. W pełni zrozumiały, że poczuli się zaniepokojeni chaosem, jaki zobaczyli zarówno w samej Constance – choć potraktowali ją ulgowo, bo przecież przeżywała żałobę – jak i, dla przykładu, w lodówce. Znaleźli tam produkty, których obecności nie dało się wyjaśnić w ramach zdrowego rozsądku. „Cóż za bagno”, wprost słyszała ich myśli. „Wszystko skąpane w jadzie kielbasianym, to cud, że się nie pochorowała”. Oczywiście nic takiego jej nie groziło, ponieważ w tych ostatnich dniach prawie nie jadła. Tylko krakersy, ser, masło orzechowe prosto ze słoika.

Synowe podeszły do całej sprawy z najwyższym współczuciem.

– Chcesz to zachować? A co z tym?

– Nie, nie chcę tego! – zawodziła Constance. – Wszystko wyrzucicie!

Trójkę wnucząt, dwie dziewczynki i chłopca, wysłano na poszukiwanie niedopitych kubków herbaty i kakao – jakby to były jajka wielkanocne – pozostawionych przez Constance w całym domu, pokrytych teraz szarym lub jasnozielonym nalotem pleśni w rozmaitych stadiach rozwoju.

– Spójrz, *maman!* Znalazłam jeszcze jeden!

– Faj, ale ohyda!

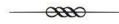
– Gdzie jest dziadek?

W domu starców miałyby przynajmniej towarzystwo. Poza tym spadłby z jej barków ciężar odpowiedzialności, ponieważ dom taki jak jej wymaga utrzymania, troski, a czemu miałyby się nadal tym zajmować? Taki właśnie pomysł przedstawiły jej synowe. Constance mogłaby zacząć grać w brydża, Scrabble czy tryktraka, który ponoć znów stał się popularny. Nic stresującego, obciążającego umysł. Jakaś gra towarzyska.

– Jeszcze nie – odzywa się głos Ewana. – Jeszcze nie musisz tego robić.

Constance wie, że ten głos nie jest prawdziwy. Wie, że Ewan zmarł. Oczywiście, że o tym wie! Inni ludzie – inni ludzie niedawno okryci żałobą – przeżyli to samo lub coś podobnego. To zjawisko nosi nazwę omamów słuchowych. Czytała o tym. To normalne. Nie postradała zmysłów.

– Nie postradałaś zmysłów – pociesza ją Ewan. Potrafi być taki czuły, kiedy sądzi, że Constance cierpi.



Ewan ma rację co do soli. Już na początku tygodnia powinna była zaopatrzyć się w jakąś substancję topiącą lód, ale zapomniała – jeśli teraz jej nie zdobędzie, zostanie uwięziona we własnym domu, bo do jutra ulica zmieni się w lodowisko. A jeśli warstwa lodu nie roztopi się przez wiele dni? Constance zostałaby jedną z ofiar podawanych w statystykach – stara samotna kobieta, wychłodzenie, głód – ponieważ, jak już zauważył Ewan, nie może żyć samym powietrzem.

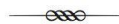
Będzie musiała wyprawić się z domu. Nawet jedna torba mieszanki solnej wystarczy, żeby posypać schody i uchronić przed śmiertelnym wypadkiem gości, nie mówiąc o niej samej. Constance wiąże nadzieję ze sklepem na rogu, oddalonym tylko o dwie przecznice. Sól z pewnością będzie sporo ważyć, musi więc wziąć czerwoną wodoszczelną torbę na kółkach. Jedynie Ewan prowadził samochód, prawo jazdy Constance straciło ważność kilkadziesiąt lat temu, kiedy Alphinlandia tak ją pochłonęła, że uznała, iż jest zbyt roztargniona, żeby prowadzić. Alphinlandia jest niezwykle absorbująca. Wyklucza poboczne szczegóły, takie jak znaki drogowe.

Już teraz musi tam być niezła ślizgawka. Jeśli faktycznie wyruszy, może skreślić kark. Stoi w kuchni niezdecydowana.

– Co robić, Ewanie? – pyta.

– Weź się w garść – odpowiada stanowczo.

Mało to pomocne, ale tak właśnie odpowiadał na pytania, kiedy nie chciał, żeby go przycisnęła do muru. „Gdzieś ty się podziewał. Zamartwiałam się, miałeś wypadek? Weź się w garść. Czy ty mnie naprawdę kochasz? Weź się w garść. Masz romans?”.



Poszperawszy w kuchni, znajduje dużą torebkę strunową, wyrzuca z niej trzy okłapłe marchewki, które wypuściły pędy, a potem małą mosiężną szufelką kominkową nasypuje popiołu z kominka. Odkąd Ewan przestał być obecny w widocznej postaci, nie rozpałała kominka, nie wydawało jej się to właściwe.



Rozpalanie ognia jest aktem odnowy, rozpoczęcia, a ona nie chce rozpoczynać, lecz kontynuować. Nie, chce wrócić.

Wciąż jest tam sterta drewna i rozpałki, na kracie kominkowej nadal leżą na wpół spalone polana po ich ostatnim wspólnym ogniu. Ewan, łysy po chemioterapii i naświetlaniach, spoczywał na sofie, obok stał ohydny napój odżywczy o smaku czekoladowym. Constance otuliła go kraciastym kocem z samochodu i usiadła, ujmując go za rękę, ze łzami płynącymi po twarzy, odwróconej tak, by Ewan nie widział. Nie chciała martwić go własnym smutkiem.

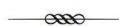
– Miło – zdołał powiedzieć.

Trudno mu było mówić, głos miał równie słaby jak ciało. Teraz jednak mówi innym głosem. Znow normalnie, jak dwadzieścia lat temu, donośnie i dźwięcznie, zwłaszcza gdy się śmieje.

Constance wkłada płaszcz i buty, znajduje rękawiczki z jednym palcem i którąś z wełnianych czapek. Pieniądze, będzie ich potrzebować. I klucze od domu – głupio byłoby zamarznąć na własnym progu. Kiedy staje przed drzwiami z torbą na kółkach, Ewan mówi:

– Weź latarkę.

Wraca więc w butach do sypialni. Latarka leży na stoliku przy łóżku, pakuje ją do torebki. Ewan tak świetnie planuje. Constance nigdy nie pomyślałaby o latarce.



Schody werandowe pokrywa już lity lód. Posypuje je popiołem z plastikowego woreczka, chowa go do kieszeni i schodzi na dół bokiem, krok po kroku, przytrzymując się poręczy, a w drugiej ręce wlokąc za sobą torbę na kółkach, łup, łup, łup. Na chodniku otwiera parasol, ale nic z tego – nie zdoła zapanować jednocześnie nad dwiema rzeczami – więc znow go składa. Posłuży się parasolem jak laską. Ostrożnie wychodzi na jezdnię – nie tak oblodzoną jak chodnik – i chwiejnie rusza środkiem, podpierając się parasolem. Nie ma samochodów, więc przynajmniej nie zostanie przejechana.

Wyjątkowo oblodzone fragmenty jezdni posypuje popiołem, zostawiając za sobą niewyraźny czarny ślad. Może zdoła po nim wrócić, jak przyjdzie co do czego. Coś podobnego mogłoby się pojawić w Alphinlandii – tajemniczy, kuszący ślad czarnego popiołu niczym połyskujące białe kamienie w lesie czy okruchy chleba – tyle że tam z popiołem wiązałoby się coś jeszcze. Trzeba by znać wiersz czy frazę,

bo tylko jej wymówienie utrzymałoby w ryzach złowrogą moc popiołu. Ale żadnego: z prochu powstałeś, w proch się obrócisz, nic związanego z ostatnią posługą. Raczej zaklęcie runiczne.

– Popioły, sokoły, cokoły, doły, stoły, woły – mówi, sunąc po lodzie.

Z popiołami rymuje się całkiem sporo słów. Będzie musiała włączyć popioły do opowieści lub do jednej z opowieści, bo pod tym względem *Alphinlandia* jest historią wielowątkową. Za tymi zaczarowanymi popiołami najpewniej stoi Milzreth Czerwona Ręka, jest to bowiem zdradliwy, przebiegły osiłek, lubiący się pastwić nad słabszymi. Chętnie zwodzi podróżnych halucynacjami, sprowadza ich z właściwej ścieżki, zamyka w żelaznych klatkach lub przykuwa do ściany złotymi łańcuchami, by następnie nękać przy pomocy włochatych skrzatów, cyjaneczek, ogniopstryków czy czego tam jeszcze. Milzreth lubi patrzeć, jak ich ubrania – jedwabne szaty, haftowane ornaty, podszyte futrem oponcze, lśniące welony – drą się na strzępy, a więźniowie ponętnie wiją się i błagają o litość. Po powrocie do domu będzie mogła to szczegółowo rozwinąć.

Milzreth ma twarz jej dawnego szefa z czasów, gdy pracowała jako kelnerka. Lubił klepać po tyłkach. Constance zastanawia się, czy czytał książki z jej serii.

W końcu dociera do pierwszej przecznicy. Może jednak wyprawa nie była najlepszym pomysłem: twarz ma zlaną potem, dłonie skostniałe z zimna, roztopiony śnieg sływa jej po szyi. Ale wyruszyła, musi więc doprowadzić rzecz do końca. Wdycha zimne powietrze, kuleczki lodu uderzają ją w twarz. Zgodnie z telewizyjnymi zapowiedziami wiatr się wzmacnia. Mimo wszystko burza ma w sobie coś orzeźwiającego, dodaje energii, zrywa pajęczyny, każe wdychać powietrze.

Sklep na rogu jest otwarty na okrągło, co ona i Ewan doceniali, odkąd zamieszkali w okolicy dwadzieścia lat temu. Na zewnątrz jednak w zwykłym miejscu nie widać worków z mieszanką solną. Constance wchodzi do środka, wlokąc za sobą torbę.

– Zostało trochę soli? – zwraca się do sprzedawczynie.

To nowa kobieta, Constance widzi ją po raz pierwszy, pracownicy zmieniają się tu często. Ewan mawiał, że sklep musi być pralnią pieniędzy, zważywszy na mały ruch i stan sałaty.

– Nie, kochana – odpowiada sprzedawczyni. – Wcześniej wszystko wykupili. Przypuszczam, że chcieli być zapobiegliwi.

Jej słowa sugerują, że Constance nie wykazała się zapobiegliwością, co jest prawdą. Ta ułomność towarzyszy jej przez całe życie: nigdy nie była przygotowana. Ale jak można czuć zachwyt, jeśli człowiek jest przygotowany na wszystko? Przygotowany na zachód słońca. Przygotowany na wschód księżyca. Przygotowany na burzę lodową. Jakież miałoby wtedy życie.

– Och – mówi Constance. – Nie ma soli. A to pech.

– Nie powinnaś wychodzić z domu, kochana – mówi sprzedawczyni. – Ta pogoda jest zdradliwa.

Chociaż ufarbowała włosy na czerwono i podgoliła na karku, wygląda najwyżej o dziesięć lat młodziej od Constance, a przy tym znacznie grubsza. Ja przynajmniej nie sapię, myśli Constance. Mimo to jest jej miło, że ktoś mówi do niej „kochana”. Kiedy była młodsza, często się tak do niej zwracano, ale potem przez wiele lat wcale. Obecnie często słyszy to słowo.

– Nic mi nie będzie – zapewnia. – Mieszkam tylko parę przecznic stąd.

– Parę przecznic to długa droga w taką pogodę – mówi sprzedawczyni, która pomimo wieku ma na szyi tatuaż. To chyba smok lub coś podobnego. Kolce, rogi, wylupiaste oczy. – Możesz sobie odmrozić tyłek.

Constance przyznaje jej rację, potem pyta, czy może zostawić przy ladzie torbę i parasol. Następnie pcha wózek sklepowy między półkami. Jest pusto, chociaż w jednej z alejek napotyka chudego młodzieńca, który wystawia puszkę soku pomidorowego. Constance bierze kurczaka, jednego z tych, które nieustannie obracają się na różnie niczym na obrazie przedstawiającym piekło, oraz paczkę mrożonego groszku.

– Żwirek dla kotów – odzywa się głos Ewana.

Czy to komentarz odnośnie do jej zakupów? Nie apróbował tych kurczaków, twierdził, że są pewnie nafaszerowane chemią, ale chętnie je jadł w czasach, gdy jeszcze w ogóle jadł.

– Co masz na myśli? – pyta Constance. – Już nie mamy kota.

Odkryła, że do Ewana musi się zwracać na głos, bo zazwyczaj nie potrafi czytać w jej myślach. Czasem jednak umie to robić. Jego umiejętności mają charakter przerywany.

Ewan nie wyjaśnia – strasznie lubi się z nią droczyć i często każe jej znajdować samej odpowiedź – ale nagle Constance pojmuję: skoro brakuje soli, ma posypać frontowe schody żwirkiem. Nie jest to idealne rozwiązanie, ale przynajmniej uzyska w ten sposób trochę tarcia. Ładuje do wózka torbę żwirku, dokłada dwie świece oraz pudełko zapalek. Proszę bardzo. Jest przygotowana.

Przy ladzie wymienia ze sprzedawczynią uprzejme uwagi na temat kurczaka z różną – kobieta sama go lubi, bo komu by się chciało gotować dla jednej czy nawet dwóch osób – potem pakuje zakupy do torby na kółkach, opierając się pokusie zapytania o smoczy tatuaż. Temat ten mógłby szybko doprowadzić do komplikacji, o czym Constance zdążyła się przekonać w ciągu tylu lat. W Alphinlandii żyją smoki posiadające licznych wielbicieli, którzy chętnie podzieliliby się z nią swymi wnikliwymi przemyśleniami. Wprost pałą się, by oznajmić, że powinna była inaczej opisać smoki. Na jej miejscu oni zrobiliby to w inny sposób. Pragną rozmawiać o smoczych podgatunkach. Wytykać błędy, jakie popełniła w temacie opieki oraz karmienia smoków, i tym podobne. Zdumiewające, jak bardzo ludzie mogą się podniecać czymś, co nie istnieje.

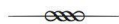
Czy sprzedawczyni podsłuchiwała jej rozmowę z Ewanem? Prawdopodobnie tak i najpewniej nic jej to nie obchodziło. W każdym sklepie całodobowym bywają klienci rozmawiający z niewidzialnymi towarzyszami. W Alphinlandii takie zachowanie odczytano by inaczej, ponieważ części tamtejszych mieszkańców ma chowanie.

– Gdzie dokładnie mieszkasz, kochana? – woła sprzedawczyni, gdy Constance przekracza próg sklepu. – Mogłabym wysłać esemes do przyjaciela z prośbą, żeby odprowadził cię do domu.

O jakim przyjacielu mowa? Może jest dziewczyną motocyklisty, myśli Constance. Może jest młodsza, niż Constance przypuszczała; może po prostu jest mocno zniszczona.

Udaje, że nie słyszy. To może być podstęp i zanim się obejrzy, członek gangu z taśmą klejącą w pogotowiu zechce wtargnąć do jej domu. Tacy ludzie mówią, że nawalił im samochód, proszą o możliwość skorzystania z telefonu i po chwili człowiek siedzi przymocowany taśmą do barierki, a tamci wbijają mu pod paznokcie szpilki, żeby zdradził hasło. Constance doskonale wie o tych sprawach: nie na darmo ogląda wiadomości.

Ślad z popiołu jest bezużyteczny – pokryła go tak gruba warstwa lodu, że Constance go nie dostrzega – i wiatr się wzmógł. Czy powinna już tutaj otworzyć torbę ze żwirkiem? Nie, do tego potrzebuje nożyczek lub noża, choć zazwyczaj torebki są zaopatrzone w sznureczek, za który wystarczy pociągnąć. Świeci latarką i zagląda do torby na kółkach, ale bateria musiała się wyczerpać, bo nic nie dostrzega w półmroku. Wlokąc tak ciężką torbę, może zmarznąć na kość, lepiej pędzić z powrotem. Chociaż „pędzić” nie jest chyba najtrafniejszym określeniem.



Lód wydaje się dwa razy grubszy niż wtedy, gdy wyruszała. Krzaki na trawniku przed domem wyglądają jak fontanny, połyskliwe listowie z gracją spływa kaskadą do ziemi. Tu i tam złamana gałąź częściowo blokuje ścieżkę. Dotarłszy do domu, Constance zostawia torbę i wspina się po śliskich schodach, trzymając się poręczy. Światło na werandzie na szczęście się pali, chociaż nie przypomina sobie, by je włączała. Mocuje się z kluczem w zamku, otwiera drzwi, wreszcie wchodzi do kuchni, ociekając wodą. Z nożyczkami w dłoni wraca tą samą drogą, schodzi po schodach do wózka, otwiera torebkę ze żwirkiem i hojnie sypie.

Gotowe. Torba na kółkach po schodach łup, łup, łup, potem do domu. Zamknięcie drzwi. Zdjęcie przemoczonego płaszcza, ociekająca wodą czapka i rękawiczki parują na kaloryferze, buty zostają w przedpokoju.

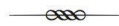
– Misja zakończona powodzeniem – mówi na wypadek, gdyby Ewan słuchał.

Constance chce mu dać znać, że wróciła bezpiecznie, w przeciwnym razie mógłby się niepokoić. W czasach przed pojawieniem się wszystkich gadżetów elektronicznych zawsze zostawiali sobie liściki lub wiadomości na automatycznej sekretarce. W chwilach wyjątkowo nieznośnego osamotnienia rozważała zostawianie nagranych wiadomości dla Ewana. Może zdołałby je odsłuchać za pomocą cząstek elektrycznych, pól magnetycznych czy czego tam używa, by przesyłać do niej własny głos.

Nie jest to jednak chwila osamotnienia. Constance czuje się dobrze: jest z siebie zadowolona po wykonaniu misji solnej. Poza tym doskwiera jej głód. Nie była tak głodna, odkąd przestał się pojawiać przy posiłkach, jedzenie w samotności jest przygnębiające. Teraz jednak szarpie palcami kawałki pieczonego kurczaka i pożera. Właśnie tak postępują ludzie w Alphinlandii, kiedy zostają uratowani – z lochów, fos, żelaznych klatek, dryfujących łodzi – jedzą wówczas rękami. Tylko ci

z najwyższych warstw posiadają coś, co można nazwać sztuccami, choć praktycznie każdy ma nóż, chyba że jest mówiącym zwierzęciem. Constance oblizuje palce i wyciera je w ścierkę. Powinny tu leżeć papierowe ręczniki, ale ich nie ma.

Ponieważ zostało trochę mleka, pije prosto z kartonu, prawie nie rozlewając. Później zrobi coś gorącego. Teraz spieszo jej do Alphinlandii z powodu śladu popiołu. Chce go rozszyfrować, rozwikłać, chce nim pójść. Pragnie sprawdzić, dokąd ją zaprowadzi.



Obecnie Alphinlandia mieszka w jej komputerze. Przez lata rozwijała się na strychu, który przerobiła na pracownię, kiedy przyniosła dość pieniędzy, by opłacić remont. Jednak nawet po położeniu nowej podłogi i wybicciu okna, pomimo klimatyzacji i wiatraka na suficie strych pozostał ciasny i duszny, jak to zwykle bywa ze szczytowymi pomieszczeniami w starych wiktoriańskich domach z cegły. Po pewnym czasie – kiedy chłopcy chodzili do liceum – Alphinlandia przeniosła się na stół w kuchni, gdzie kilka lat rozwija się na maszynie elektrycznej, uchodzącej wówczas za szczyt nowoczesności, obecnie nieużywanej. Kolejną lokalizacją stał się komputer, choć nie obyło się bez wypadków – rzeczy potrafiły zniknąć, co doprowadzało ją do szału – z czasem jednak komputery ulepszono i zdołała się do swojego przyzwyczaić. Kiedy Ewan przestał się pojawiać w widzialnej postaci, przeniosła komputer do jego pracowni.

Constance nawet do siebie nie mówi: „po jego śmierci”. Nigdy nie wymawia słowa na „ś” w odniesieniu do Ewana. Mógłby podsłuchać, poczuć się urażony, dezorientowany, może nawet zły. Według jednego z jej nie w pełni rozwiniętych przekonań Ewan nie zdaje sobie sprawy, że umarł.

Otulona w czarny pluszowy szlafrok Ewana siedzi przy jego biurku. Czarne pluszowe szlafroki dla mężczyzn były ostatnim krzykiem mody kiedy właściwie? W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku? Ten kupiła mu sama na Gwiazdkę. Ewan stale opierał się jej próbom uczynienia go modnym, próbom ograniczonym zresztą do szlafroka, ponieważ już dawno przestało ją interesować, jak Ewan prezentuje się innym ludziom.

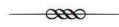
Constance ma na sobie szlafrok nie z powodu zimna, ale dla dodania sobie otuchy: dzięki temu czuje, że Ewan nadal jest w domu, tuż obok. Odkąd umarł, nie

prała szlafroka, nie chce, by zapach detergentów wyparł woń Ewana.

Och, Ewanie, myśli. Tak świetnie się bawiliśmy! Wszystko odeszło. Czemu tak szybko? Ociera oczy czarnym pluszowym rękawem.

– Weź się w garść – mówi Ewan. Nigdy nie lubi, kiedy Constance się rozkleja.

– Jasne – odpowiada Constance. Prostuje się, poprawia poduszkę na ergonomicznym fotelu biurowym Ewana, włącza komputer.



Przed jej oczami pojawia się wygaszacz ekranu: to brama, narysowana dla niej przez Ewana, który pracował jako architekt, zanim przyjął bardziej godną zaufania posadę wykładowcy uniwersyteckiego. Przedmiot, którego uczył, nie nazywał się jednak „architektura”, ale „teoria konstruowanej przestrzeni”, „tworzenie krajobrazu ludzkiego”, „zwarty kształt”. Ewan wciąż bardzo dobrze rysował i znalazł ujście dla tej pasji, rysując zabawne obrazki dla dzieci, potem dla wnuków. Wygaszacz ekranu narysował dla niej w prezencie, a także po to, by pokazać, że tę jej rzecz – która, spójrzmy prawdzie w oczy, była dość zenująca w kręgach intelektualnych, w jakich się obracał – traktował poważnie. Albo że traktował poważnie samą Constance – niekiedy miała podstawy, by wątpić w jedno i drugie. Ewan pragnął też dać do zrozumienia, że wybaczają jej Alphinlandię i to, że z jej powodu zaniedbała jego, Ewana. Wybaczają żonie, że patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem.

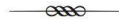
Constance podejrzewała też, że Ewan podarował jej wygaszacz ekranu w geście skruchy, pragnąc jej wynagrodzić coś, co zrobił, lecz nie chciał się przyznać. Okres nieobecności emocjonalnej, kiedy absorbowała go – jeśli nie fizycznie, to uczuciowo – inna kobieta. Inna twarz, inne ciało, inny głos, inny zapach. Szlafrok nienależący do Constance, z obcymi paskami, guzikami, suwakami. Kim była? Constance miała podejrzenia, które okazywały się błędne. Niewyraźna obecność śmiała się z niej cicho w bezsennej ciemności o trzeciej nad ranem, po czym zniknęła. Constance nie potrafiła niczego umiejscowić.

W tym okresie czuła się jak zawadzający kawał drewna. Czuła, że jest nudna i żywa jedynie w połowie. Czuła się odrętwiała.

Nigdy nie przyciskała go w sprawie tego czasu, nigdy nie doprowadziła do konfrontacji. Podobnie jak w przypadku słowa na „ś” był tam, górował nad nimi niczym wielka reklama, ale wspomnienie o tym byłoby jak przerwanie zaklęcia.

Byłoby ostateczne. „Ewanie, czy ty się z kimś spotykasz? Weź się w garść. Oprzytomnij. Czemu miałbym to robić?”. Zbyłby ją, zbagatelizowałby pytanie.

Constance potrafiłaby wymienić sporo powodów, dla których mógłby to robić. Mimo to uśmiechnęła się, objęła Ewana, zapytała, co chciałby na kolację, i nie wspomniała o tej sprawie.



Kamienna brama na wygaszaczu ekranu jest wygięta w kształcie łuku rzymskiego. Znajduje się w połowie długiego, wysokiego muru zwieńczonego wieżyczkami, na których powiewają czerwone trójkątne proporce. Ciężka krata bramy jest podniesiona. W oddali widnieje zalany słońcem krajobraz upstrzony kolejnymi wieżyczkami.

Ewan porządnie przyłożył się do tej bramy. Pokrył ją krzyżującymi się kreskami, pokolorował akwarelami, na odległym polu namalował nawet pasące się konie, choć miał dość rozumu, by nie wygłupiać się ze smokami. Rysunek jest bardzo ładny, w stylu Williama Morrisa czy może raczej Edwarda Burne-Jonesa, ale nie trafia w sedno. Zarówno brama, jak i mur są zbyt czyste, zbyt nowe, za dobrze utrzymane. Owszem, w Alphinlandii można spotkać luksusowe zakątki, jedwab i taftę, hafty, ozdobne kinkiety na ścianach, ale w przeważającej mierze kraina jest starożytna, zaniedbana i przybrudzona. Całe połacie leżą porzucone, stąd tak wiele ruin.

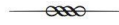
Nad bramą widnieje napis złobiony w kamieniu pseudogotyckimi literami prerafaelitów: ALPHINLANDIA.

Constance bierze głęboki wdech. Potem wchodzi.

Po drugiej stronie bramy nie leży kraina zalana słońcem. Biegnie tam za to wąska droga, właściwie ścieżka. Kręto schodzi do mostu oświetlonego – ponieważ jest noc – żółtawymi lampami w kształcie jajek czy kropli wody. Za mostem rozciąga się ciemny las.

Po przejściu mostu zacznie się skradać przez las, rozglądając się za pułapkami, a gdy wyjdzie po drugiej stronie, stanie na rozstaju dróg. Tam będzie musiała podjąć decyzję, którą wybrać. Wszystkie biegną przez Alphinlandię, lecz każda prowadzi do innej jej wersji. Constance stworzyła tę krainę, panuje nad nią jak władczyni marionetek, jest jej Losem, ale nigdy dokładnie nie wie, dokąd trafi.





Pracę nad Alphinlandią rozpoczęła dawno temu, na wiele lat przed poznaniem Ewana. Mieszkała wtedy z innym mężczyzną w dwupokojowym mieszkaniu, w którym na podłodze leżał nierówny materac, w korytarzu znajdowała się wspólna toaleta; mieli czajnik elektryczny (jej) oraz kuchenkę elektryczną (jego), której zasadniczo nie mieli prawa trzymać. Z uwagi na brak lodówki jedzenie chowali do pojemnika i wystawiali na parapet, gdzie zamarzało zimą i psuło się latem, chociaż wiosną i jesienią było nieźle, pomijając wiewiórki.

Mężczyzna, z którym mieszkała, był jednym z poetów, z którymi przestawała, żywiąc słodką, młodzieńczą nadzieję, że sama też jest poetką. Na imię miał Gavin, co w tamtych czasach stanowiło rzadkość, obecnie jednak już nią nie jest: Gavinowie się rozmnożyli. Młoda Constance uważała się za szczęściarę, kiedy zainteresował się nią o cztery lata starszy Gavin, znający innych poetów, szczupły, ironiczny, niezważający na normy społeczne, posępnie satyryczny, bo tacy właśnie byli ówczesni poeci. Może nadal tacy są, lecz Constance jest za stara, by to wiedzieć.

Constance podniecało nawet to, że bywała przedmiotem ironicznych, posępnie satyrycznych uwag Gavina, prowadzących się do tego, że jej hipnotyzująca pupa stanowiła istotniejszą część Constance niż na przykład jej, faktycznie miała, poezja. W dodatku dostąpiła zaszczytu pojawienia się w wierszach Gavina. Oczywiście nie pod własnym imieniem: w owych czasach kobiece przedmioty pożądania nazywano w wierszach „panią” lub „moją prawdziwą miłością” – ukłon w stronę rycerskości i ballad w stylu folk – jednak Constance ogromnie pociągała lektura erotyków Gavina, wiedziała bowiem, że ilekroć pisał „Pani” lub, jeszcze lepiej, „moja prawdziwa miłość”, ją właśnie miał na myśli. „Moja Pani spoczywa na poduszce”, „Pierwsza poranna kawa mojej Pani” czy „Moja Pani wylizuje mój talerz” – wszystkie te wiersze podnosiły na duchu, ale jej ulubiony nosił tytuł „Moja Pani się schyla”. Ilekroć czuła, że Gavin odnosi się do niej szorstko, sięgała po ten wiersz i ponownie go czytała.

Oprócz tych atrakcji literackich było też niemało energicznego, improwizowanego seksu.

Kiedy Constance związała się z Ewanem, miała dość rozumu, by nie wspominać mu o swym wcześniejszym życiu. Choć właściwie czym miała się przejmować? Chociaż Gavinowi nie sposób było odmówić emocjonalnej głębi, był też dupkiem –

nie dorastał do pięt Ewanowi, który w porównaniu z nim wydawał się rycerzem w lśniącej zbroi. Tamto wczesne doświadczenie skończyło się źle, Constance poznała smak smutku i udręki. Po co więc wspominać o Gavinie? Nie miałyby to żadnego sensu. Ewan nigdy nie pytał o innych mężczyzn w jej życiu, ona zaś nigdy o nich nie wspominała. Ma nadzieję, że obecnie Ewan nie ma żadnego dostępu do Gavina ani za pośrednictwem jej niewypowiedzianych myśli, ani w żaden inny sposób.

Jedną z dobrych stron Alphinlandii jest to, że pewne kłopotliwe rzeczy należące do przeszłości Constance może wynieść za kamienną bramę i umieścić w pałacu pamięci tak popularnym – kiedy? W osiemnastym wieku? Rzeczy, które człowiek chce zapamiętać, kojarzy z wyobrażonymi komnatami, a kiedy zapagnie je sobie dokładnie przypomnieć, wchodzi do odpowiedniej komnaty.

I tak na przykład Constance utrzymuje w Alphinlandii wyłącznie na użytek Gavina opuszczoną winiarnię na terenie twierdzy, która obecnie jest w rękach Zymriego Stanowczej Pięści, jej sojusznika. Ponieważ zgodnie z jedną z reguł Alphinlandii Ewan nigdy nie może przekroczyć kamiennej bramy, nigdy nie odkryje winiarni ani nie dowie się, kogo Constance w niej kryje.

Gavin leży więc tam w dębowej beczce. Nie cierpi, chociaż, obiektywnie rzecz biorąc, zasłużył na cierpienie. Jednak Constance włożyła wysiłek w przebaczenie Gavinowi, dlatego go nie torturują. Jest utrzymywany w stanie zawieszenia. Od czasu do czasu Constance zagląda do winiarni, wręcza Zymriemu podarunek mający umocnić ich sojusz – alabastrowy słoje jeżowców x nami w miodzie, pęczek pazurów cyanboreen – wypowiada zaklęcie, które otwiera pokrywę beczki i zagląda. Gavin śpi spokojnie. Zawsze było mu do twarzy z zamkniętymi oczami. Nie postarzał się nawet o jeden dzień od chwili, gdy widziała go po raz ostatni. Wspomnienie tamtego dnia nadal sprawia jej ból. W końcu Constance odkłada pokrywę beczki na miejsce i wypowiada zaklęcie na wspak, pieczętując Gavina do czasu, gdy znów przyjdzie jej ochota na niego zerknąć.

W prawdziwym życiu Gavin otrzymał kilka nagród poetyckich, potem dostał stałą posadę wykładowcy kreatywnego pisania na Uniwersytecie w Manitoba. Po przejściu na emeryturę przeniósł się do Victorii w Kolumbii Brytyjskiej, gdzie mógł podziwiać piękne zachody słońca nad Pacyfikiem. Każdego roku Constance dostaje od niego kartkę z życzeniami na Boże Narodzenie; w zasadzie od niego i jego trzeciej, znacznie młodszej żony, Reynolds. Reynolds, co za durne imię!

Brzmi jak marka papierosów z lat czterdziestych, kiedy jeszcze papierosy traktowały siebie poważnie.

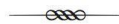
Reynolds podpisuje kartki za nich oboje – występują jako Gav i Rey – co roku dołącza też szczebiotliwe, irytujące listy na temat wakacji (Maroko! Co za szczęście, że zabrali imodium na biegunkę! Ostatnio zaś: Floryda! Jak dobrze uciec od mżawki!). Reynolds raczy ponadto Constance corocznymi sprawozdaniami z działalności ich lokalnego klubu czytelniczego – tylko ważne książki, tylko książki inteligentne! Aktualnie przerabiają Bolaño, ciężka praca, ale warto, jeśli człowiek się nie podda. Członkowie klubu przygotowują przekąski, które towarzyszą omawianym książkom. Rey uczy się robić tortillę. Świetna zabawa.

Constance podejrzewa, że Reynolds niezdrowo interesuje się cygańską młodością Gavina, a w szczególności Constance. Jakże mogłoby być inaczej? Constance była pierwszą kobietą, z którą Gavin zamieszkał w okresie, kiedy był tak napalony, że ledwo mógł utrzymać zapięty rozporek, jeśli Constance znajdowała się w odległości kilkuset metrów. Zupełnie jak gdyby promieniowała magicznymi cząsteczkami, rzucała zaklęcie, któremu nie sposób się oprzeć, niczym Pheromony z Szafirowymi Warkoczami w Alphinlandii. Reynolds nie może z nią rywalizować. Zważywszy na wiek Gavina, przypuszczalnie musi posługiwać się erotycznymi gadżetami. O ile w ogóle zawraca sobie tym głowę.

– Kim są Gavin i Reynolds? – pytał co roku Ewan.

– Znałam go na studiach – odpowiadała Constance.

Po części była to prawda: w istocie rzuciła studia, żeby związać się z Gavinem, tak bardzo urzekło ją połączenie wyniosłości i pożądania. Jednak Ewan nie przyjąłby dobrze takiej informacji. Sprawiałaby, że stałby się zazdrosny, może nawet zły. Po co go niepokoić?



Znajomi Gavina – poeci, folkowi pieśniarze, muzycy jazzowi i aktorzy tworzący amorficzną, stale zmieniającą się grupę artystycznych ryzykantów – spędzali sporo czasu w kawiarni Riverboat w Yorkville, części Toronto, która w owym czasie z terenu przypominającego slumsy przeistaczała się w modną dzielnicę ery przedhipisowskiej. Po Riverboat została tylko jedna z tych przygnębiających żelaznych tabliczek informacyjnych na frontonie pretensjonalnego hotelu, który

zajął jej miejsce. Przekaz tych tabliczek brzmi: „Wszystko zostanie zmiecione znacznie wcześniej, niż myślisz”.

Poeci, pieśniarze folkowi i muzycy jazzowi byli biedni jak myszy kościelne, podobnie jak Constance, ale dla niej bieda miała nieodparty urok. Cyganeria – to była cała ona. Opowiadania o Alphinlandii zaczęła pisać, aby wspomóc Gavina, który uważał, że taka właśnie jest rola prawdziwej miłości. Wczesne utwory wystukiwała na rozklekotanej maszynie, improwizując; po pewnym czasie, ku własnemu zdumieniu, zaczęła je sprzedawać za niewielkie pieniądze jednemu z subkulturowych pisemek w Nowym Jorku gustujących w tandetnym fantasy. Na okładkach ludzie z przezroczystymi skrzydłami, wielogłowe zwierzęta, hełmy z brązu, skórzane kamizelki, łuki i strzały.

Pisanie tych opowiadań dobrze jej szło, w każdym razie nadawały się do publikacji w pisemkach. W dzieciństwie Constance miała książki z bajkami ilustrowane przez Arthura Rackhama i jemu podobnych – sękaty drzewa, trolle, mistyczne panny w zwiewnych szatach, miecze, pasy, złociste jabłka słońca. Alphinlandia stanowiła więc jedynie rozwinięcie tego krajobrazu, wystarczyło zmienić kostiumy i zmyślić nazwy.

W tym czasie Constance pracowała też jako kelnerka w knajpie Snuffy's nazwanej tak na cześć postaci z kreskówki i specjalizującej się w chlebie z mąki kukurydzianej oraz smażonych kurczakach. Częścią wynagrodzenia było tyle kurczaków, ile dało się zjeść, więc Constance wносиła porcje dla Gavina i patrzyła z zadowoleniem, jak je pochłania. Praca była wyczerpująca, szef lubieżny, ale napiwki całkiem niezłe, w dodatku człowiek mógł zarobić więcej, biorąc nadgodziny, co też Constance czyniła.

Tak właśnie postępowały dziewczyny w owym czasie – harowały, by wesprzeć przekonanie mężczyzny o własnym geniuszu. Co robił Gavin, żeby dołożyć się do czynszu? Niewiele, choć podejrzewała, że na boku handluje trawą. Czasem nawet ją palili, choć nieczęsto, bo Constance kaszłała. W sumie wiedli niezwykle romantyczne życie.

Poeci i pieśniarze folkowi oczywiście naśmiewali się z jej opowiadań o Alphinlandii. Czemu nie? Sama się z nich śmiała. Jej podrzędna produkcja była oddalona o całe dziesięciolecie od jakiegokolwiek szacowności. Niewielka grupka przyznawała się do lektury *Władcy pierścieni*, choć należało ją usprawiedliwić zainteresowaniem językiem staronordyjskim. Zdaniem poetów utworom

Constance daleko było do poziomu Tolkiena, mieli zresztą rację. Droczyli się z nią, mówiąc, że pisze o ogrodowych gnomach, na co Constance śmiała się, przytakiwała, dodając przy tym, że dzisiaj gnomy wykopały garniec złotych monet i zamierzały postawić wszystkim piwo. To ostatnie bardzo się poetom podobało, wznosili więc toasty: „Zdrowie gnomów! Gnomy w każdym domu!”.

Pisanie dla pieniędzy nie podobało się poetom, ale dla Constance robili wyjątek, ponieważ *Alphinlandia*, w odróżnieniu od ich poezji, z zamierzenia miała być komercyjnym śmieciem, poza tym Constance robiła to przecież dla Gavina, jak na Panią jego serca przystało, a w dodatku nie była tak głupia, by traktować te brednie poważnie.

Nie pojmowali, że w coraz większym stopniu zaczynała traktować je poważnie. *Alphinlandia* należała tylko do niej. Była jej azylem i twierdzą, gdzie mogła się schronić, kiedy nie układało się jej z Gavinem. W wyobraźni mogła przekroczyć niewidzialny portal, przechadzać się po mrocznych lasach i migotliwych polach, zawierać sojusze, pokonywać wrogów i nikt nie mógł się tam dostać bez jej zgody, ponieważ wejścia strzegło pięciowymiarowe zaklęcie.

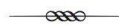
Stopniowo spędzała tam coraz więcej czasu, zwłaszcza gdy zaczęła podejrzewać, że nie każda „Pani” w nowych wierszach Gavina odnosi się do niej. Chyba że zupełnie mu się pomieszały kolory, bo raz oczy Pani były „błękitne jak u wiedźmy” i/lub jak „odległe gwiazdy”, a obecnie ciemne jak atrament. „Pupa mej Pani do księżycy niepodobna” – według samego Gavina był to hołd dla Szekspira. Czyżby zapomniał, że we wcześniejszym wierszu – nieco szorstkim, choć pisanym z serca – porównywał pupę Pani właśnie do księżycy: biała, krągła, łagodnie jaśniejąca w ciemności, nęcąca? Jednak ta nowa była jędrna i muskularna, raczej aktywna niż bierna, raczej chwytąca, niż kusiąca, przypominała boa dusiciela, choć, rzecz jasna, miała inny kształt. Za pomocą ręcznego lusterka Constance przyjrzała się sobie od tyłu. Racjonalizacje na nic się zdały: nie było porównania. Czy to możliwe, że kiedy Constance harowała w Snuffy’s z opiewanymi przez Gavina oczami na zapalki, doprowadzając się do stanu takiego wyczerpania, że pragnęła snu bardziej niż seksu, on tarzał się po ich nierównym materacu ze świeżą, energiczną nową prawdziwą miłością? Obdarzoną chwytną pupą?

W przeszłości Gavin zawsze czerpał pewną przyjemność z publicznego upokarzania Constance sardonicznymi, ironicznymi uwagami, będącymi jego specjalnością poetycką. Odbierała to jako swoisty komplement, ponieważ w takich

chwilach znajdowała się w centrum jego uwagi. W pewnym sensie Gavin się nią popisywał, a ponieważ to go kręciło, pozwalała, by upokarzające uwagi spływały po niej jak po kaczce. Teraz jednak przestał ją upokarzać i zaczął ignorować, co było znacznie gorsze. Gdy przebywali sami w dwóch wynajętych pokojach, już nie całował jej w szyję, nie zdierał z niej ubrania i nie rzucał na materac, ogarnięty niepohamowaną żądzą. Skarżył się na ból pleców i sugerował – czy wręcz żądał – żeby wynagrodziła mu ból i ograniczenia ruchowe, robiąc laskę.

Nie była to jej ulubiona czynność. Nie miała wprawy, w dodatku przychodziło jej do głowy sporo innych rzeczy, które wolałaby włożyć do ust.

Tymczasem w Alphinlandii nikt nigdy nie żądał, by zrobiono mu laskę. Choć z drugiej strony trzeba dodać, że nikt tam też nie miał łazienki. Toalety nie były potrzebne. Po co marnować czas na tego rodzaju rutynowe czynności, kiedy do zamku próbują wtargnąć olbrzymie skorpiony? W Alphinlandii były za to wanny, czy raczej kwadratowe baseniki w ogrodach pachnących jaśminem, ogrzewane przez podziemne źródła. Co bardziej zdeprawowani Alphinlandczycy kąpali się w krwi jeńców, których przykuwano do pali przy basenie, by patrzyli, jak ich życie powoli wycieka i rozplywa się w szkarłatnych pęcherzykach.



Constance przestała chodzić na towarzyskie spotkania w Riverboat, ponieważ znajomi zaczęli zerkać na nią z politowaniem, ona zaś zadawała niezręczne pytania w rodzaju:

– Gdzie się podział Gavin? Przed chwilą tu był.

Wiedzieli więcej niż ona. Widzieli, że sprawy staną wkrótce na ostrzu noża.

Jak się okazało, nowa Pani miała na imię Marjorie. Dziś Constance ma wrażenie, że imię to całkowicie zniknęło: wszystkie Marjorie wyginęły, wyparowały, zresztą rychło w czas. Marjorie miała ciemne włosy, także oczy, długie nogi, ochotniczo zajmowała się rachunkami w Riverboat, lubiła owijać się w talii jaskrawymi afrykańskimi tkaninami, dyndała ręcznie robionymi kolczykami z koralików i rżała ze śmiechu, który brzmiał jak odgłos muła chorego na bronchit.

To znaczy przynajmniej w uszach Constance, bo najwyraźniej nie Gavina. Constance przyłapała ich oboje w akcji, ból pleców zniknął, jak ręką odjął. Na stole walały się kieliszki po winie, na podłodze ubrania, włosy Marjorie kładły się na

poduszce – poduszce Constance. Gavin stęknął – z powodu orgazmu albo zniesmaczony pojawieniem się Constance nie w porę. Za to Marjorie zarżała – na Constance, Gavina lub całą sytuację. Zarżała szyderczo. Nie zabrzmiało to sympatycznie i ubodło Constance do żywego.

Czy Constance mogła powiedzieć coś więcej niż: „Jesteś mi winien połowę czynszu?”. Nigdy nie ujrzała tych pieniędzy; Gavin był sknerą, co dało się powiedzieć o wszystkich ówczesnych poetach. Wkrótce po tym, jak się wyprowadziła, zabierając kuchenkę elektryczną, podpisała pierwszą umowę na *Alphinlandię*. Kiedy w Riverboat rozeszły się pogłoski o jej bajecznym – co prawda względnie – majątku, Gavin pojawił się w jej nowym trzypokojowym mieszkaniu – z prawdziwym łóżkiem dzielonym z jednym z pieśniarzy folkowych, choć to również nie przetrwało – i próbował się pogodzić. Marjorie jest nikim, zapewniał. Zwykłym wypadkiem przy pracy. To nic poważnego, więcej się nie powtórzy. Jego prawdziwą miłością jest Constance. Chyba zdawała sobie sprawę, że są sobie przeznaczeni?

To było żalodne i Constance nie omieszkała mu o tym powiedzieć. Czy nie miał za grosz wstydu ani honoru? Czy docierało do niego, jaką był pijawką, pozbawioną inicjatywy, samolubną? Wówczas Gavin, początkowo zaskoczony wojowniczą postawą swojej niegdyś łagodnej Pani, przywołał na pomoc cały swój sarkazm i oznajmił, że Constance jest zerem, jej wiersze są bez wartości, idiotyczna *Alphinlandia* to niedojrzałe brednie, a on sam ma więcej talentu w dupie niż ona w całym ptasim mózdzku.

To tyle, jeśli chodzi o prawdziwą miłość.

Gavin nigdy nie pojął sensu *Alphinlandii*. To była niebezpieczna kraina – owszem, pod pewnymi względami nedorzeczna, ale nie brudna. Jej mieszkańcy mieli pewne zasady. Wiedzieli, co to rycerskość, odwaga, a także zemsta.

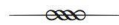
Z tego powodu Marjorie nie jest uwięziona w opuszczonej winiarni jak Gavin. Za pomocą zaklęć runicznych została unieruchomiona wewnątrz kamiennego ulla należącego do Frenzji o Wonnych Czulkach. Ta półbogini ma dwa i pół metra wzrostu, ciało pokryte drobnymi złocistymi włoskami i oczy fasetkowe. Na szczęście Frenzja jest bliską przyjaciółką Constance, chętnie pomaga jej w rozmaitych przedsięwzięciach w zamian za owadzie zaklęcia, które Constance potrafi rzucać. Dlatego codziennie w samo południe Marjorie żądli sto pszczoł w kolorze indygo i szmaragdów. Użądlenia można porównać do ukłuc

rozczarowanymi do białości igłami, są ostre jak sos z czerwonych papryczek; ból jest nie do zniesienia.

W świecie poza Alphinlandią Marjorie rozstała się zarówno z Gavinem, jak i kawiarnią Riverboat, zaczęła studia biznesowe, potem zdobyła pewną pozycję w firmie reklamowej. Tak głosiły plotki. Constance widziała ją po raz ostatni w latach osiemdziesiątych, kroczącą ulicą Bloor w beżowym kostiumie z watowanymi ramionami. Kostium był zdumiewająco szkaradny, podobnie jak toporne buciska wojskowe.

Marjorie nie zauważyła Constance. Albo udawała, że jej nie widzi. I dobrze.

Według alternatywnej wersji, schowanej w szafce Constance, ona i Marjorie rozpoznały się tamtego dnia, krzyknęły z radości i poszły na kawę, gdzie zaśmiewały się z Gavina, jego wierszydeł oraz słabości do seksu oralnego. W istocie jednak nigdy do tego nie doszło.



Constance schodzi ścieżką, mija most z jajowatymi latarniami, które dają niewiele światła, w końcu zagłębia się w las. Sza! Należy poruszać się cicho. O, tam biegnie popielny ślad. Czas na zaklęcie. Constance wystukuje na maszynie:

Zmiażdży, przegryzie, zgniecie  
Każdą rzecz na tym świecie  
Pokruszy upiorny Czasu ząb.  
Rozejdzie się szloch  
I wszystko obróci się w proch.

Po chwili uznaje, że jest to nie tyle zaklęcie, ile opis. Potrzeba raczej inkantacji:

Norg, Smithert, Zurpash,  
Jasna Teldarine,  
Niech rozbłyśnie światło,  
A popielne zło  
Wyplynie wraz z liliową krwią...

Dzwoni telefon. To jeden z chłopców, ten z Paryża, czy raczej jego żona. Słyszeli w telewizji o burzy lodowej i zaczęli się martwić o Constance, chcieli się upewnić, czy nic jej się nie stało.

Która jest u nich godzina, pyta Constance. Czemu nie śpią o tak późnej porze? Oczywiście, że u niej wszystko w porządku. To tylko trochę lodu! Nie ma się czym



ekscytować. Ucałowania dla dzieci, idźcie się przespać. Wszystko w porządku.

Najszybciej, jak może, rozłącza się, rozdrażniona telefonem. Teraz wyleciało jej z głowy imię boga, którego liliowa krew jest tak skuteczna. Na szczęście ma w komputerze pełną listę bóstw Alphinlandii wraz z atrybutami, w wygodnym porządku alfabetycznym. Z czasem rój bóstw się rozplenił; dziesięć lat temu dodała nowych bogów na użytek serialu animowanego, potem kolejnych – większych, straszniejszych, bardziej skorych do przemocy – do gry wideo, którą właśnie kończą tworzyć. Gdyby przewidziała, że Alphinlandia przetrwa tak długo i odniesie taki sukces, lepiej by wszystko zaplanowała. Kraina miałaby konkretny kształt i granice, a tak rozrosła się niczym nieokiełznana metropolia.

Co więcej, nie nazwałaby tej krainy Alphinlandią. Nazwa za bardzo przypomina Elfinland, podczas gdy Constance przyświecała raczej Alph, święta rzeka z wierszy Coleridge'a, płynąca wśród przepastnych grot. Rzeka oraz alfa, pierwsza litera alfabetu. Dziennikarz mądrała zapytał ją kiedyś, czy „stworzony przez nią świat” nazywa się Alphinlandia, ponieważ tak wiele w nim samców alfa. Constance odpowiedziała nieco szalonym śmiechem, jaki stosowała w celach obronnych, odkąd tego rodzaju przemądrzali dziennikarze uznali, że warto z nią przeprowadzać wywiady. Działo się to mniej więcej w tym okresie, kiedy prasa interesowała się nieco książkami obecnie zaliczanymi do jednego gatunku, a w każdym razie dobrze sprzedającymi się tytułami.

– Och, nie – odpowiedziała dziennikarzowi. – Nie wydaje mi się, żeby chodziło o samców alfa. Tak po prostu wyszło. Może dlatego, że... zawsze uwielbiałam płatki śniadaniowe Alpine?

W każdym wywiadzie wypada właśnie tak płytko, dlatego przestała ich udzielać. Nie jeździ też na konwenty – dość się napatrzyła na dzieciaki przebrane za wampiry, króliki czy postaci ze *Star Treka*, a zwłaszcza za czarne charaktery z *Alphinlandii*. Naprawdę nie zniosłaby kolejnego nieudacznego Milzretha Czerwonej Ręki czy jeszcze jednego rumianego niewiniątka poszukującego swojej mrocznej strony.

Pomimo nieustannych nacisków ze strony wydawnictwa Constance nie udziela się też w mediach społecznościowych. Argumenty, że mogłaby zwiększyć sprzedaż *Alphinlandii* i poszerzyć zasięg franczyzy, trafiają jak kulą w płot. Constance nie potrzebuje więcej pieniędzy, co niby miałaby z nimi zrobić? Pieniądze nie ocaliły Ewana. Zgodnie z oczekiwaniami synowych wszystko zostawi chłopcom. Nie ma

też ochoty na kontakty z wiernymi czytelnikami, ponieważ wie już wystarczająco dużo o nich, ich kolczykach i smoczych tatużach. Przede wszystkim nie chce im sprawić zawodu. Wielbiciele spodziewają się czarodziejki o kruczoczarnych włosach ozdobionych szpikulcami, z wężową bransoletą na ramieniu, a nie mówiącej cichym głosem, chudej jak szczapa byłej blondynki.

Constance właśnie otwiera na ekranie folder z Alphinlandią, by sprawdzić listę bogów, gdy tuż nad uchem słyszy gromki głos Ewana:

– Wyłącz to!

– Co? – Aż podskakuje. – Co mam wyłączyć?

Czyżby znowu nie zgasiła ognia pod czajnikiem? Ale przecież jeszcze nie zrobiła sobie nic gorącego do picia!

– Wyłącz to! Alphinlandię! Natychmiast ją wyłącz!

Ewan musi mieć na myśli komputer. Wstrząśnięta, ogląda się za siebie: stał tuż za nią! Wyłącza komputer. W chwili gdy ekran zamiera, rozlega się głuchy łoskot i gasną światła.

Wszystkie światła. Również latarnie uliczne. Wiedział zawczasu? Czyżby posiadał dar jasnowidzenia? Dawniej go nie miał.

Constance po omacku schodzi po schodach, mija przedpokój i ostrożnie otwiera drzwi: po prawej przecnicę dalej widać żółty blask. Drzewo musiało runąć na przewody wysokiego napięcia i je zerwało. Bóg wie, kiedy przyjadą naprawić, takich przypadków są pewnie tysiące.

Co zrobiła z latarką? Jest w torebce, ta zaś została w kuchni. Po omacku wraca, szpera w torebce. Baterie w latarce ledwo zipią, ale wystarczy, by zapalić dwie świece.

– Zakręć główny zawór wody – mówi Ewan. – Wiesz, gdzie jest, pokazywałem ci. Potem odkręć kran w kuchni. Musisz opróżnić rury, żeby nie popękały.

To najdłuższa przemowa Ewana od pewnego czasu. Constance robi się ciepło na sercu: naprawdę się o nią troszczy.

Po uporaniu się z zaworem gromadzi przedmioty, które izolują – kołdrę z łóżka, poduszkę, czyste wełniane skarpety oraz kraciasty koc z samochodu – po czym mości sobie legowisko przed kominkiem. Rozpala ogień. Na wszelki wypadek zasłania palenisko ekranem: nie chce w nocy spłonąć. Drewna nie starczy na cały dzień, ale jest go dość, by mogła przetrwać do rana i nie zamarznąć. Dom

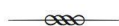
powinien trzymać ciepło jeszcze przez wiele godzin. Rano zastanowi się nad możliwymi rozwiązaniami; może do tego czasu burza ucichnie. Zdmuchuje świece: podpalanie się nie ma sensu.

Otula się kołdrą. W kominku filują płomyki. Jest zadziwiająco przytulnie, przynajmniej na razie.

– Dobra robota – chwali Ewan. – Moja dziewczyna! Zuch!

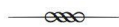
– Och, Ewanie – odpowiada Constance. – Naprawdę jestem twoją dziewczyną? Zawsze byłam? Czy ty miałeś wtedy romans?

Odpowiada jej cisza.



Popielny ślad wiedzie przez las, jaśnieje w świetle księżyca i gwiazd. O czym zapomniała? Coś jest nie tak. Spomiędzy drzew wychodzi na oblodzoną ulicę. To ulica, gdzie mieszka, gdzie mieszkała przez kilkadziesiąt lat, oto dom, w którym mieszka z Ewanem.

Tego nie powinno być tutaj, w Alphinlandii. Znajduje się w niewłaściwym miejscu. Wszystko jest nie tak, ale Constance idzie popielnym śladem aż do frontowych schodów, przekracza próg. Otaczają ją czarne rękawy. Rękawy płaszcz. To nie Ewan. Czyjeś usta przywierają do jej szyi. Czuje dawno zapomniany smak. Jest taka zmęczona, traci siłę, czuje, jak energia ją opuszcza, wycieka przez opuszki palców. Jak dostał się tu Gavin? Czemu jest ubrany jak pracownik zakładu pogrzebowego? Z westchnieniem rozplływa się w jego objęciach, bez słowa osuwa się na podłogę.



Budzi ją światło poranka wpadające przez okno z dodatkową lodową szybą. Ogień zgasł. Constance zeszytniała od spania na podłodze.

Co za noc. Kto by pomyślał, że w podeszłym wieku przyśni się jej tak intensywny sen erotyczny? W dodatku z Gavinem, co za idiotyzm. Przecież ona nawet go nie szanuje. Jakim cudem zdołał wydostać się z metafory, w której więziła go od tylu lat?

Otwiera frontowe drzwi, wygląda na dwór. Słońce świeci, na okapach rosną przejrzyste sopte. Kiedy przyjdą roztopy, kocia karma na schodach zamieni się

w wilgotną papkę. Ulica jest w opłakanym stanie: wszędzie gałęzie, pięciocentymetrowa warstwa lodu. Świat w galarecie.

Jednak w domu robi się coraz zimniej. Będzie musiała wyjść, zagłębić się w oślepiający przestwór i kupić drewno, o ile jakieś znajdzie. Albo znaleźć schronienie: kościół, kawiarnię, restaurację. Miejsce, gdzie wciąż jest prąd i ogrzewanie.

To oznaczałoby opuszczenie Ewana. Zostałby tu sam. Niedobrze.

Na śniadanie je jogurt waniliowy prosto z pojemnika. W tym czasie Ewan oznajmia swoją obecność.

– Weź się w garść – upomina ją surowo.

Constance nie rozumie, o co mu chodzi. Nie musi brać się w garść, nie jest rozbita, po prostu je jogurt.

– Co masz na myśli, Ewanie? – pyta.

– Czy nie było nam razem dobrze? – mówi Ewan niemal błagalnie. – Czemu to niszczysz? Kim był ten mężczyzna? – W jego głosie słychać wrogość.

– Jak to? – pyta Constance, ogarnięta niedobrymi przeczuciami. To chyba niemożliwe, żeby Ewan miał dostęp do jej snów.

Constance, mówi do siebie. Tracisz kontrolę. Czemu miałby mieć dostęp do twoich snów? On istnieje wyłącznie w twojej głowie.

– Dobrze wiesz, o czym mówię – odzywa się Ewan za jej plecami. – O tym mężczyźnie!

– Chyba nie masz prawa pytać – mówi Constance, odwracając się. Nikogo tam nie ma.

– Dlaczego nie? – pyta ciszej Ewan. – Weź się w garść! – Czyżby zanikał?

– Ewanie, czy miałeś romans? – pyta Constance. Skoro on naprawdę chce się w to zagłębiać, w zabawie mogą uczestniczyć dwie osoby.

– Nie zmieniaj tematu – mówi Ewan. – Nie było nam dobrze razem? – Jego głos pobrzękuje mechanicznie.

– To ty stale zmieniałeś temat – upiera się Constance. – Po prostu powiedz mi prawdę! Nie masz już nic do stracenia, przecież nie żyjesz.

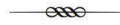
Nie powinna była tego mówić. Wszystko popsuła, należało dodać mu otuchy. Nie powinna była wymawiać tego słowa, wymknęło się, ponieważ była zła.

– Nie mówiłam poważnie! – zapewnia. – Ewanie, tak mi przykro, tak naprawdę nie...

Za późno. Rozlega się ledwo słyszalna eksplozja, jak podmuch powietrza. Potem cisza. Ewan znikł.

Constance czeka: nic.

– Przestań się dąsać! – mówi. – Otrząśnij się! – Na moment ogarnia ją gniew.



Constance wyprawia się po jedzenie. Na chodniku ktoś zapobiegliwy rozsypał piasek. Sklep na rogu cudem jest otwarty: mają generator. Spotyka tam innych ludzi, którzy również nie mają prądu. Kobieta z pofarbowanymi włosami i tatuażem podgrzała w garnku zupę. Pieczone kurczaki sprzedaje w kawałkach, żeby dla wszystkich starczyło.

– Proszę, kochana – zwraca się do Constance. – Martwiłam się o ciebie!

– Dziękuję – mówi Constance.

Powoli się rozgrzewa, je kurczaka i zupę, słucha sąsiedzkich relacji o burzy lodowej. Ludzie mówią, jak bardzo dopisało im szczęście, pytają, czy mogą jakoś pomóc. Panuje miła, przyjazna atmosfera, lecz Constance nie może długo zabawić. Musi wracać do domu, bo Ewan na pewno czeka.

Po powrocie sprawdza kolejno zimne pokoje, nawołuje, jakby zwracała się do przestraszonego kota.

– Ewanie, wracaj! Kocham cię! – Jej własny głos rozbrzmiewa echem w głowie. W końcu idzie na strych i otwiera kufer z naftaliną. Leżą tam tylko spłaszczone, nieruchome ubrania. Gdziekolwiek przebywa Ewan, na pewno nie ma go w kufrze.

Zawsze bała się spytać go o romans. Nie była idiotką, wiedziała, co robił, nie wiedziała tylko z kim – czuła zapach. Bała się jednak, że Ewan zostawi ją tak jak Gavin. Tego by nie zniosła.

I oto odszedł. Zamilkł. Zniknął.

Chociaż zniknął z domu, przecież nie mógł całkowicie wyparować ze wszechświata. Tego Constance nie akceptuje. Gdzieś musi być.

Powinna się skoncentrować.

Idzie do pracowni, siada na krześle Ewana, wpatruje się w pusty ekran komputera. Ewan na pewno próbował ocalić Alphinlandię, nie chciał, żeby usmażyła się w wyładowaniu elektrycznym. To dlatego kazał jej wyłączyć komputer. Ale czemu miałby to robić? Alphinlandia nie jest jego terenem: Ewan skrycie nienawidził sławy, jaką cieszyła się ta kraina, czuł się upokorzony jej intelektualną miałkością. Został wykluczony z Alphinlandii, z prywatnego świata Constance, niewidzialne kraty nie pozwalają mu dostać się do środka.

Ale czy na pewno? Może jednak potrafi tam wejść. Może reguły Alphinlandii przestały obowiązywać, ponieważ zaczarowany popiół spełnił swoją rolę i starodawne zaklęcia zostały złamane. Właśnie dlatego Gavin mógł zeszłej nocy otworzyć beczkę i wejść do domu Constance. Skoro Gavin mógł się wydostać z Alphinlandii, równie dobrze Ewan może tam wejść. Albo przyciągnęła go zwykła pokusa sięgnięcia po zakazany owoc.

Właśnie tam musiał się udać. Minął bramę w kamiennym murze z wieżyczkami, wszedł do środka. Idzie w półmroku krętą drogą, przechodzi przez most oświetlony blaskiem księżyca, wkracza do cichego, groźnego lasu. Wkrótce dotrze do cienistych rozstajów i gdzie skręci? Nie będzie miał pojęcia. Zabłądzi.

Już zabłądził. W Alphinlandii jest obcy, nie zna czyhających niebezpieczeństw. Nie ma do dyspozycji runów ani broni. Nie ma sojuszników.

A raczej jego jedynym sojusznikiem jest Constance.

– Poczekaj, Ewanie – mówi. – Poczekaj tam, gdzie jesteś. – Będzie musiała wejść i go odszukać.

Zjawa

---

Reynolds wpada do salonu z dwiema poduszkami. Wiele lat temu, dokładnie nie wiadomo ile, te poduszki objęte rękami Rey niczym dwie nadmuchiwane piersi, miękkie, lecz jędrne, przywiodłyby Gavinowi na myśl prawdziwe piersi, równie miękkie i jędrne, schowane pod spodem. Mógłby sklepać zmyślną metaforę i za pomocą poduszek opisać na przykład dwa kurczaki wykazujące gotowość płciową. Albo, z uwagi na gumową sprężystość, przywołałby obraz dwóch trampolin.

Teraz jednak te dwie poduszki – w połączeniu z piersiami – przywodzą na myśl przedobrzoną awangardową inscenizację *Ryszarda III*, którą zeszłego lata oglądali w parku. Reynolds uparła się, żeby poszli, twierdziła, że Gavinowi dobrze zrobi zerwanie z rutyną, wyjście na świeże powietrze i otwarcie się na nowe idee, na co Gavin odparł, że wystarczyłoby wyjście na świeże powietrze i rozpięcie rozporoka, wtedy Reynolds szturchnęła go żartobliwie łokciem i zmysłowym głosem powiedziała:

– Niegrzeczny Gavvy!

Lubiła udawać, że Gavin jest dysfunkcyjnym zwierzakiem domowym. Nie jest aż tak daleka od prawdy, myśli z goryczą Gavin. Jeszcze nie robi na dywan, nie niszczy mebli i nie skamle o posiłki, ale już prawie.

Na wyprawę do parku Reynolds zabrała do torby turystycznej plastikową płachtę do siedzenia, parę koców z samochodu, na wypadek gdyby Gavin zmarł, oraz dwa termosy, jeden z kakao, a drugi z wódką zmieszaną z martini. Plan Reynolds był jasny: jeśli Gavin będzie za bardzo biadolił, znieczuli go alkoholem, przykryje kocami z nadzieją, że zaśnie, sama zaś zanurzy się w dziele nieśmiertelnego barda.

Plastikowa płachta okazała się dobrym pomysłem, ponieważ po południu padało i trawa była mokra. Skrycie marząc o ulewnym deszczu, który pozwoliłby mu wrócić do domu, Gavin usadowił się na kocu, zaczął się skarżyć na ból nóg, w dodatku był głodny. Reynolds przewidziała obie ewentualności: wyjęła maść Rub



A535 z antyflogistyną – jedno z ulubionych przez Gavina słów pozbawionych sensu – oraz kanapkę z pastą z łososia.

– Nie mogę przeczytać pieprzonego programu – oświadczył Gavin, co nie znaczyło, że miał na to ochotę. Reynolds wręczyła mu latarkę i szkło powiększające. Była gotowa na niemal wszystkie jego wybiegi.

– To ekscytujące! – powiedziała głosem Pani Promyczek. – Będziesz się dobrze bawił!

Gavin poczuł wyrzuty sumienia: to poruszające, że Reynolds nadal wierzyła, że on może się dobrze bawić. Twierdzi, że gdyby tylko spróbował, na pewno by potrafił, problem tkwi w jego negatywnym nastawieniu. Nieraz odbywali tę rozmowę. On mówi, że jego problem polega na tym, że świat cuchnie, więc może niech Reynolds przestanie próbować go naprawić i zajmie się tą kwestią. Na co ona odpowiada, że rzeczy cuchną tylko dla człowieka, który wacha, albo posługuje się podobnym subiektywizmem w stylu Keatsa – co nie znaczy, że rozpoznałaby subiektywizm Keatsa, nawet gdyby się o niego potknęła – a w ogóle to czemu Gavin nie zajmie się buddyjską medytacją?

Oraz pilatesem, Reynolds jest zagorzałą zwolenniczką pilatesu. Umówiła się już z instruktorką gotową dawać mu prywatne lekcje. Dziewczyna zazwyczaj tego nie robi, ale zgodziła się, ponieważ podziwia twórczość Gavina. Pomysł budzi jego odrazę: jakiś napompowany estrogenem kociak, cztery razy młodszy od niego, wygina jego żylaste, guzowate kończyny, porównując zabójczo przystojnego bohatera wczesnych wierszy, kipiącego energią seksualną i sardonicznym humorem, ze zwiędłą wiązką oplecionych sznurkiem patyków, jaką się stał. Proszę spojrzeć na ten obrazek, teraz na ten. Dlaczego Reynolds tak zależy na tym, żeby przykuć Gavina do narzędzia tortur o nazwie pilates i rozciągać go, aż pęknie niczym sparciała guma? Reynolds chce wiedzieć, że on cierpi. Pragnie go upokorzyć, a zarazem zachować przekonanie o własnej wielkoduszości.

– Przestań mnie stręczyć tym wszystkim młodym lalom – mówi Gavin. – Może po prostu przywiążesz mnie do krzesła i zaczniesz sprzedawać bilety?

Park wprost kipiał aktywnością. W głębi dzieciaki rzucały frisbee, niemowlaki się darły, psy czekały. Gavin pochylił się nad programem. Jak zwykle pretensjonalne gówno. Rozpoczęcie sztuki się opóźniało, wyjaśniono im, że doszło do zwarcia w oświetleniu. Gavin tłukł zlatujące się komary, Reynolds wyjęła off. Jakiś dureń w jednoczesnym trykocie, ze świńskimi uszami, zadął w trąbkę,

żeby publiczność ucichła; rozległ się wybuch, postać w kryzysie popędziła do stoiska z napojami – Czego szukał ten człowiek? O czym zapomniał? – wreszcie przedstawienie się rozpoczęło.

Na wstępie wyświetlono film nakręcony podczas wykopywania szkieletu Ryszarda Trzeciego spod parkingu. Rzecz się wydarzyła naprawdę, Gavin widział materiał w wiadomościach. Badania DNA potwierdziły, że to faktycznie Ryszard, z licznymi obrażeniami czaszki. Film w parku wyświetlano na białym materiale przypominającym prześcieradło, którym najpewniej był z uwagi na skąpy budżet, powiedział cicho Gavin. Reynolds szturchnęła go łokciem.

– Mówisz głośniej, niż ci się wydaje – szepnęła.

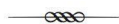
Ścieżka dźwiękowa – z trzaskającego głośnika dobiegał marny pastisz elżbietańskiego pentametry jambicznego – dawała widzom do zrozumienia, że dramat, który mieli zobaczyć, rozgrywał się pośmiertnie w sponiewieranej czaszce Ryszarda. Zbliżenie na oczodół, zagłębienie się w czaszkę. Zaciemnienie.

W tym momencie prześcieradło zdarto i w świetle reflektorów ukazał się Ryszard gotowy hasać i przybierać pozy, miotać się i zdradzać. Na plecach miał nedorzecznie wielki garb ozdobiony czerwono-żółtymi paskami błazna – jak pan Punch, który wywodził się od Poliszynela, wyjaśniał program, bo zgodnie z wizją reżysera szekspirowski Ryszard był postacią, która wyrastała z *commedii dell'arte*. W owych latach po Anglii podróżowała trupa takich aktorów. Rozmiary garbu były zamierzone: wewnętrzne jądro sztuki („W przeciwieństwie do jądra zewnętrznego” – prychnął pod nosem Gavin) zasadzało się na rekwizytach. Były to symbole nieświadomości Ryszarda, stąd ich powiększenie. Tok myślowy reżysera musiał przebiegać następująco: kiedy widzowie będą się gapić na ogromne trony, garby i co tam jeszcze, zastanawiając się, co, do kurwy nędzy, robią w tej sztuce, nie będzie im przeszkadzać, że nie słyszą słów.

Tak więc oprócz olbrzymiego, wielobarwnego, metonimicznego garbu Ryszard nosił królewską szatę z pięciometrowym trenem podtrzymywanym przez dwóch giermków o wielkich łbach dzika, ponieważ Ryszard miał dzika w herbie. W sztuce nie brakowało ogromnej beczki z małmazją, w której mieli utopić Clarence'a, oraz mieczy, których długość dorównywała wzrostowi aktorów. Scenę stracenia królewiczów w Tower odegrano jako pantomimę podobną do sztuki w *Hamlecie*. Na noszach wniesiono dwie ogromne poduchy przywodzące na myśl trupy lub

pieczone prosięta. Na powłóczkach widniał ten sam wzór co na garbie Ryszarda, aby widzom nie umknęło sedno.

Śmierć przez garb, myśli Gavin, patrząc na poduszki, które niesie do niego Reynolds. Cóż za los. Do tego Reynolds jako pierwsza morderczyni. W sumie miało to sens, jeśli wziąć pod uwagę wszystko, a Gavin wszystko bierze. Ma na to czas.



– Obudziłeś się? – pyta pogodnie Reynolds, stąpając po podłodze z głośnym łoskotem.

Ma na sobie czarny sweter i obcisłe džinsy spięte turkusowo-srebrnym paskiem. Nieco przytyła w udach, poza tym silnych i ukształtowanych jak uda panczenistki. Czy powinien zwrócić jej uwagę na te fałdy tłuszczu? Nie, lepiej wykorzystać je w jakimś strategicznym momencie. Zresztą może to nie tłuszcz, ale mięśnie. Reynolds sporo ćwiczy.

– Gdybym nie zbudził się wcześniej, to teraz na pewno – odpowiada Gavin. – Klekoczesz jak drewniana kolejka.

Gavin nie lubi jej sabotów, o czym jej powiedział. Nie poprawiają kształtu nóg. Jednak Reynolds mniej niż dawniej zależy na tym, co Gavin myśli o jej nogach. Twierdzi, że saboty są wygodne, a jej zdaniem wygoda jest ważniejsza od mody. Gavin próbował cytować Yeatsa, który pisał, że kobiety muszą się starać, aby być piękne, jednak Reynolds – dawniej wielbicielka Yeatsa – jest dziś zdania, że Yeats ma prawo do swojej opinii, lecz dotyczyła ona jego czasów i ówczesnych stosunków społecznych, a poza tym tak się składa, że Yeats nie żyje.

Reynolds umieszcza poduszki za Gavinem, jedną za głowę, drugą w krzyżu. Twierdzi, że dzięki poduszkom wydaje się wyższy, a przez to robi większe wrażenie. Poprawia okrywający mu nogi i stopy kraciasty koc samochodowy, który uparcie nazywa kocem do drzemki.

– Och, panie Burmoszu, gdzie pański uśmiech? – pyta.

Reynolds nabrała zwyczaju nazywania go zgodnie z nastrojem danego dnia, w danej godzinie czy nawet minucie; według niej Gavin łatwo ulega nastrojom. Każdy nastrój jest spersonifikowany i ma własny tytuł grzecznościowy, Gavin bywa więc panem Burmoszem, panem Śpiochem, doktorem Ironicznym, sir Sardonicznym, czasami też, kiedy przez Reynolds przemawiają sarkazm lub

nostalgia, panem Romantykiem. Jakiś czas temu nazywała jego członek panem Wijkim, ale poniechała zarówno tego, jak i prób ożywienia nieistniejącego libido Gavina za pomocą maści i galaretek erotycznych o smaku truskawek, ożywczego imbiru i cytryny, a także miętowej pasty do zębów. Była też przygoda z suszarką do włosów, o której wolałby zapomnieć.

– Jest za kwadrans czwarta – ciągnie Reynolds. – Przygotujmy się na towarzystwo!

Czas na szczotkę do włosów – jedną rzeczą, którą udało mu się zachować, są włosy – a następnie na szczotkę do usuwania kłaczków. Przypominających psią sierść. Jakby liniał.

– Kto przychodzi tym razem? – pyta Gavin.

– Bardzo miła kobieta – zapewnia Reynolds. – Miła dziewczyna. Pisze pracę magisterską o twojej twórczości.

Sama Reynolds też pisała kiedyś pracę o jego twórczości: od tego zaczął się upadek Gavina. W tamtych czasach niezmiernie go podniecało, że młoda, atrakcyjna dziewczyna zwraca tak wielką uwagę na wszystkie przymiotniki, których używa.

– Pracę o mojej pierdolonej twórczości – jęczy Gavin. – Chryste, miej nas w opiece!

– Ależ, panie Błóżnierco, proszę nie być takim wstręciuchem.

– Co ta uczona robi na Florydzie? – pyta Gavin. – Musi być istnym potworem.

– Floryda nie jest takim zadupiem, jak twierdzisz – odpowiada Reynolds. – Czasy się zmieniły, są tu dobre uniwersytety, jest świetny festiwal literacki, na który zjeżdżają się tysiące ludzi!

– Fanta-kurwa-stycznie. Jestem pod wrażeniem – mówi Gavin.

– Tak czy owak – dodaje Reynolds, puszczając jego sarkazm mimo uszu – ona nie pochodzi z Florydy. Przyleciała z Iowa specjalnie dla ciebie! Wiesz, ludzie wszędzie piszą prace o twojej twórczości.

– Kurwa, Iowa – mówi Gavin. „Prace o twojej twórczości”, ona czasem wyraża się jak pięciolatka.

Reynolds zaczyna się bawić szczotką do kłaczków. Atakuje jego ramiona, żartobliwie robi zamach w kierunku krocza.

– Zobaczymy, czy są kłaczki na panu Wijku! – mówi.

– Zabieraj swoje lubieżne szpony od moich genitaliów – ripostuje Gavin. Ma ochotę dodać: oczywiście, że na panu Wijku są kłaczki, a w każdym razie kurz albo rdza; czego się spodziewała, przecież wie doskonale, że od pewnego czasu pan Wijek leży na półce. Jednak trzyma język za zębami.

„Rdzy poddać połysk, w działaniu nie błyszczeć”<sup>[1]</sup>, myśli Gavin. Ulisses Tennysona wyrusza na ostatnią wyprawę, szczęściarz, przynajmniej pójdzie na dno w butach. Co nie znaczy, że Grecy nosili buty. To jeden z pierwszych wierszy, jakich musiał nauczyć się na pamięć w szkole; okazało się, że dobrze mu idzie uczenie się na pamięć. Wstyd przyznać, ale właśnie to doprowadziło go do poezji. Tennyson, ta staroświecka wiktoriańska pierdoła, piszący o starcu. Rzeczy mają zwyczaj zataczać pełny krąg, zdaniem Gavina jest to zwyczaj niezwykle przykry.

– Pan Wijek lubi moje lubieżne szpony – mówi Reynolds.

Jakie to uprzejme z jej strony, że używa czasu teraźniejszego. Dawniej bawili się tak, że Reynolds udawała osobę dominującą, uwodzącą, kobietę fatalną, on zaś bierną ofiarę. Reynolds najwyraźniej podobał się taki scenariusz, więc Gavin się na niego zgadzał. Teraz to już nie jest gra, wszystkie dawne gry przestały działać. Próba ich wskrzeszenia tylko zasmuciłaby oboje.

Nie na to się pisała, wychodząc za niego za mąż. Najpewniej wyobrażała sobie fascynujące życie, pełne błyskotliwych, twórczych ludzi i stymulujących pogawędek intelektualnych. Owszem, trochę tego było wkrótce po ślubie, buzowały też wciąż aktywne hormony Gavina. Ostatni wybuch ogni sztucznych, zanim zgasły; ale teraz Reynolds zostało wypalone ściernisko. W chwilach łagodności Gavinowi jest jej żal.

Reynolds musi znajdować pociechę gdzie indziej. Sam by tak postępował na jej miejscu. Co naprawdę robi, kiedy idzie na warsztaty tkackie albo wieczorki taneczne z tak zwanymi koleżankami? Gavin potrafi to sobie wyobrazić i faktycznie sobie wyobraża. Dawniej tego rodzaju fantazje martwiły go, teraz rozmyśla o ewentualnych transgresjach Reynolds – nie tylko ewentualnych, ale niemal pewnych – z klinicznym dystansem. Niewątpliwie ma do tego prawo: jest od niego o trzydzieści lat młodsza. Gavin ma na głowie więcej rogów – jak by powiedział bard – niż stugłowy ślimak.

Dobrze mu tak, skoro ożenił się z młódką. Dobrze mu tak, skoro ożenił się z trzema po kolei. Dobrze mu tak, skoro żenił się ze studentkami. Dobrze mu tak, skoro ożenił się z samozwańcą, dominującą kustoszką jego życia i czasów. Dobrze mu tak, skoro się ożenił.

Przynajmniej Reynolds go nie opuści, tego jest niemal pewien. Już przygotowuje się do roli wdowy, nie chciałaby, żeby cały ten wysiłek poszedł na marne. Jest osobą tak lubiącą rywalizację, że zostanie przy nim, aby dopilnować, że żadna z poprzednich żon nie zawłaszczy żadnej części Gavina, literackiej czy innej. Reynolds zechce sprawować kontrolę nad jego narracją – jeśli ktokolwiek ma pomagać w pisaniu jego biografii, ona chce być tą osobą. Poza tym zechce wykluczyć jego dzieci – ma po jednym z każdą z byłych żon – choć trudno je dziś nazwać dziećmi, bo któreś musi mieć już pięćdziesiąt jeden, może pięćdziesiąt dwa lata. Gavin nie zwracał na nie szczególnej uwagi, kiedy były małe. Zarówno dzieci, jak ich zasikane rzeczy zajmowały tyle miejsca, absorbowaly tyle uwagi, która należała się jemu, że wyniósł się, zanim skończyły trzy lata, więc teraz za nim nie przepadają; zresztą Gavin ich nie wini, bo sam nienawidził swego ojca. Mimo to po pogrzebie dojdzie pewnie do niesnasek: Gavin pilnuje, żeby tak się stało, nie finalizując testamentu. Gdyby tylko mógł unosić się po śmierci w powietrzu i patrzeć!

Reynolds po raz ostatni przejeżdża szczotką do kłaczków, zapina drugi od góry guzik koszuli, poprawia kołnierzyk.

– Gotowe – oznajmia. – Znacznie lepiej.

– Kim jest ta dziewczyna? – pyta Gavin. – Ta, która tak bardzo interesuje się moją tak zwaną pracą? Ma fajny tyłek?

– Przestań – ucina Reynolds. – Całe twoje pokolenie miało obsesję na punkcie seksu. Mailer, Updike, Roth, wszyscy ci goście.

– Oni byli starsi ode mnie – zauważa Gavin.

– Niewiele. Tylko seks, seks i seks, na okrągło. Nie mogli zapiąć rozporka.

– Do czego zmierzasz? – pyta spokojnie Gavin, który świetnie się bawi. – Czy seks jest rzeczą złą? Nagle stałaś się nieco pruderyjna? Na punkcie czego mielibyśmy dostawać obsesji? Na punkcie zakupów?

– Zmierzam do tego – mówi Reynolds, ale milknie, żeby się zastanowić, sięgnąć do rezerw. – Zgoda, zakupy są słabym substytutem seksu, ale z braku laku...

To zabolalo, myśli Gavin.

– Laku?

– Nie udawaj głupka, dobrze zrozumiałeś. Chodzi mi o to, że nie wszystko obraca się wokół tyłka. Ta kobieta ma na imię Naveena. Zasluguje na szacunek. Opublikowała już dwa artykuły o czasach Riverboat. Tak się składa, że jest bardzo inteligenta. Chyba wywodzi się z Indii.

„Wywodzi się z Indii”. Skąd ona bierze te przedpotopowe określenia? Kiedy sili się na prawdziwą literatkę, mówi jak komiczna dama w sztuce Oscara Wilde’a.

– Naveena – mówi Gavin. – To brzmi jak produkt seropodobny Velveeta. Albo, jeszcze lepiej, depilator w kremie.

– Nie musisz pogardzać ludźmi – mówi Reynolds, którą dawniej rozczulał fakt, że Gavin pogardza ludźmi, przynajmniej niektórymi; uważała, że oznacza to, iż Gavin góruje nad innymi intelektualnie i ma wyrobiony gust. Obecnie jego złośliwości świadczą jej zdaniem tylko o wrednym charakterze albo są objawem niedoboru witamin. – To takie przewidywalne! Wiesz, umniejszając innych, nie stajesz się większy. Tak się składa, że Naveena jest poważną badaczką literatury. Ma tytuł magistra.

– Jeśli nie ma ładnego tyłka, nie zamierzam z nią rozmawiać – mówi Gavin. – Każdy półmózg ma tytuł magistra. Tytuły magisterskie są jak prażona kukurydza. – Funduje jej to za każdym razem, kiedy Reynolds wyjeżdża z nową wielbicielką, aspirantem, nowym niewolnikiem z akademickiej kopalni soli. Robi to, ponieważ coś musi jej fundować.

– Prażona kukurydza? – pyta Reynolds, a Gavin chwilę się waha. Co właściwie miał na myśli? Bierze głęboki wdech.

– Maleńkie ziarna prażone na akademickiej kuchence. Gorące powietrze rozszerza się. Puf! Magisterium.

Nieźle, myśli. W dodatku prawdziwe. Potem robią z nich rozdęte purchawki, za duże na dostępne posady. Lepiej już mieć uprawnienia hydraulika.

Rey śmieje się nieco kwaśno, sama ma magisterium. Po chwili marszczy brwi.

– Powinieneś być wdzięczny – mówi. Czas na besztanie, uderzenie zrolowaną gazetą. Niegrzeczny Gavvy! – Przynajmniej ktoś nadal się tobą interesuje! Młoda osoba! Niektórzy poeci daliby się za coś takiego posiekać. Na twoje szczęście lata

sześćdziesiąte są teraz modne. Nie możesz się skarżyć, że oszczędłeś w zapomnienie.

– Przecież ja nigdy się nie skarżę – zauważa.

– Skarżysz się nieustannie na wszystko – mówi Reynolds, która dochodzi do punktu, gdzie zaczyna mieć wszystkiego dość. Nie powinien drażnić dalej, a jednak to robi.

– Powinienem być ożenić się z Constance – mówi.

Te sześć słów uderza nagle o stół niczym siekiera. Trach! Zazwyczaj wywołują wrogość, czasem nawet łzy. Najwyższa nagroda to trzaśnięcie drzwiami. Albo przedmiot ciśnięty w Gavina. Raz rzuciła w niego popielniczką.

– Cóż, nie ożeniłeś się z Constance – mówi z uśmiechem Reynolds. – Ożeniłeś się ze mną. Więc możesz mi possać.

Gavinowi na chwilę odbiera mowę. Ona gra osobę, której nic nie jest w stanie dotknąć.

– Ach, gdybym tylko mógł – mówi z przesadną tęsknotą.

– Sztuczna szczeka nie jest żadną przeszkodą – odpowiada sucho Reynolds. Kiedy Gavin posunie się za daleko, potrafi być prawdziwą suką. To umiejętność, którą w niej podziwia, choć robi to niechętnie, gdy jest wymierzona przeciw niemu. – Idę przyszykować herbatę. Jeśli nie będziesz grzeczny podczas wizyty Naveeny, nie dostaniesz ciasteczka.

Wybieg z ciasteczkiem to zabawa; w ten sposób Reynolds próbuje żartobliwie rozładować atmosferę, ale Gavin czuje się nieco przerażony, ponieważ groźba trafia w sedno. Nie ma ciasteczka! Pogrąża się w osamotnieniu. W dodatku się ślini. Chryste. Do tego już doszło? Siedzi i prosi o smakołyki?

Reynolds maszeruje do kuchni, zostawiając Gavina na sofie, skąd może podziwiać dostępny widok. Błękitne niebo za oknem. Na ogrodzonym podwórzu rośnie palma. Jest też jakaranda, a może uroczyń? Nie ma pojęcia, tylko wynajmują ten dom.

Przy domu znajduje się basen, z którego Gavin nigdy nie korzysta, chociaż jest podgrzewany. Reynolds zanurza się tam czasem, zanim obudzi go rano, w każdym razie tak twierdzi: lubi chwalić się formą fizyczną. Do basenu wpadają liście jakarandy, czy tego, co tam rośnie, a także kolce palmy. Powoli wirują na wodzie poruszanej przez pompę cyrkulacyjną. Trzy razy w tygodniu przychodzi



dziewczyna i wylawia je siatką na długim kij. Ma na imię Maria, chodzi do liceum, jej usługi są wliczone w cenę wynajmu. Kluczem otwiera sobie bramę ogrodową i w butach na gumowej podeszwie bezgłośnie idzie przez śliskie, wykładane kafelkami patio. Ma długie ciemne włosy, kształtną talię, niewykluczone, że jest Meksykanką; Gavin nie wie, bo nigdy nie zamienił z nią słowa. Maria zawsze nosi krótkie płócienne spodnie, jasno- lub ciemnoniebieskie, a wylawiając liście, pochyła się. Ilekroć Gavin dostrzega jej twarz, maluje się na niej beznamiętny, raczej poważny wyraz.

Och, Mario, wzdycha Gavin. Czy masz w życiu kłopoty? Jeśli nie, wkrótce się zaczną. Jaki kształtny tyłek. To dobrze, że tak nim kręcisz.

Czy Maria widzi czasem, jak Gavin obserwuje ją przez okno? Najpewniej tak. Czy uważa go za lubieżnego starca? Najprawdopodobniej. Jednak nie tym dokładnie jest. Jak wyrazić mieszaninę tęsknoty, smutku i niemego żalu, których doświadcza? Żałuje, że nie jest lubieżnym starcem, bo chciałby nim być. Chciałby nadal nim być. Jak opisać słodycz lodów, kiedy człowiek nie może już ich kosztować?

Pisze wiersz zaczynający się od słów: „Maria wylawia schnące liście”. Chociaż, technicznie rzecz biorąc, liście już uschły.



Rozlega się dzwonek do drzwi i Reynolds idzie do holu, stukając sabotami. Słysząc kobiece powitania, to gołębie gruchanie praktykowane przez dzisiejsze kobiety. Nawzajem raczą się ochami i achami niczym najlepsze przyjaciółki, chociaż nigdy się nie widziały. Kontaktowały się przez e-mail, czym Gavin pogardza. Jednak nie powinien tym gardzić: przekazanie Reynolds kontroli nad jego korespondencją było błędem, ponieważ tym samym uzyskała klucze do jego królestwa. Teraz jest strażniczką Królestwa Gavina. Nikt nie dostanie się do niego bez jej zgody.

– Właśnie uciął sobie drzemkę – mówi Reynolds tonem udawanego szacunku, jaki przyjmuje, kiedy ma go przedstawić osobom trzecim. – Chciałaby pani najpierw zajrzeć do jego gabinetu? Gdzie pisze?

– Och, uuu – odzywa się Naveena, co przypuszczalnie ma oznaczać zachwyt. – Jeśli można. – W korytarzu rozlega się stukot dwóch par butów.

– On nie umie pisać na komputerze – mówi Reynolds. – Może to robić wyłącznie ołówkiem. Twierdzi, że to coś wzrokowo-ruchowego.

– Niesamowite – mówi Naveena.

Gavin darzy gabinet szczerą nienawiścią. Nienawidzi tego tutaj – mimo że jest tylko tymczasowy – ale nade wszystko nienawidzi swego prawdziwego gabinetu w Kolumbii Brytyjskiej zaprojektowanego przez Reynolds. Na ścianach w kolorze nerek wypisano białą farbą cytaty z wierszy Gavina najczęściej zamieszczanych w antologiach, musi więc siedzieć otoczony pomnikami własnej gnijącej wielkości. Powietrze jest tam gęste od strzępów arcydzieł poetyckich, które dawniej wielbił: odłamki pięknie ukształtowanych urn, przebrzmiałe echa mądrości i dowcipu innych ludzi.

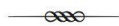
Reynolds opiekuje się oboma gabinetami jak miejscami kultu bożka, czyli Gavina. Z namaszczeniem temperuje ołówki, blokuje wszystkie połączenia telefoniczne i zamyka Gavina w środku. Następnie stąpa na palcach, jakby leżał na oddziale intensywnej terapii, on zaś nie jest w stanie napisać ani słowa. Nie może przemienić słomy w złoto, z pewnością nie w tym gabinecie podobnym do mauzoleum. Rumpelszyk, ten złośliwy karzeł – bo tak najpewniej wygląda w tych dniach muza Gavina – spóźnialski Rumpelszyk nigdy się nie pojawia. W porze lunchu przy stole Reynolds spojrzy na Gavina z nadzieją i spyta:

– Coś nowego?

Jest dumna z tego, jak chroni jego prywatność, dba o to, by miał bliski kontakt z własną poetycką naturą, zapewnia mu, jak to nazywa, „twórczy czas”. Gavin nie ma serca wyjawić jej, że wysechł na wiór.

Musi się stąd wyrwać, przynajmniej z gabinetu, z obu gabinetów, gdzie unosi się stęchły zapach zabalsamowanych kartek. W latach sześćdziesiątych, gdy mieszkał z Constance w tym ciasnym pokoju podobnym do łaźni parowej, gdzie dusili się jak suszone śliwki, nie mieli grosza przy duszy, a on z całą pewnością nie dysponował wyszukaniem gabinetem, mógł pisać wszędzie – w knajpach, barach szybkiej obsługi, kawiarniach – słowa wypływały z niego przez ołówek czy długopis na każdą płaską powierzchnię, jaką miał pod ręką. Koperty, serwetki, owszem, to banalne, ale prawdziwe.

Jak tam wrócić? Jak wrócić?



Stukot się zbliża.

– To tutaj – mówi Reynolds.

Naveena zostaje wprowadzona do salonu. Jest piękną istotką, praktycznie dzieckiem. Wielkie, nieśmiałe ciemne oczy. Nosi kolczyki w kształcie ośmiornic. Masz w uszach owoce morza, mógłby ją zagadnąć, gdyby próbował poderwać Naveenę w barze, jednak teraz się powstrzymuje.

– Och, proszę nie wstawać – mówi Naveena, ale Gavin z namaszczaniem podnosi się, by uścisnąć jej rękę, którą trzyma odrobinę za długo.

Następnie Reynolds, jak kompetentna pielęgniarka, musi poprawić poduszki. A gdyby Gavin chwycił za ten cycek w czarnym swetrze, który wypycha mu się do oka, i przewrócił Reynolds na plecy jak żółwia? „Strzeliście do niej skieruję zaloty”<sup>[2]</sup>. Krzyki, oskarżenia, folia zdarta z miski z małżeńskimi resztkami na oczach jednoosobowej publiczności. Czy taki skandal pomógłby Gavinowi wykręcić się od żałosnego wywiadu?

Tyle że on nie chce się wykręcać, jeszcze nie. Czasami dobrze się bawi. Lubi mówić, że nie pamięta, by napisał tę słowną sieczkę, lubi dyskredytować wiersze, które te sentymentalne dzieciaki cytują jako swoje ulubione. Gównno, bełkot, śmiecie! Lubi snuć opowieści o dawnych kumplach poetach, niegdysiejszych rywalach. Większość już nie żyje, więc nikomu nie stanie się krzywda. Co nie znaczy, że Gavin powstrzymałby się, gdyby mogła się stać.

Rey sadza Naveenę w fotelu, en face Gavina.

– To taki zaszczyt pana poznać – mówi Naveena z należnym szacunkiem. Mówię jak kujonka, ale czuję... jakbym pana znała. To chyba dlatego, że studiowałam pańską twórczość i w ogóle. – Może jest z pochodzenia Hinduską, ale mówi z akcentem ze Środkowego Zachodu.

– W takim razie ma pani nade mną przewagę – odpowiada Gavin. Szczerzy zęby w uśmiechu niczym troll; ten jego uśmiech potrafi zbijać ich z pantałyku.

– Słucham? – pyta Naveena.

– Chce powiedzieć, że chociaż pani wie o nim dużo, on nie wie nic o pani – wyjaśnia Reynolds, jak zwykle wtrącając się do rozmowy. Przyjmuje rolę jego tłumaczki, jak gdyby Gavin był wyrocznią wygłaszającą zagadkowe uwagi, które może objaśnić tylko wysoka kapłanka. – Może więc powie mu pani, nad czym pracuje. Nad jaką częścią jego twórczości. Pójdę zaparzyć herbaty.

– Zamieniam się w słuch – mówi Gavin, przestając się szczerzyć.

– Tylko jej nie gryź – rzuca Reynolds, a jej dzinsy drgają na odchodne.

To dobra kwestia na wyjście: dwuznaczność, niejasne zamiary, brak szczegółów co do miejsca ugryzienia unoszą się w powietrzu niczym kuszący aromat. Gdzie by zaczął, gdyby zaproponowano mu kęs? Delikatnie nadgryzłby jej kark?

To na nic. Nawet ta perspektywa go nie pobudza. Tłumi ziewnięcie.

Naveena majstruje przy miniaturowym urządzeniu, po czym stawia je przed Gavinem na stoliku do kawy. Spódnica mini podjeżdża za kolana – odsłaniając wzorzyste pończochy, podobne do pofarbowanych na czarno koronkowych firanek, oraz buty z metalowymi ćwiekami na boleśnie wysokich obcasach. Od samego patrzenia na te buty Gavina bolą stopy. Palce musi mieć zgniecione w wąskie kliny, skrępowane jak stopy Chinek na sepiowych fotografiach. Faceci wsuwali swoich panów Wijków w wilgotne otwory uformowane przez wygięte, karłowate palce. On sobie tego nie wyobraża.

Włosy uczesała w kok niczym balerina. Koki są takie seksowne. Kiedyś atrakcją było ich rozplątywanie: rozpakowywało się je jak prezent. Głowy z włosami ściągniętymi w koki są takie wytworne i zwarte, takie dziewicze; potem przychodzi czas rozplątywania, rozrzucania włosów na piersi, na poduszkę. Gavin wylicza w myślach: „Koki, które poznałem”.

Constance nie nosiła koka. Nie potrzebowała. Sama była mniej więcej kokiem, schludnym i zwartym, a potem, kiedy wyrwała się na wolność, tak gwałtownym. Pierwsza kobieta, z którą mieszkał. Ona Ewa, on Adam. Tego nigdy nic nie zastąpi. Gavin pamięta ból oczekiwania na Constance w ich ciasnym, dusznym rajku z kuchenką elektryczną i takim samym czajnikiem. Przekraczała próg i do mieszkania wchodziło to jej soczyste, jędrne ciało zwieńczone głową bujającą w obłokach i pełną sprzeczności, z twarzą jak zanikający księżyc i jasnymi włosami rozchodzącymi się niczym promienie, kiedy brał Constance w ramiona i zatapiał zęby w jej szyi.

Może nie w, nie dosłownie, ale miał takie wrażenie. Po części dlatego, że w tym czasie nieustannie doskwierał mu głód, a Constance pachniała kurczakami z knajpy Snuffy's. Ponieważ go uwielbiała, topiła się jak rozgrzany miód. Była taka plastyczna. Mógł z nią robić wszystko, nadawać jej dowolny kształt, a Constance mówiła: tak. Nie po prostu: tak. Och, tak!

Czy kiedykolwiek potem Gavin był tak wielbiony bez żadnych ukrytych motywów? Wtedy nie był sławny, nie cieszył się nawet skromną grupową sławą poetów. Nie zdobył żadnej nagrody, nie opublikował ważnych, cienkich,

budzących zazdrość tomików. Cieszył się za to wolnością człowieka anonimowego, rozwijała się przed nim czysta przyszłość, gdzie wszystko dało się napisać. Constance wielbiła go dla niego samego. Dla samego rdzenia Gavina.

– Mógłbym cię zjeść – mówił do Constance. – Mmm, mmm. Rrr, rrr. O, tak!

– Słucham? – pyta Naveena.

Gavin wraca do chwili obecnej. Czyżby wydawał odgłosy? Odgłosy typu: mniam, mniam, warkot? A jeśli nawet, to co? Zasłużył na odgłosy. Może wydawać takie, jakie tylko zechce.

Piękna Naveeno, Nimfo, w przypisach swoich pomnij o mych żartach<sup>[3]</sup>. Potrzeba jakiejś praktyczniejszej uwagi.

– Czy te buty są wygodne? – pyta kordialnie. Najlepiej pójść tą drogą: niech dziewczyna mówi o czymś, na czym się zna, na przykład o butach, bo wkrótce straci grunt pod nogami.

– Co takiego? – pyta zaskoczona Naveena. – Buty? – Czyżby się rumieniła?

– Nie uwierają pani w palce? – dopytuje się Gavin. – Wyglądają bardzo modnie, ale jak może pani w nich chodzić?

Chciałby poprosić Naveenę, żeby wstała i zaczęła paradować po pokoju. Jedną z funkcji wysokich obcasów polega na tym, że przekrzywiają miednicę kobiety tak, że pupa wypina się do tyłu, a cycki sterczą do przodu, nadając ciału piękny wężowy kształt. Ale Gavin o to nie poprosi. W końcu ma do czynienia z zupełnie obcą osobą.

– A, te – mówi Naveena. – Tak, są bardzo wygodne, chociaż może nie powinnam ich nosić, kiedy chodniki są oblodzone.

– Chodniki nie są oblodzone – zauważa Gavin. Ta nimfa nie jest zbyt bystra.

– No, nie tutaj – mówi Naveena. – Przecież jesteśmy na Florydzie, prawda? Miałam na myśli tam, gdzie mieszkam. – Chichocze nerwowo. – Lód.

Oglądając telewizję, Gavin patrzy z rosnącym zainteresowaniem, jak wir polarny obejmuje północ, wschód, środek. Widział zdjęcia śnieżyc, burz lodowych, przewróconych samochodów i połamanych drzew. Constance musi się teraz znajdować w samym oku cyklonu. Gavin wyobraża sobie, jak odziana tylko w śnieg wyciąga do niego ręce, a jej postać promienieje nieziemską światłością. Jego pani księżycowego blasku. Już zapomniał, dlaczego się rozstali. Poszło o coś trywialnego, o błahostkę, która nie powinna mieć dla niej znaczenia. O kobietę,

z którą się przespał. Melanie, Megan, Marjorie? To było nieistotne, ta kobieta praktycznie wyskoczyła na niego z krzaków. Próbował to wyjaśnić Constance, ale ona nie chciała się wczuć w jego położenie.

Dlaczego nie mogli zostać razem na zawsze? On i Constance, słońce i księżyc, każde z nich lśniło, choć każde inaczej. Teraz siedzi tu, porzucony przez Constance, opuszczony. W czasie, który go nie karmi. W przestrzeni, która nie chce go utulić.

– Floryda. Tak? Do czego pani zmierza? – mówi zbyt ostro. O czym właściwie papie ta cała Naveena?

– Tutaj nie ma lodu – mówi cicho dziewczyna.

– Oczywiście, ale wkrótce wróci pani do domu – zauważa Gavin. Musi jej pokazać, że nie odplywa, nie gubi wątku. – Dokąd właściwie pani wraca? Do Indiany? Idaho? Iowa? Tam jest mnóstwo lodu! Jeśli się pani przewróci, proszę nie wystawiać ręki – radzi po ojcowsku. – Proszę spróbować upaść na ramię. W ten sposób nie złamie pani nadgarstka.

– Och, dziękuję – mówi Naveena, po czym, nieskrępowana, brnie dalej. – Czy moglibyśmy pomówić o panu? I pańskiej, wie pan, twórczości, pańskich wczesnych utworach. Przyniosłam magnetofon, mogę włączyć? Mam też filmy wideo. Może obejrzymy, a pan powie mi, kto jest kim, nakreśli tło. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

– Proszę strzelać – mówi Gavin, sadowiąc się w fotelu. Gdzie, do cholery, podziała się Reynolds? Gdzie jego herbata? I ciastko, przecież na nie zasłużył.

– No więc, pracuję, tak jakby, nad okresem Riverboat. Połowa lat sześćdziesiątych. Kiedy napisał pan wiersze wydane jako *Sonety dla mojej Pani*. – Naveena przygotowuje jedną z tych zabawek elektronicznych, tablet. Reynolds kupiła niedawno zielony. Tablet Naveeny jest czerwony, ze zmyślną trójkątną podstawką.

Gavin zasłania dłonią oczy, udając zażenowanie.

– Proszę mi nie przypominać – mówi. – Sonety to była praca czeladnicza. Nadęte amatorskie bzdety. Miałem tylko dwadzieścia sześć lat. Nie moglibyśmy przejść do poważniejszych rzeczy?

W istocie jednak tamte sonety zasługiwały na uwagę, po pierwsze, dlatego że były sonetami jedynie z nazwy – jak śmiał! – po drugie, ponieważ poszerzały

granice języka i otwierały go na nowe obszary. Tak w każdym razie napisano na odwrocie książki. Tak czy inaczej za ten tomik otrzymał swoją pierwszą nagrodę. Udawał, że odnosi się do niej obojętnie, wręcz pogardliwie – bo czymże były nagrody, jeśli nie kolejną formą zniewolenia Sztuki przez system – ale mimo to spieniężył czek.

– Keats umarł, kiedy miał dwadzieścia sześć lat, a proszę spojrzeć, co osiągnął! – mówi Naveena surowo.

Połajanka, wyraźna połajanka! Jak ona śmie! Kiedy przyszła na świat, on był już w średnim wieku! Mógłby być jej ojcem! Mógłby molestować jej dziecko!

– Byron nazwał poezję Keatsa „wierszami Jasia, co sika do łóżka” – mówi Gavin.

– Wiem – odpowiada Naveena. – Przypuszczam, że powodowała nim zazdrość. W każdym razie pańskie sonety są świetne! „Usta mej pani na mnie”... To takie proste, tak urocze i bezpośrednie.

Naveena chyba nie zdaje sobie sprawy, że to wiersz o robieniu laski. Różni się diametralnie od „Usta mej pani na moich”, ponieważ w tamtych czasach i w tym kontekście „mnie” było ukrytą aluzją do fiuta. Kiedy Reynolds po raz pierwszy przeczytała ten wers z ustami, głośno się roześmiała: w gnijącej lilii Gavina próżno szukać podobnej czystości.

– Czyli pracuje pani nad sonetami o Pani – mówi Gavin. – Może chciałaby pani, abym rzucił światło na pewne fragmenty? Informacje z pierwszej ręki, które wzbogaciłyby pani pracę magisterską.

– Cóż, dokładnie rzecz biorąc, nie pracuję nad sonetami – odpowiada Naveena. – W przeszłości sporo już o nich pisano. – Zarumieniona spuszcza wzrok na stolik. – Tak się składa, że piszę doktorat o C.W. Starr. Wie pan, Constance Starr, chociaż wiem, że Starr nie było jej prawdziwym nazwiskiem. Piszę o jej serii o Alphinlandii, a pan przecież znał ją w tych czasach. Znał pan Constance z Riverboat i tak dalej.

Gavin czuje, jakby w żyły wleto mu zimną rtęć. Kto wpuścił tę osobę? Tę wandalke, tę niszczycielkę! Wpuściła ją Reynolds. Czy zdradziecka Reynolds zdawała sobie sprawę z prawdziwej misji tej harpii? Jeśli tak, Gavin wyrwie jej zęby trzonowe.

Mimo to został przyciśnięty do muru. Nie może udawać, że to ma dla niego znaczenie – rola drugorzędnej źródła informacji, podczas gdy pierwsze skrzypce

grała Constance. Constance wydmuszka z jej idiotycznymi historyjkami o gnomach. Constance specjalistka od wystawiania do wiatru. Constance fiubździiu w głowie. Okazanie gniewu oznaczałoby przyznanie się do słabości, byłoby dodaniem nowego upokorzenia do wcześniejszego.

– A, tak. – Gavin śmieje się pobłaźliwie, jakby przypomniał sobie dowcip. – „I tak dalej” to trafne określenie! Było mnóstwo „tak” i ciągle „dalej”! I tak dalej od rana do wieczora. Wtedy jednak miałem dość sił, żeby to znieść.

– Słucham? – mówi Naveena. Oczy jej błyszczą. Oto chłepcze krew, po którą przyszła. Ale nie dostanie wszystkiego.

– Moje drogie dziecko – mówi Gavin. – Constance i ja byliśmy parą. Właśnie świeciła era Wodnika. I chociaż nie zaświtała w pełni, byliśmy bardzo zajęci. Znacznie więcej czasu spędzaliśmy na rozbieraniu się niż na ubieraniu. Ona była... zdumiewająca. – Gavin uśmiecha się do wspomnień. – Ale proszę mi nie mówić, że prowadzi pani poważne badania naukowe nad twórczością Constance. To, co pisała, w żaden sposób nie było...

– Tak się składa, że prowadzę – przerywa mu Naveena. – To gruntowna analiza funkcji symbolizmu w porównaniu z neoreprezentacjonizmem w procesie światotworzenia. Gatunki fantasy są znacznie lepszym materiałem do takich badań niż tak zwana proza realistyczna, w której występują one w bardziej zawoalowanej formie. Nie sądzi pan?

Do salonu wchodzi Reynolds, stukając sabotami.

– Oto nasza herbata! – oznajmia w ostatniej chwili.

Gavin czuje w skroniach pulsującą krew. O czym, do kurwy nędzy, mówiła właśnie Naveena?

– Jakie ciastka? – pyta, żeby utrzymać nosa neoreprezentacjonizmowi.

– Czekoladowe – mówi Reynolds. – Czy Naveena pokazywała ci już nagrania wideo? Są fascynujące! Przesłała mi je na Dropboksa. – Siada obok Gavina i nalewa herbatę.

Dropbox. Cóż to takiego? Do głowy przychodzi mu jedynie kocia kuweta. Nic jednak nie mówi.

– To jest pierwsze nagranie – oznajmia Naveena. – Riverboat około tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku.



To pułapka, zdrada. Mimo to Gavin nie ma innego wyjścia jak patrzeć. Jakby wciągał go tunel czasu: siłę odśrodkową nie sposób się oprzeć.

Film jest ziarnisty, czarno-biały, niemy. Ujęcieokoła pokoju: jakiś amator zaliczający gwiazdy filmowe; a może kręcono to na użytek dokumentu? Na scenie występują Sonny Terry i Brownie McGhee, a to Sylvia Tyson? Przy stoliku siedzi paru zaprzyjaźnionych poetów z tamtego okresu, modne wówczas fryzury, optymistyczne brody podobne do puchu. Tyłu z nich już odeszło.

Oto i sam Gavin z Constance u boku. Nie ma brody, za to z ust zwisa mu papieros, niedbale obejmuje Constance. Nie patrzy na nią, lecz na scenę, ale Constance patrzy na niego. Stale była w niego wpatrzona. Oboje wyglądają tak uroczo, bez blizn, pełni energii i nadziei jak dzieci. Kompletnie nieświadomi wichrów losu, które wkrótce miały ich rozdzielić. Gavinowi zbiera się na płacz.

– Ona musi być zmęczona – stwierdza Reynolds z zadowoleniem. – Widzisz te podkrążone oczy? Wielkie ciemne worki. Musi być skonana.

– Zmęczona? – dziwi się Gavin. Nigdy nie myślał, że Constance może być zmęczona.

– To chyba naturalne – dorzuca Naveena. – Proszę pomyśleć, ile wtedy pisała! To było epickie! W krótkim czasie stworzyła ogólny zarys całej Alphinlandii! Do tego pracowała w smażalni kurczaków.

– Nigdy nie mówiła, że jest zmęczona – mówi Gavin, bo obie kobiety patrzą na niego. Czyżby z wymówką? – Miała mnóstwo sił.

– Pisała panu o tym – mówi Naveena. – O tym, że jest zmęczona. Dodawała jednak, że pan nigdy jej nie męczy! Mówiła, żeby zawsze ją pan budził, bez względu na to, jak późno wróci. Zapisała to! Chyba naprawdę pana kochała. To takie budujące.

Gavin jest dezorientowany. Pisała do niego? Nic takiego sobie nie przypomina.

– Czemu miałyby pisać do mnie listy? – pyta. – Przecież mieszkaliśmy razem.

– Pisała do pana w dzienniku, który prowadziła – wyjaśnia Naveena. – Zostawiała go na stole, ponieważ spał pan do późna, a ona musiała wychodzić do pracy. Czytał pan te liściki, a potem odpisywał na nie pod spodem. Notes w czarnej okładce, taki sam jak ten, w którym umieszczała listy i mapy Alphinlandii. Na każdej stronie inny dzień. Nie pamięta pan?

– A, to – mówi Gavin, któremu zaczyna coś świtać. Przede wszystkim jednak pamięta tamte promienne poranki po nocach spędzonych z Constance. Pierwsza kawa, pierwszy papieros, pierwsze wersy wiersza pojawiające się w magiczny sposób. Większość tych wierszy przetrwała próbę czasu. – Tak, mgliście sobie przypominam. Jak pani znalazła ten notes?

– Był w pańskich papierach – odpowiada Naveena. – Dziennik. Dokumenty znajdują się w zbiorach Uniwersytetu w Austin. Sprzedał je pan. Pamięta pan?

– Sprzedałem swoje papiery – mówi Gavin. – Jakie papiery?

Ma pustkę w głowie, jedną z tych przerw w pamięci podobnych do rozdarcia w pajęczynie. Nic takiego sobie nie przypomina.

– Cóż, technicznie rzecz biorąc, to ja je sprzedałam – włącza się Reynolds. – Prosiłeś, żebym się nimi zajęła. Pracowałeś wtedy nad przekładem *Odysei*. Praca tak go pochłania – zwraca się do Naveeny. – Gdybym nie pamiętała, przestałby nawet jeść.

– Wiem! – ożywia się Naveena.

Kobiety wymieniają porozumiewawcze spojrzenia: geniusza trzeba traktować z wyrozumiałością. Tak należy to rozumieć, jeśli popatrzeć na to z sympatią. W innym ujęciu: starych pierdzieli trzeba okłamywać.

– Obejrzyjmy drugie nagranie – mówi Rey, pochylając się do przodu.

„Litości – zwraca się do niej Gavin bezgłośnie. – Leżę na łopatkach. Ta nastoletnia księżniczka mnie wykańcza. Nie mam pojęcia, o czym mówi. Skończ to!”.

– Jestem zmęczony – mówi, ale najwyraźniej nie dość głośno: te dwie mają plany.

– To jest wywiad – wyjaśnia Naveena. – Sprzed kilku lat. Można go znaleźć na YouTube. – Klika i na ekranie wyświetla się film, tym razem kolorowy i z głosem. – Światowy Konwent Fantasy w Toronto.

Gavin patrzy z rosnącą grozą. Kruchą staruszkę przepytuje człowiek w stroju ze *Star Treka*: purpurowa cera, olbrzymia czaszka pokryta żyłami. Gavin przypuszcza, że to Klingon. Choć nie wie zbyt wiele o tym skupisku memów, jego studenci z warsztatów poetyckich próbowali go oświecić, kiedy ten temat pojawiał się w ich wierszach. Na ekranie występuje też kobieta o błyszczącej plastikowej twarzy.

– To królowa Borg – szepcze Naveena.

Według YouTube'a krucha staruszka to Constance, ale Gavin nie ma pewności.

– Z ogromnym podnieceniem witamy dziś osobę, którą można nazwać babką dwudziestowiecznego fantasy światotwórczego – mówi królowa Borg. – Samą C.W. Starr, twórczynię sławnej na całym świecie Alphinlandii. Czy mam panią nazywać Constance, czy pani Starr? A może C.W.?

– Jak pani chce – odpowiada Constance. Ponieważ faktycznie jest to ona, choć dużo mniejsza. Przetykany srebrem sweter wisi na niej, włosy przypominają zmierzwione pióra czapli białej, szyję ma cienką jak patyk po lodach. Rozgląda się, jakby oszalała ją światła i hałas. – Nie obchodzi mnie nazwisko i cała reszta. Obchodziła mnie tylko moja praca nad Alphinlandią. – Constance ma osobliwie świecąca skórę, jak fosforyzujący grzyb.

– Czy nie miała pani, wrażenia, że jest bardzo odważna, kiedy pani zaczynała? – pyta Klingon. – Ten gatunek był zarezerwowany dla mężczyzn, prawda?

Constance odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem. Ten ulotny, pierzasty śmiech brzmiał kiedyś ujmująco, ale teraz wydaje się Gavinowi groteskowy. Żwawość nie na miejscu.

– Och, wtedy nikt nie zwracał na mnie uwagi, więc nie można tego nazwać odwagą. Zresztą posługiwałam się inicjałami. Początkowo nikt nie wiedział, że nie jestem mężczyzną.

– Jak siostry Brönte – mówi Klingon.

– Daleko mi do nich – odpowiada Constance, zerka w bok i chichocze skromnie.

Czyżby flirtowała z facetem o purpurowej skórze i żylastej czaszce? Gavin się krzywi.

– Teraz naprawdę wygląda na zmęczoną – mówi Reynolds. – Ciekawe kto nałożył jej ten paskudny makijaż. Nie powinni byli używać pudru mineralnego. Właściwie ile ona ma lat?

– Jak tworzy pani alternatywny świat? – pyta królowa Borg. – Robi go pani z niczego?

– Och, nigdy nie robię czegoś z niczego – odpowiada Constance. Teraz jest poważna, a jej powaga zawsze przyprawiała o zawrót głowy. „Oto jestem poważna”. W tamtych czasach nie przekonywało to Gavina: przypominała dziewczynkę paradującą w matczyńskich butach na wysokich obcasach. Dawniej jej powaga wydawała się mu urocza, teraz widzi w niej pozę. Jakże ona ma prawo,

żeby zachowywać powagę? – Widzi pani, wszystko w Alphinlandii jest wzorowane na prawdziwym życiu. Jak mogłoby być inaczej?

– Czy dotyczy to również postaci? – pyta Klingon.

– No, tak – odpowiada Constance. – Czasem zbieram poszczególne elementy tu i ówdzie, po czym składam z nich całość.

– Jak pan Kartoflana Głowa – stwierdza królowa Borg.

– Pan Kartoflana Głowa? – powtarza Constance, wyraźnie zdezorientowana. – W Alphinlandii nie ma nikogo takiego.

– To zabawka dla dzieci – wyjaśnia królowa Borg. – Różne oczy i nosy przytwierdza się do kartofla.

– Ach, tak – mówi Constance. – To musiało pojawić się później. To znaczy w czasach, kiedy już nie byłam dzieckiem – wyjaśnia.

Milczenie przerywa Klingon.

– W Alphinlandii jest wielu złoczyńców! Ich postaci też czerpie pani z prawdziwego życia? – Chichocze. – Jest z kogo wybierać!

– O, tak – przyznaje Constance. – Zwłaszcza złoczyńców.

– Czyli na przykład Milzreth Czerwona Ręka to ktoś, kogo możemy spotkać na ulicy? – pyta królowa Borg.

Constance odrzuca głowę w tył i znów wybucha śmiechem, który każe Gavinowi zacisnąć zęby. Ktoś powinien jej powiedzieć, żeby nie otwierała ust tak szeroko, już nie jest jej z tym do twarzy. Widać, że w głębi brakuje jej kilku zębów.

– O Boże, mam nadzieję, że nie! – woła Constance. – Nie w tym przebraniu. Ale owszem, postać Milzretha wzorowałam na człowieku, którego znałam. – W zamyśleniu patrzy poza ekran, prosto w oczy Gavina.

– Może to dawna sympatia? – podsuwa Klingon.

– Nie – odpowiada Constance. – Raczej polityk. Milzreth to człowiek bardzo zaangażowany w politykę. Jednak w Alphinlandii umieściłam jednego z moich dawnych chłopaków. Jest tam w tej chwili, chociaż go nie widzicie.

– Proszę nam o nim opowiedzieć – mówi królowa Borg z zabójczym uśmiechem.

– To tajemnica. – Constance robi chytrą minę. Trwożnie ogląda się za siebie, jakby wypatrywała szpiega. – Nie mogę wam zdradzić, gdzie jest. Nie chciałabym zaburzać równowagi. To byłoby bardzo niebezpieczne dla nas wszystkich!

Czy cała sprawa wymyka się spod kontroli? Czy Constance lekko zbzikowała? Królowa Borg musi tak właśnie myśleć, ponieważ raptownie ucina rozmowę.

– To była ogromna przyjemność, wielki zaszczyt, bardzo pani dziękuję – mówi. – Moi drodzy, duże brawa dla C.W. Starr! – Rozlega się aplauz. Constance wygląda na oszołomioną. Klingon ujmuje ją za rękę.

Jego złota Constance. Zeszła na manowce. Zagubiła się. Błądzi po omacku.

Zaciemnienie.

– Czy to nie było świetne? Ona jest zdumiewająca – zachwyca się Naveena. – Praktycznie przyznała, że umieściła pana w Alphinlandii. To byłaby wielka rzecz dla mnie, dla mojej pracy, gdybym odkryła, o którą postać chodzi. Zawęziłam listę do sześciu. Każda posiada inne cechy, specjalne moce, symbole i godła. Według mnie pan musi być Tomaszem Wierszokletą, ponieważ to jedyny poeta w serii. Chociaż może jest on raczej prorokiem, jego specjalną mocą jest jasnowidzenie.

– Tomasz kto? – pyta chłodno Gavin.

– Wierszokleta – powtarza Naveena z pewnym wahaniem. – Występuje w balladzie, to dobrze znana postać. Można ją znaleźć u Childa<sup>[4]</sup>. Tomasz został porwany przez królową Krainy Wrózek, jechał przez krew sięgającą kolan, nie widziano go na ziemi przez siedem lat, a gdy powrócił, zaczęto go nazywać Prawdziwym Tomaszem, ponieważ widział przyszłość. W serii o Alphinlandii nazywa się oczywiście inaczej: to Kluvosz z Kryształowym Okiem.

– Przypominam pani kogoś z kryształowym okiem? – pyta Gavin z miną pokerzysty. Postanowił, że da dziewczynie popalić.

– Nie, ale...

– To z całą pewnością nie ja – mówi Gavin. – Kluvosz z Kryształowym Okiem to Al Purdy.

To najśłodsze kłamstwo, jakie przychodzi Gavinowi do głowy. Duży Al ze swoimi wierszami o ciesielstwie, pracujący przy produkcji suszonej krwi, porwany przez królową Krainy Wrózek! Jeśli tylko Naveena umieści to w swojej pracy doktorskiej, Gavin będzie jej dozgonnie wdzięczny. Włączy nawet suszoną krew, wszystko będzie pasować. Gavin z trudem powstrzymuje się od śmiechu.

– Skąd wiesz, że chodzi o Ala Purdy'ego? – pyta Reynolds podejrzliwie, po czym zwraca się do Naveeny: – Pani wie, że Gavin kłamie, prawda? Fałszuje własną biografię. Uważa, że to zabawne.

Gavin ignoruje jej słowa.

– Constance sama mi to mówiła. Skąd niby mam to wiedzieć? Często rozmawiała ze mną o swoich postaciach.

– Ale Kluvosz z Kryształowym Okiem pojawił się dopiero w trzecim tomie – zauważa Naveena. – *Widmo powraca*. To było znacznie później niż... Nie ma żadnych dokumentów, a pan nie spotykał się już wtedy z Constance.

– Spotykaliśmy się potajemnie – mówi Gavin. – Całymi latami. W toaletach klubów nocnych. To było fatalne zauroczenie. Nie mogliśmy się od siebie oderwać.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś – zauważa Reynolds.

– Kochanie, nie mówiłem ci o wielu rzeczach. – Reynolds nie wierzy w ani jedno jego słowo, ale nie potrafi dowieść, że zmyśla.

– To by wszystko zmieniało – mówi Naveena. – Musiałabym przepisać na nowo... Musiałabym ponownie przemyśleć centralne założenie. To jest... zupełnie kluczowe! Ale jeśli nie jest pan Kluvoszem, to kim?

– Otóż to, kim jestem? – powtarza Gavin. – Często się zastanawiam. Może wcale nie występuję w Alphinlandii. Może Constance mnie wykreśliła.

– Sama mi mówiła, że pan tam jest – upiera się Naveena. – Napisała to w e-mailu zaledwie miesiąc temu.

– Zaczyna być roztrzępana – mówi Reynolds. – Widać to wyraźnie na tym wideo, a nakręcono je jeszcze przed śmiercią jej męża. Ona wszystko pokręciła, pewnie nie umie nawet...

Naveena ignoruje Reynolds, pochyła się w przód, wpatruje w Gavina szeroko otwartymi oczami, ścisza głos niemal do intymnego szeptu.

– Constance mówiła, że jest pan ukryty. Jak skarb, czy to nie romantyczne? Jak te obrazy, na których trzeba szukać twarzy pośród drzew, tak to ujęła.

Dziewczyna chce sztafirować się i krygować, chce cedzić słowa<sup>[5]</sup>, pragnie wyssać ostatni łyk esencji z jego niemal pustej czaszki. Odejdź, swawolna!

– Przykro mi, ale nie potrafię pani pomóc – mówi Gavin. – Nigdy nie czytałem tych bzdur.

Kłamstwo. Czytał większość książek z serii, co tylko utwierdziło go w przekonaniu, że Constance była nie tylko złą poetką w czasach, gdy próbowała

nią zostać, ale jest też fatalną pisarką. *Alphinlandia*: sam tytuł mówi już wszystko. Należałoby raczej napisać: *Ale flądra*.

– Słucham? – mówi Naveena. – Wydaje mi się, że nie traktuje pan autorki z należnym szacunkiem. To elitarne...

– Czy nie może pani lepiej wykorzystać swego czasu zamiast poświęcać go na rozszyfrowywanie tej mętnej kałuży żabiego skrzeku? – pyta Gavin. – Taki piękny okaz kobiety się marnuje, śliczny tyłeczek usycha. Zalicza pani w ogóle?

– Słucham? – powtarza Naveena. Najwyraźniej w ten właśnie sposób reaguje na zagrożenie.

– Czy ktoś panią drapie, kiedy swędzi? Uprawia pani poletko? Jak z seksem? – draży Gavin. Reynolds szturcha go mocno łokciem w żebra, ale on ją ignoruje. – Musi być jakiś napalony kochaś, który to pani daje. Takiej pięknej dziewczynie jak pani porządne rżnięcie lepiej zrobi niż marnowanie wzroku na przypisy do tych bzdetów. Tylko proszę nie mówić, że jest pani dziewicą! To byłoby niedorzeczne!

– Gavinie! – upomina go Reynolds. – Nie możesz już w ten sposób zwracać się do kobiet. To nie jest...

– Moje życie prywatne chyba nie powinno pana interesować – mówi sztywno Naveena.

Jej dolna warga drży, więc może trafił w sedno. Wciąż nie chce jej odpuścić.

– Bez skrępulów włazi pani w moje życie prywatne! – stwierdza Gavin. – Czyta pani mój dziennik, myszkuje w moich papierach, węszy wokół mojej... mojej byłej dziewczyny. To nieprzyzwoite! Constance jest moim życiem prywatnym. Prywatnym! Pewnie ani przez chwilę pani o tym nie pomyślała!

– Gavinie, sprzedałeś te papiery – przypomina Reynolds. – Teraz są więc własnością publiczną.

– Bzdury! – odpala Gavin. – Sama je sprzedałaś, dwulicowa dziwko!

Naveena wyłącza tablet z pewną dozą godności.

– Chyba powinnam już iść – zwraca się do Reynolds.

– Tak mi przykro. On czasem tak się zachowuje – mówi Reynolds.

Kobiety wstają, po czym szczebiocząc i mówiąc, jak im jest przykro, idą do holu. Trzask drzwi wejściowych. Reynolds pewnie odprowadza dziewczynę do postoju taksówek przed Holiday Inn parę przecznic dalej. Niewątpliwie będą rozmawiać

o nim. O nim i jego wybuchach. Może Reynolds spróbuje naprawić wyrządzone szkody. A może nie.

Zapowiada się chłodny wieczór. Przypuszczalnie Reynolds ugotuje mu jajko, przylepi do twarzy sztuczny uśmiech i pójdzie tańczyć.

Pozwolił sobie na wybuch gniewu; nie powinien był tego robić. To niedobre dla układu sercowo-naczyniowego. Powinien skupić się na czym innym. Na wierszu, nad którym pracuje. Nie w tak zwanym gabinecie, bo tam nie jest w stanie pisać. Idzie do kuchni, wyjmuje notes z szuflady w stoliku pod telefonem, gdzie lubi go trzymać, znajduje ołówek, potem wychodzi przez drzwi ogrodowe, schodzi po trzech schodkach na patio i ostrożnie je przecina. Zarówno schodki, jak i patio są wyłożone kafelkami, które wokół basenu bywają śliskie. Gavin sięga po leżak, który miał na oku, siada.

Opadłe liście obracają się w wirze. Może Maria wejdzie bezgłośnie w płóciennych krótkich spodenkach i je wyłowi.

    Maria wylawia uschłe liście,  
    Czy to są dusze? Czy jedna z nich jest moja?  
    Czy śniada Maria jest Aniołem Śmierci,  
    Który przyszedł mnie zabrać?

    Wyblakła błędna duszo wirująca w zimnym basenie,  
    Od tak dawna jesteś współniczką tego głupca, mego ciała,  
    Gdzie wylądujesz? Na jakim nagim brzegu?  
    Czy będziesz tylko uschłym liściem? Czy...

Nie. Za bardzo w stylu Whitmana. Maria jest tylko zwykłą miłą licealistką, która sobie dorabia, takich jest na pęczki, nic specjalnego. Daleko jej do nimfetki czy uwodzicielskiego młodzika ze *Śmierci w Wenecji*. A może *Śmierć w Miami*? To brzmi jak telewizyjny serial o policjantach. Ślepe zaułki, ślepe zaułki.

Mimo to podoba mu się wizja Marii jako Anioła Śmierci. Wkrótce spotka się z jednym z nich. W momencie umierania wolałby już zobaczyć anioła niż nic.

Zamyka oczy.



Znowu są w parku z Ryszardem Trzecim. Gavin wypił dwa papierowe kubki martini z wódką, musi się wysikać. Jest dopiero połowa sceny: Ryszard,



w skórzanym stroju, ze zbyt dużym biczem, zaczepia lady Annę, która idzie za trumną z zamordowanym mężem. Lady Anna ma na sobie fetyszystyczny kostium używany do praktyk sadomasochistycznych. Tańcząc swój jadowity balet, nawzajem przydeptują sobie karki butami. To niedorzeczne, ale jeśli się zastanowić, wszystko pasuje. Ryszard przebija jej mężusia, Anna pluje na Ryszarda, on proponuje, żeby go ugodziła i tak dalej. Szekspir jest taki zakręcony. Czy kiedykolwiek zdobyto w ten sposób kobietę? Jeśli chcesz odpowiedzieć twierdząco, zakreśl: „Tak”.

– Idę się odlać – mówi Gavin do Rey, kiedy Ryszard skończył się chwalić swoim podbojem.

– Jest tam, obok miejsca dla psów – mówi Reynolds. – Ćśśś.

– Prawdziwi mężczyźni nie sikają do toi toiów – odpowiada Gavin. – Prawdziwi mężczyźni odlewają się w krzakach.

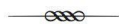
– Lepiej pójdę z tobą – postanawia Reynolds. – Zgubisz się.

– Daj mi spokój.

– Przynajmniej weź latarkę.

Jednak Gavin nie wziął latarki. Walczyć i szukać – i nie ustępować<sup>[6]</sup>. Odchodzi w mrok, majstruje przy rozporku. Prawie nic nie widzi. Przynajmniej tym razem nie zasikał sobie stóp: nie musi chodzić w ciepłych skarpetkach. Z ulgą zapina rozporek i odwraca się, gotów nawigować w ciemności. Gdzie właściwie się znajduje? Gałęzie szorują mu po twarzy, zablądził. Co gorsza, w listowiu mogą się kryć bandyci czyhający na zagubioną ofiarę. Cholera! Jak wezwać Reynolds? Gavin nie chce wołać o pomoc. Nie wolno mu panikować.

Jakaś dłoń chwyta go za rękę i Gavin budzi się raptownie. Serce mu łomocze, szybko oddycha. Uspokój się, mówi do siebie. To był tylko sen. To był tylko wiersz w stadium larwalnym.



Dłoń musiała należeć do Reynolds. Uzbrojona w latarkę pewnie poszła za nim w krzaki. Gavin sobie tego nie przypomina, ale tak właśnie musiało być, bo inaczej nie siedziałby na tym leżaku, prawda? Nigdy nie zdołałby wrócić.

Jak długo spał? Już zmierzch. „Pomiędzy mrokiem a dniem, Kiedy zapada noc”<sup>[7]</sup>. „Tylko pieśń o zmierzchu”<sup>[8]</sup>. Jakie to wiktoriańskie słowo, nikt już nie

mówi: „zmerzch”. „O zmerzchu przychodzi do nas miłości słodkie to czy tamto”<sup>[9]</sup>.

Czas się napić.

– Reynolds – woła.

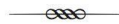
Żadnej odpowiedzi. Porzuciła go. Dobrze mu tak. Dziś po południu nie był zbyt grzeczny, ale wybryki sprawiły mu wielką frajdę. „Nie możesz już w ten sposób zwracać się do kobiet”. W sumie to smutne, kto powiedział, że nie może? Jest na emeryturze, nie można go wylać z pracy. Gavin chichocze pod nosem.

Podnosi się z leżaka i rusza ku schodom prowadzącym do domu. Kafelki są śliskie, w dodatku na podwórzu panuje półmrok. Półmroczny, myśli Gavin: to przywodzi mu na myśl raka. Kolczaste, słowo w twardym pancerzu, ze szczypcami.

Oto i schody. Unieś prawą nogę. Nie trafia, spada, uderza się, rani.

Kto by pomyślał, że stary człowiek może mieć w sobie tyle krwi?

– O mój Boże! – wykrzykuje Reynolds, kiedy go znajduje. – Gavvy! Nie mogę cię zostawić nawet na chwilę! Zobacz, co zrobiłeś! – Zalewa się łzami.



Reynolds udaje się zawlec go na leżak i podeprzeć dwiema poduszkami; otarła nieco krwi i położyła mu na głowie wilgotną ściereczkę. Teraz wisi na telefonie, usiłując namierzyć karetkę.

– Nie możecie kazać mi czekać! – mówi. – On miał wylew albo... To ma być pogotowie?! Kurwa!

Gavin leży między poduszkami, a po twarzy ścieka mu coś, co nie jest ani zimne, ani gorące. To jednak nie jest zmerzch, ponieważ słońce dopiero zachodzi skąpane w przepysznej różowawej czerwieni. Liście palmowe kołyszą się łagodnie, pompa obiegowa pulsuje, a może to jego puls? Pole widzenia ciemnieje i na samym środku unosi się Constance, stara, zgrzybiała Constance w masce podobnej do makijażu, ta sama blada pomarszczona twarz, jaką widział na ekranie. Patrzy na niego zdumiona.

– Pan Kartoflana Głowa! – mówi.

Gavin nie zwraca na to uwagi, ponieważ bardzo szybko leci w jej stronę. Constance się nie przybliży, musi oddalać się od niego z tą samą szybkością.

Prędeż, ponagła się Gavin, aż w końcu ją dopada i nurkuje prosto w czarną źrenicę jej niebieskiego oniemiałego oka. Wokół Gavina otwiera się jasna przestrzeń i oto ma przed sobą swoją Constance, znowu młodą i serdeczną jak dawniej. Uśmiecha się radośnie, rozkłada ręce na powitanie, Gavin ją obejmuje.

– Dotarłeś tu – mówi Constance. – W końcu. Obudziłeś się.

## Mroczna Pani

---

Każdego ranka przy śniadaniu Jorrie czyta nekrologi we wszystkich trzech gazetach. Niektóre notki wspomnieniowe doprowadzają ją do śmiechu, ale z tego, co wiadomo Tinowi, jeszcze żadna nie doprowadziła jej do płaczu. Jorrie nie jest skora do łez.

Wartych uwagi zmarłych zaznacza literą X – dwa X stawia przy tych, na których pogrzeb planuje się wybrać – po czym podaje gazety nad stołem Tinowi. Jorrie zamawia prawdziwe papierowe gazety do ich domu, ponieważ jej zdaniem wydania cyfrowe okrajają nekrologi.

– Tu jest kolejny – mówi. – „Wszyscy, którzy ją znali, ogromnie za nią tęsknią”. Nie wydaje mi się! Pracowałam z nią podczas kampanii Splendida. To była chora suka!

Albo:

– „W spokoju, w domowym zaciszu, z przyczyn naturalnych”. Szczerze wątpię! Założę się, że to było przedawkowanie.

Albo:

– Nareszcie! Lepkie palce! Obmacywał mnie na kolacji firmowej w latach osiemdziesiątych, kiedy jego żona siedziała tuż obok. Tak chlał, że nawet nie będą musieli go balsamować.

Tin nigdy nie poszedłby na pogrzeb człowieka, którego nie lubił, chyba że chciałby pocieszyć jednego z żałobników. Wczesne lata AIDS były koszmarne, przypominały czarną śmierć: tłumne pogrzeby, powszechne odrętwienie i niedowierzanie, poczucie winy wśród tych, którzy przeżyli, masowe wykupywanie chusteczek. Jorrie czerpie energię z pogardy. Ma ochotę stepować na grobach, oczywiście metaforycznie, bo już żadne z nich nie tańczy. On przynajmniej dziarsko tańczył rock and rolla w szkole średniej.

Jorrie nie była gibka, ale raczej entuzjastyczna. Smukła, zwinna jak żrebak hasała po sali z rozwianymi włosami. Ludzie uważali, że bliźniaki prezentują się świetnie na parkiecie. Dzięki Tinowi Jorrie mogła uchodzić za lepszą tancerkę, niż w istocie była. Z dzieciństwa pozostała mu potrzeba chronienia siostry przed jej własną porywcznością. Poza tym taniec z Jorrie dawał mu chwilowe wytchnienie od królowej balu, z którą w danym okresie był zobowiązany chodzić. Tin mógł dowolnie wybierać dziewczyny. To najdogodniejsza sytuacja.

Tin jest zdumiony swoim powodzeniem wśród nastoletnich ślicznotek, ale jeśli się nad tym zastanowić, właściwie nie ma w tym nic dziwnego. Był sympatyczny, słuchał, gdy opowiadały o swych planach, nie próbował gwałtownie rozbierać ich w samochodach, chociaż nie uchylał się przed obowiązkowym całowaniem po tańcach, żeby nie myślały, że czuć im z ust. Ale kiedy proponowały mu dodatkowe atrakcje, takie jak rozpinanie staników push-up i ściąganie obcisłego pasa do pończoch, delikatnie odmawiał.

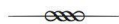
– Rano byś się nienawidziła – pouczał.

Tak by też było, dziewczyny czułyby do siebie nienawiść, płakały przez telefon, błagały, żeby nikomu nie mówił, a także bały się ciąży, jak bywało w czasach przed pigułkami antykoncepcyjnymi. Inne mogłyby mieć nadzieję, że zajdą w ciążę i w ten sposób go złapią – jego, Martina Wspaniałego! Co za zdobycz!

Tin nie zmyślał ani nie przechwalał się randkami, jak to robili mniej popularni chłopcy, z większym trądzikiem. Kiedy w chłodnej męskiej przebieralni, gdzie paradowano z fiutami na wierzchu, wypływał temat jego przygód minionej nocy, Tin uśmiechał się zagadkowo, a koledzy szczerzyli zęby, szturchali się i po bratersku klepali go w ramię. Powodzenie wśród rówieśników zawdzięczał też wysokiemu wzrostowi i zręczności, był gwiazdą bieżni i boiska. Specjalizował się w skoku wzwyż.

Co za drań.

Co za gość.



Jorrie nie chce stepować po grobach samotnie, ponieważ nic nie chce robić sama. Wierząc Tinowi dziurę w brzuchu, potrafi go nakłonić do uczestnictwa w tych smętnych imprezach, chociaż brat mówi, że nie ma ochoty, by udające żal stare pryki, które mamlają dziąsłami kanapki bez skórki i gratulują sobie, że wciąż żyją,

zanudzały go na śmierć. Tin uważa, że zainteresowanie Jorrie takimi rytuałami przejścia jest przesadne, wręcz chorobliwe, o czym jej mówi.

– Ja chcę tylko okazać szacunek – odpowiada Jorrie, na co Tin prycha.

To żart: dla żadnego z nich okazywanie szacunku nigdy nie było ważne, robili to jedynie na pokaz.

– Ty chcesz się tylko napawać – stwierdza Tin, a wtedy prycha Jorrie, bo brat trafia w sedno.

– Myślisz, że jesteśmy łamliwi? – pytała Jorrie w przeszłości.

Fantastyczne poczucie humoru to jedno, ale szorstkość jest czymś innym.

– Oczywiście, że jesteśmy łamliwi – odpowiadał Tin. – Urodziliśmy się łamliwi! Ale spójrz na to z lepszej strony: nie możesz mieć wyrobionego gustu, jeśli nie jesteś łamliwa. – Nie dodaje, że Jorrie i tak nie grzeszy gustem; z czasem ma go coraz mniej.

– Może powinniśmy byli zostać genialnymi psychopatycznymi mordercami – powiedziała około dziesięciu lat temu, kiedy oboje dopiero przekroczyli sześćdziesiątkę. – Mogliśmy popełnić zbrodnię doskonałą, zabijając losowo wybranego nieznanego. Wypchnęlibyśmy go z pociągu.

– Nigdy nie jest za późno – odparł Tin. – Mam to na liście rzeczy do zrobienia, ale czekam, aż zachorujemy na raka. Skoro musimy umrzeć, zróbmy to w wielkim stylu, zabierzmy kilka osób ze sobą. Odciążmy planetę. Chcesz jeszcze grzanek?

– Nie waz się dostawać raka beze mnie!

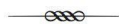
– Przysięgam, że tego nie zrobię. Słowo harcerza. Chyba że będzie to rak prostaty.

– Nie rób tego. Poczulałabym się wykluczona.

– Jeśli dostanę raka prostaty, obiecuję załatwić ci przeszczep, żebyś też mogła tego zasmakować. Znam wielu facetów w wieku podobnym do naszego, którzy chętnie pozbyliby się prostaty. Przynajmniej mogliby przespać noc bez wstawania na siku.

– Stokrotne dzięki – odparła Jorrie z szerokim uśmiechem. – Zawsze chciałam mieć prostatę. Jeszcze jedna rzecz, na którą człowiek utyskuje w jesieni życia. Myślisz, że dawca dorzuciłby cały worek mosznowy?

– Zgodnie z zamierzeniem zrobiłaś niewybredną uwagę – rzekł Tin. – Jeszcze kawy?



Ponieważ są bliźniętami, mogą być we własnym towarzystwie naprawdę sobą, co niezbyt udawało im się z innymi. Nawet kiedy zakładają maski, mogą oszukać tylko osoby trzecie – dla siebie są przezroczyści jak gupiki, widzą nawzajem własne wnętrzości. Tak przynajmniej twierdzą. Tin, który miał kiedyś kochankę z akwariem, wie, że nawet gupiki mają miejsca nieprzezroczyście.

Ciepło patrzy na Jorrie, która marszcząc czoło, czyta nekrologi przez okulary w ciemnoczerwonych oprawkach, a raczej marszczy czoło na tyle, na ile pozwala jej botoks. W ostatnich latach – właściwie dziesięcioleciach – Jorrie zaczęła nieco wytrzeszczać oczy, jak ktoś, kto funduje sobie za dużo zabiegów chirurgii plastycznej. Do tego dochodzi sprawa włosów. Przynajmniej zdołał jej wybić z głowy farbowanie na czarno. Z pozbawioną połysku cerą, mimo podkładu brązującego oraz pudru rozświetlającego, który tak pracowicie nakłada, kruczoczarne włosy jeszcze bardziej upodobniłyby otumanioną biedaczkę do nieumarłej.

– Człowiek ma tylko tyle lat, na ile się czuje – powtarza Jorrie o wiele za często, próbując namówić Tina na kolejny absurd: naukę rumby, plener akwarelowy czy modne zajęcia sportowe w rodzaju wyniszczającego treningu na rowerach stacjonarnych.

Tinowi nie mieści się w głowie, że w lycrowych spodniach miałby zasuwać na rowerze stacjonarnym, kręcić pedałami niczym piłą tarczową, jeszcze bardziej rujnując zmurszałe krocze. Nie wyobraża sobie, że miałby siedzieć na jakimkolwiek rowerze. Malowanie nie wchodziło w grę: jeśli w ogóle się tym zajmować, to czemu w grupie rżących amatorów? Co się tyczy rumby, to trzeba wirować kością ogonową, a Tin utracił tę umiejętność mniej więcej w tym samym czasie, gdy zrezygnował z seksu.

– Otóż to – odpowiada. – Czuję, że mam dwa tysiące lat. Jestem starszy niż skały, wśród których siedzę.

– Jakie skały? Nie widzę tu żadnych skał. Siedzisz na sofie!

– To cytat – wyjaśnia Tin. – Parafraza Waltera Patera<sup>[10]</sup>.

– Ech, ty i twoje cytaty! Wiesz, nie wszyscy żyją w cudzysłowach.



Tin wzdycha. Jorrie nie czyta zbyt dużo, woli romanse historyczne o Tudorach i Borgiach od czegokolwiek poważniejszego.

– Niczym wampir umierałem wiele razy – cytuje pod nosem, bo nie chce niepokoić siostry. Zaniepokojona Jorrie jest zawsze sporym wyzwaniem. Nie bałaby się wampirów jako takich: będąc osobą ciekawską i porywczą, pierwsza weszłaby do zakazanej krypty. Nie spodobałaby jej się jednak myśl, że Tin mógłby się stać wampirem albo kimkolwiek, kto odbiegałby od jej wyobrażenia o bracie.

Tymczasem Jorrie powzięła mocne postanowienie, żeby stać się kimś innym. Nie dorasta do własnych standardów. Jej jedyne przesady dotyczą etykietek na drogich kosmetykach. Jorrie ufa zwodniczym, kokieterijnym etykietkom – przeciwmarszczkowym, ujędrniającym i drenującym, przywracającym młodzieńczą rosę i nutki nieśmiertelności – chociaż sama pracowała w reklamie, a taka praca skutecznie pozbawia człowieka złudzeń co do kwiecistych przymiotników. W życiu jest tyle rzeczy, na których powinna znać się lepiej, na przykład na sztuce makijażu. Tin musi stale przypominać siostrze, żeby nakładając puder brązujący, nie zapomniała o szyi, bo inaczej będzie wyglądała, jakby przyszyto jej głowę.

W końcu zawarli kompromis w kwestii włosów: siwy kosmyk po lewej stronie – geriatryczna pankówa, szepnął pod nosem Tin – wzbogacony ostatnio przykuwającą wzrok szkarłatną łatką. Końcowy efekt przywodzi na myśl zaniepokojonego skunksa, który stanął jak wryty w blasku reflektorów po zderzeniu z butelką keczupu. Tin trzyma kciuki za krwistą łatkę i ma nadzieję, że nie zarzucą mu naigrywania się ze starszych.

Dawno minął czas, kiedy Jorrie – znana z wizerunku zmysłowej Cyganki, jaskrawych strojów afrykańskich i grzechoczącej etnicznej biżuterii – mogła sobie pozwolić na każdą modną nowinkę, jaka wpadła jej w oko. Utraciła ten dar, choć nie wyrzekła się skłonności do ekstrawagancji. Cielęcina w przebraniu konserwowej wieprzowiny, cisnęło się Tinowi na usta, ale nigdy tego nie powiedział. W zamian zamknął się w sobie, wycofał i mówił tak o innych kobietach, żeby rozbawić siostrę.

Zazwyczaj Tinowi udaje się odwieść Jorrie od bardziej stromych i zabójczych przepaści. W latach dziewięćdziesiątych był okres kolczyka w nosie: bez uprzedzenia zaprezentowała mu tandetne świecidełko i zapytała, co sądzi. Musiał zamknąć buzię na kłódkę, choć pozwolił sobie na obłudne kiwanie głową

i pomruki. Jorrie wyrzuciła tanią ozdobę po tym, jak się przeziębila i o mały włos nie oderwała sobie nozdrza.

Potem pojawiła się groźba ćwieka w języku, ale Jorrie na szczęście skonsultowała się z nim wcześniej. Co powiedział? „Chcesz, żeby twoje usta wyglądały w środku jak kurtka motocyklisty?”. Może nie, bo wiązało się to ze zbyt dużym ryzykiem, że Jorrie odpowie twierdząco. Z pewnością nie poinformował jej, że mężczyźni postrzegają takie błyskotki jako akcesoria do seksu oralnego: to mogłoby ją zachęcić. Ostrzeżenie zdrowotne: „Mogłabyś umrzeć na zakażenie języka”? Ostrzeżenia zdrowotne nie działają na Jorrie, która traktuje je jako wyzwanie: jej niezrównany układ odpornościowy z pewnością zniszczy każdego mikroba, którego rzuci jej pod nogi niewidoczny świat.

Najpewniej Tin powiedział: „Mówiłabyś jak Kaczor Daffy i na wszystkich pluła. Według mnie to mało pociągające. Zresztą szal na ćwieki minął. Noszą je tylko maklerzy giełdowi”. To przynajmniej wzbudziło jej chichot.

W relacjach z Jorrie najlepiej jest nie reagować przesadnie. Jeśli człowiek napiera, ona rewanżuje się tym samym. Tin nie zapomniał jej napadów w dzieciństwie i bójek, w jakie się wdawała, bezskutecznie wymachując długimi rękami, gdy inne dzieciaki zaśmiewały się i ją podbechtywały. Przyglądał się bliski leż, lecz nie mógł wyswobodzić siostry, bo musiał się trzymać chłopięcej części szkolnego boiska.

Dlatego unika konfrontacji. Ospałość jest skuteczniejszą metodą kontroli.



Bliźnięta otrzymały na imię Marjorie i Martin w czasach, kiedy rodzice uważali, że aliteracyjne imiona dla dzieci są słodkie; ubierano je w jednakowe miniaturowe ogrodniczki. Nawet ich matka, kobieta nie najbystrzejsza, zdawała sobie sprawę, że Martina nie powinno się wciskać w sukienkę, bo mógłby wyrosnąć na ciotę, jak mawiała. Oto one w wieku dwóch lat – w identycznych ubrankach marynarskich i maleńkich marynarskich czapeczkach trzymają się za ręce i uśmiechają do słońca krzywymi elfimi uśmiechami: Martin unosi w górę lewy kącik ust, Marjorie prawy. Nie sposób stwierdzić, czy to chłopcy, czy dziewczynki, ale trzeba przyznać, że dzieci są słodkie. Za nimi stoi męskie ciało w mundurze, jako że toczyła się wojna: to ich ojciec z uciętą górną częścią głowy, co wkrótce miało się wydarzyć naprawdę. Kiedy matka bliźniaków się upijała, wylewała morze łez nad tym

zdjęciem. Uważała je za przepowiednię: gdyby tylko trzymała aparat prosto, głowa Westona nie zostałaby ucięta i do fatalnej eksplozji nigdy by nie doszło.

Kiedy Jorrie i Tin patrzą na siebie z przeszłości, wzbiera w nich czułość, jaką obecnie rzadko okazują komukolwiek. Chcieliby uściskać te apetyczne małe brzdące, te żółknące, zanikające echa. Chcieliby zapewnić małych podróżników po morzu, że choć podróż wkrótce stanie się przykra i taka pozostanie przez pewien czas, w końcu wszystko będzie dobrze. W końcu, lub blisko końca, ponieważ, spójrzmy prawdzie w oczy, w tym właśnie punkcie się znajdują.

Albowiem oto znów są razem, zatoczywszy pełne koło. Kilka wewnętrznych ran, kilka blizn, kilka obtarć, ale nadal stoją. Nadal są Jorrie i Tinem, którzy zbuntowali się przeciwko przezwiskom Marje i Marv i postanowili używać ostatnich sylab imion jako imion prawdziwych, tajemnych, znanych tylko im dwojgu. Jorrie i Tin zbuntowani przeciwko planom, jakie snuło dla nich społeczeństwo: na przykład żadnych ślubów w panińskim wianku. Nieugięci Jorrie i Tin.

To również jest wyłącznie ich wersja. Tin przypomina sobie całkiem sporo haniebnych sytuacji, kiedy się ugiął w zaroślach przy plaży Cherry Beach i innych miejscach, ale nie ma potrzeby kłaść uszu Jorrie tymi wspomnieniami. Przynajmniej nigdy nie natknął się na żadnego ze swoich studentów, gdy nerwowo buszował po ścieżkach o północy. Przynajmniej nigdy na niego nie napadnięto. Przynajmniej nigdy go nie złapano.

– Boskie – mówi Tin, uśmiechając się do fotografii w ramce z przyciemnionego dębu wiszącej na ścianie nad bufetem w stylu art déco, kupionego przez Tina za grosze czterdzieści lat temu. – Szkoda, że pociemniały nam włosy.

– Sama nie wiem – odpowiada Jorrie. – Blond włosy są przereklamowane.

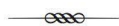
– Blond wraca – twierdzi Tin. – Zauważyłaś modę na lata pięćdziesiąte? Chodzi o Marilyn.

Tina nie przekonuje współczesny sposób przedstawiania lat pięćdziesiątych na dużym i małym ekranie. W czasie, gdy trwały, wydawały się normalnym życiem, teraz jednak stały się złotym okresem, pożywką dla seriali telewizyjnych, w których kolory są niewłaściwe – za czyste, zbyt pastelowe – i za dużo jest krynoliny. W prawdziwym życiu mało kto nosił kucyk, a dorośli mężczyźni nie zawsze paradowali w garniturach od krawca, zawadiacko przekrzywionych

fedorach, z krochmalonymi białymi chusteczkami złożonymi w trójkąt w kieszeni na piersi.

Owszem, palili fajki, ale te już wtedy zanikały. W weekendy wałęsali się w mokasynach i džinsach – prymitywnych, ale džinsach. Gazety czytali, siedząc w fotelach obitych skajem, z podnózkami, dla rozluźnienia pili drinki Manhattan i palili zabójczo dużo papierosów. Troskliwie myli i woskowali samochody palące hektolitry benzyny, z przesadnie chromowanymi karoseriami wyposażonymi w płetwy, trawniki kosili ręcznymi kosiarkami. Tak przynajmniej robili ojcowie ich kolegów. Tinowi pozostał sentyment do pękatych foteli, błyszczących śmiercionośnych samochodów i niewygodnych kosiarek do trawy. Czy jego życie potoczyłoby się lepiej, gdyby ich ojciec nie umarł?

Nie. Życie nie potoczyłoby się lepiej, byłoby upiorne. Musiałby łowić ryby: wyciągać je z wody i zabijać, stękając po męsku. Wpełzać pod samochody z kluczami i rozmawiać o takich rzeczach jak tłumik. Ojciec klepałby go po plecach i twierdził, że jest z niego dumny. Marne szanse.



– Chociaż matka Ernesta Hemingwaya to robiła – powiedziała Jorrie.

– Słucham? Co takiego?

– Ubierała Erniego w sukienkę.

– No, tak.

Bliźniaki często wracają do miejsca, w którym przerwały nieustającą rozmowę, lecz wystrzegają się tego w obecności osób trzecich. To irytujące, choć nie dla bliźniaków, które potrafią podejmować wątek urwany przez to drugie. Inni ludzie mogą się poczuć wykluczeni, a obecnie nabrać przekonania, że bliźniakom brakuje piątej klepki.

– A potem strzelił sobie w łeb – rzekł Tin. – Osobiście nie zamierzam tego robić.

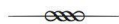
– Lepiej nie – przyznaje Jorrie. – Narobiłbyś strasznego bałaganu. Sałatka z mózgu na ścianach. Jeśli najdzie cię potrzeba, skocz z mostu.

– Stokrotne dzięki – mówi Tin. – Zapamiętam twoją radę.

– Zawsze do usług.

I tak dalej: cięte riposty jak w filmach z lat trzydziestych. Bracia Marx, Hepburn i Tracy, Nick i Nora Charles, tylko bez tego martini pitego bez końca, bo oboje już

nie dają rady. Ślizgają się po powierzchni, chłodnej, płytkiej i lśniącej, unikają głębi. Ten występ w duecie nieco męczy Tina. Możliwe, że Jorrie czuje to samo, ale oboje rozumieją, że każde musi sprostać nawzajem swym oczekiwaniom.



Tin i tak został ciotą, a bliźniaki uważają, że to przezabawna pułapka, w którą wpadła ich matka, chociaż już dawno nie żyła, kiedy przestał ukrywać swoje ciotostwo. Z zamianą ról powinno być odwrotnie – w dzieciństwie to Jorrie, nosząc marynarskie ubranka, przekraczała granice płci – jednak nigdy nie dokonałaby skoku w lesbijstwo, ponieważ nie przepadała za innymi kobietami.

Czemu miałyby za nimi przepadać – z taką matką? Mateczka Maeve była głupia jak but, a w dodatku z upływem czasu jej żal po ojcu bliźniaków, który wyleciał w powietrze, nie osłabł i przeobraziła się w alcoholiczkę wyciągającą na gorzałę oszczędności dzieci ze skarbonki. Poza tym sprowadzała do domu łobuzów i prostaków – opowiadał Tin po latach na przyjęciach – „w celu odbywania stosunków płciowych”. Przezabawne! Kiedy bliźniaki słyszały otwieranie drzwi wejściowych, wymykały się tylnymi. Czasem chowały się w piwnicy, a kiedy zapadała cisza, zakradały się na piętro, by podglądać dorosłych; kiedy zamykano drzwi sypialni, podsłuchiwały w korytarzu.

Co czuły w związku z tym wszystkim w dzieciństwie? Tak naprawdę nie potrafią sobie przypomnieć, ponieważ zbyt często powtarzaną scenę pierwotną przesłonili tyłoma warstwami niedorzecznych, może nawet mitologicznych opowieści, że proste kontury uległy rozmyciu. (Czy pies naprawdę wybiegł na dwór z dużym czarnym stanikiem i zakopał go na podwórzu za domem? Czy w ogóle mieli psa? Czy Edyp rozwiązał zagadkę Sfinksa? Czy Jazon wykradł Złote Runo? To są identyczne pytania).

Anegdotyczny humor rodzinny już dawno przestał bawić Tina. Ich matka zmarła wcześniej w niedobry sposób. Co nie znaczy, że ktokolwiek ma dobrą śmierć, dodaje w myślach Tin w formie przypisu, ale są różne stopnie. Wpaść pod ciężarówkę, kiedy człowiek zapłakany przechodzi po godzinach przez jezdnię w niedozwolonym miejscu, to nie jest dobra śmierć. Jest za to szybka. Dzięki niej bliźniaki zostały uwolnione od łobuzów i prostaków, kiedy rozpoczęły studia. *Malum quidem nullum esse sine aliquo bono.* Tin zapisał to w dzienniku, który

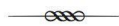
w owym czasie sporadycznie prowadził. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Dwóch łobuzów miało czelność pojawić się na pogrzebie, co może tłumaczyć fiksację Jorrie na punkcie pogrzebów. Do dziś uważa, że nie powinna była pozwolić, by tym dupkom uszło na sucho: stanęli nad grobem, udawali smutek, mówili bliźniakom, że ich matka była wspaniałą, dobrą kobietą, prawdziwą przyjaciółką.

– Przyjaciółką, gówno prawda! Chcieli ją tylko przelecieć! – wściekała się Jorrie. Powinna była stawić im czoło, zrobić scenę. Powinna była dać im w gębę.

Tin uważa, że smutek tych mężczyzn mógł być autentyczny. Czy to wykluczone, że naprawdę kochali mateczkę Maeve w jednym, dwóch lub nawet trzech znaczeniach tego słowa? *Amor, voluptas, caritas*. Tin zachował tę opinię dla siebie; wyrażenie jej mogłoby nadmiernie rozdrażnić Jorrie, zwłaszcza gdyby dorzucił łacinę. Jorrie nie ma cierpliwości do łaciny. To część życia brata, której nigdy nie zdołała pojąć. Po co marnować życie na kilku zramolałych, zapomnianych skrybów piszących w martwym języku? Tin był tak inteligentny, tak utalentowany, mógł zostać... (Następowała długa lista dziedzin, w których mógł się wybić, wszystkich poza zasięgiem Tina).

Lepiej więc nie poruszać tego tematu.



„Łobuzy i prostaki” były frazą zapożyczoną od dyrektora szkoły podstawowej, który wciąż ostrzegał uczniów, że zostaną łobuzami i prostakami, zwłaszcza jeśli rzucali śnieżkami z kamieniem w środku albo pisali na tablicy wulgarne wyrazy. „Łobuzy i prostaki” były przez krótki czas zabawą na szkolnym boisku wymyśloną przez Tina w okresie, gdy cieszył się popularnością, zanim został ciotą. Zabawa, ograniczona do części boiska przeznaczonej dla chłopców, przypominała nieco Zdobądź flagę. Tin twierdził, że dziewczyny nie mogą być łobuzami i prostakami, co nie podobało się Jorrie.

To właśnie Jorrie wpadła na pomysł, by sporadycznych gości mateczki Maeve – Tin dowcipkował później, że można na nich mówić: „włożył i wyjął” – nazywać prostakami i łobuzami. To zepsuło boiskową zabawę w oczach Tina, który później uznał, że przyczyniło się też do jego ciotostwa.

– Nie obwiniaj mnie – protestowała Jorrie. – To nie ja zapraszałam ich do domu.

– Kochanie, ja cię nie obwiniam, jestem ci głęboko wdzięczny – mówił Tin. Z czasem, gdy uporządkował kilka spraw, jego wdzięczność stała się autentyczna.

Matka nie była pijana cały czas. Chlała tylko w weekendy. Chcąc związać koniec z końcem, zatrudniła się za marne grosze jako sekretarka, bo renta po wojskowym nie wystarczała. Na swój sposób kochała bliźniaki.

– Przynajmniej nie była zbyt gwałtowna – mawiała Jorrie. – Chociaż czasem ją ponosiło.

– W tamtych czasach wszyscy bili dzieci. Wszystkich ponosiło.

Punktem honoru było porównywanie swojej porcji kar cielesnych z innymi dziećmi; chwali pięty często przesadzały. Jeśli chodzi o broń, rodzice gustowali w pantoflach, paskach, linijkach, szczotkach, paletkach do ping-ponga. Jaka szkoda, że zabrakło ojca, który wymierzałby kary, myślały ze smutkiem bliźniaki. Mało skuteczną mateczkę Maeve potrafili doprowadzić do łez, udając, że są śmiertelnie ranni, mogli się z nią droczyć stosunkowo bezkarnie i mogli jej uciekać. Dwoje na jedną, matka nie miała szans.

– Chyba nie mieliśmy serca – mawiała Jorrie.

– Byliśmy nieposłuszni. Pyskowaliśmy. Nie dało się nad nami zapanować. Ale trzeba przyznać, że byliśmy uroczy.

– Byliśmy bachorami. Małymi bachorami bez serca. Nie okazywaliśmy litości – dodaje czasem Jorrie. Żałuje czy się przechwała?

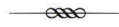
U progu okresu dojrzewania Jorrie przytrafiła się bolesna historia z jednym z prostaków. Tin nie mógł ocalić siostry przed zdradzieckim atakiem, bo spał. Potem miał do siebie o to żal. Zdarzenie musiało popieprzyć jej relacje z mężczyznami, choć najpewniej i tak byłyby popieprzone. Obecnie Jorrie naśmiewa się z tamtego zajścia – „Zgwałcił mnie troll” – ale nie zawsze to potrafiła. Na początku lat siedemdziesiątych, kiedy wiele kobiet podnosiło larum, Jorrie zachowywała posępne milczenie w kwestii gwałtu, ale wydaje się, że sobie z tym poradziła.

Zdaniem Tina molestowanie to nie wszystko. Żaden z prostaków nigdy go nie molestował, a mimo to jego relacje z mężczyznami są równie poplątane jak relacje Jorrie – jeśli nie bardziej. Jorrie twierdziła, że Tin miał problem z miłością: za bardzo ją racjonalizował. On odpowiadał, że Jorrie za mało racjonalizuje miłość. Działo się to w czasach, kiedy jeszcze rozmawiali o miłości.

– Wszystkich kochanków powinniśmy wrzucić do blendera – oznajmiła kiedyś Jorrie. – Zmiksować ich, wyciągnąć średnią.

Odparł wtedy, że siostra podchodzi do spraw w sposób brutalistyczny.

Tin uważa, że nigdy nie kochał nikogo poza Jorrie, ona zaś nikogo oprócz niego. Czy raczej nikogo nie kochali bezwarunkowo. Ich inne miłości były obwarowane wieloma warunkami.



– Popatrz, kto właśnie kopnął w kalendarz – mówi Jorrie. – Wielki Fiut Metafora!

– To przezwisko pasuje do wielu ludzi – odpowiada Tin. – Ale zakładam, że masz na myśli kogoś konkretnego. Widzę, jak drgają ci uszy, więc musiał być dla ciebie ważny.

– Masz trzy próby – podpowiada Jorrie. – Wskazówka: często bywał w Riverboat tamtego lata, kiedy ochotniczo zajmowałam się ich finansami.

– Ponieważ zależało ci na towarzystwie artystów – mówi Tin. – Coś mi dzwoni. No więc kto? Niewidomy Sonny Terry?

– Nie bądź niemądry. Już wtedy był zgrzybiały.

– Poddaję się. Rzadko tam chodziłem. Za bardzo śmierdziało. Ci pieśniarze folkowi nie myli się i robili z tego fetysz.

– Nieprawda – protestuje Jorrie. – Nie wszyscy. Wiem, że nie. Poddawanie się jest nieuczciwe.

– Kto mówił, że jestem uczciwy? Na pewno nie ty.

– Powinieneś czytać mi w myślach.

– Och, wyzwanie. Dobra: Gavin Putnam. Ten samozwańczy poeta, za którym tak szalałaś.

– Cały czas wiedziałaś?

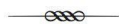
– On był taki wtórny – mówi Tin i wzdycha. – On i jego poezja. Sentymentalne brednie. Obrzydliwa zgnilizna.

– Wczesne rzeczy były bardzo dobre – broni go Jorrie. – Sonety, tyle że to nie były sonety. Te o Mrocznej Pani.

Tin się potknął. Popułnił niezręczność. Jak mógł zapomnieć, że Gavin Putnam napisał niektóre wczesne wiersze dla Jorrie. Tak przynajmniej twierdził. Jorrie



była tym faktem niezmiernie podniecona. „Jestem muzą”, oznajmiła, kiedy suita o Mrocznej Pani ukazała się drukiem, czy raczej tym, co w gronie poetów uchodziło za druk: w piśmie odbitym na powielaczu, które wydawali własnym sumptem i sprzedawali sobie nawzajem po dolarze. Pismo nazwali „Brud”, żeby brzmiało szorstko.



Tina poruszało to, że Jorrie tak ekscytowała się tymi wierszami. W tamtym okresie rzadko widywał siostrę, która, łagodnie rzecz ujmując, prowadziła bardzo bujne życie towarzyskie, związane niewątpliwie ze zwawością, z jaką wskakiwała do łóżka, podczas gdy Tin mieszkał w dwupokojowym mieszkaniu nad fryzjerem na Dundas, przechodził cichy kryzys tożsamości seksualnej i zmagał się z pracą doktorską.

Doktorat był rzetelną, lecz tak naprawdę niezbyt natchnioną analizą bardziej cnotliwych i przyzwoitych epigramów Marcjalisa, ale tym, co przyciągnęło go do poety, był zdroworoządkowy stosunek do seksu, znacznie mniej skomplikowany niż w czasach Tina. U Marcjalisa próżno szukać romantycznego wahania czy idealizacji kobiety jako istoty o wyższym, duchowym powołaniu. Słyszając takie rzeczy, Marcjalis pęknąłby ze śmiechu! Żadnych tabu, wszyscy robili wszystko ze wszystkimi: niewolnicy, chłopcy, dziewczęta, prostytutki, geje, heteroseksualiści, pornografia, skatologia, żony, młode, w średnim wieku, stare, od przodu, od tyłu, w usta, dłonią, fiutem, piękne, brzydkie i całkowicie odrażające. Seks stanowił pewnik jak jedzenie, można więc było się nim rozkoszować, kiedy był wspaniały, i gardzić, jeśli bywał pośledni. Seks, podobnie jak teatr, był rozrywką, toteż dało się w nim widzieć przedstawienie. Czystość nie stanowiła nadrzędnej cnoty ani dla mężczyzn, ani dla kobiet, chociaż pewne formy przyjaźni, szczodrości i czułości zasługiwały na uznanie. Współcześni Marcjalisa uważali go za niezwykle pogodnego i dobrodusznego człowieka, a jego złośliwości i kąśliwe poczucie humoru w najmniejszym stopniu nie zakłócały tego obrazu. Sam Marcjalis twierdził, że jego krytyka nie jest wymierzona przeciwko poszczególnym osobom, ale typom, chociaż Tin miał co do tego wątpliwości.

Praca doktorska nie polega jednak na pisaniu o tym, jak wysoko się ceni przedmiot swoich badań. Tin zrozumiał z czasem, że coś takiego powinno być zarezerwowane dla rozmów towarzyskich. Należało wysmażyć coś

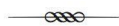
konkretniejszego. Centralna hipoteza Tina obracała się wokół trudności, jakie napotykała satyra w czasach, gdy brakowało wspólnych standardów moralnych, co z pewnością można powiedzieć o epoce Marcjalisa. Poeta przeniósł się do Rzymu za panowania Nerona. Czy był więc autentycznym satyrykiem, czy też sprośnym plotkarzem, jak twierdzili niektórzy komentatorzy? Tin zamierzał bronić swego bohatera przed zarzutami, chciał napisać, że jego poezja to znacznie więcej niż fiuty, pieprzenie chłopców i dziewczek czy żarty o pierdzeniu! Oczywiście postanowił unikać w swojej pracy tego rodzaju wulgaryzmów. Zdecydował też, że zrobi własne tłumaczenie, uwspółcześniając język tak, by pasował do wyczelowanego slangu Marcjalisa, chociaż najsprośniejszych epigramów należało rozsądnie unikać: ich czas jeszcze nie nadszedł.

„Włosy farbując, naśladujesz młodość, Laetinusie. Hokus-pokus! Wczoraj łabędziem, dzisiaj jesteś krukiem. Wszystkich nie oszukasz: Prozerpina dostrzega twoje siwe włosy. Zedrze ci z głowy głupie przebranie!”. Takiej tonacji poszukiwał w swoich przekładach – współczesnej, zadziornej, nie koturnowej. Przez tydzień pracował nad jednym czy dwoma wersami. Teraz już tego nie robi, co to kogo obchodzi?

Tin otrzymał niewielki grant na pracę doktorską. Jorrie mówiła bratu, że klasycy wkrótce znikną, z czego zamierzał wtedy żyć? Powinien zająć się projektowaniem, ponieważ kosiłby kupę szmalu. Tin odpowiadał, że koszenie jest dokładnie tym, czego chciał uniknąć, bo wymagało instynktu zabójcy, którego nie posiadał.

– Pieniądze mówią – twierdziła Jorrie, która, choć ciągnęło ją do cyganerii, pragnęła mieć ich krocie. Nie miała zamiaru harować na źle opłacanej posadzie, wystawiona na zakusy łobuzów i prostaków jak matka. W duszy Jorrie rodziła się wizja błyszczących samochodów, wakacji na Karaibach i szafy pełnej obcisłych ubrań. Jeszcze nie wyartykułowała swojej wizji na głos, ale Tin przeczuwał, że wkrótce to nastąpi.

– Owszem – przyznawał Tin. – Pieniądze mówią, ale mają ograniczone słownictwo. – Coś takiego mógłby powiedzieć Marcjalis. Może nawet powiedział. Tin musi sprawdzić. *Aureo hamo piscari*. Łowić ryby na złoty haczyk.

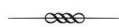


Fryzjerzy na parterze domu Tina byli trzema starszymi braćmi, Włochami i mizantropami, którzy nie wiedzieli, do czego zmierza świat, ale byli pewni, że to

coś niedobrego. W ich salonie leżały pisemka z panienkami zawierające opowiadania kryminalne oraz zdjęcia prostytutek o wielkich piersiach, w jakich ponoć gustowali mężczyźni. Na widok tych pisemek Tinowi zbierało się na mdłości – rozpustne widmo mateczki Maeve unosiło się nad wszystkim, co miało związek z czarnymi stanikami – ale chodził tam się strzyc w goście dobrej woli i wertował pisemka w oczekiwaniu na swoją kolej. W tamtych czasach ludzie nie obnosili się ze swoim homoseksualizmem, poza tym Tin nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji, a włoscy bracia byli właścicielami jego mieszkania i należało się im podlizywać.

Mimo to Tin musiał dać im jasno do zrozumienia, że Jorrie jest jego siostrą bliźniaczką, nie dziewczyną lekkich obyczajów. Bracia trzymali co prawda sprośne pisemka, które najpewniej uważali za akcesoria zawodowe, ale mieli purytańskie podejście do wszelkich nieformalnych harców w wynajmowanych mieszkaniach. Tin był dla nich wartościowym, uczciwym młodzieńcem, nazywali go Profesorem i dopytywali się, kiedy się ożeni. „Jestem zbyt biedny”, odpowiadał. Albo: „Czekam na odpowiednią dziewczynę”. Fryzjerskie trio mądrze kiwało głowami: obie odpowiedzi budziły aprobatę.

Kiedy więc Jorrie składała mu rzadkie wizyty, włoscy fryzjerzy machali do niej przez okno, posyłając jej typowe dla siebie smutne uśmiechy. Jak miło, że Profesor ma tak wyjątkową siostrę. Właśnie taka powinna być rodzina.



Gdy ukazał się numer „Brudu” z sonetami dla Mrocznej Pani, Jorrie nie mogła się doczekać, aż opowie Tinowi, że została muzą. Wbiegła po schodach, wymachując „Bredem” jeszcze ciepłym po zdjęciu z powielacza, i klapnęła na wiklinowy fotel.

– Popatrz!

Rzuciła bratu spięte zszywaczem kartki, odgarniając dłonią długie czarne włosy. Szczupłą talię oblekła materiałem stempłowanym w czerwone i ochrowe wzory, na wydekoltowanej bluzce w stylu wieśniaczki dyndał naszyjnik. Co to było? Krowie zęby? Oczy Jorrie błyszczały, bransolety podzwaniały.

– Siedem wierszy! O mnie!

Była taka łatwowierna. Taka łapczywa. Gdyby Tin nie był jej bratem, gdyby był heteroseksualny, rzuciłby się pędem – ale uciekałby przed nią czy pędził do niej? Jorrie lekko przerażała. Chciała wszystkiego. Chciała wszystkich. Chciała przeżyć.

Tin, już zblazowany, uważał, że przeżycia są tym, co się otrzymuje, kiedy nie można dostać tego, na czym człowiekowi zależy. Jorrie zawsze przejawiała większy optymizm niż brat.

– Nie możesz być w wierszu – powiedział Tin nadąsany, ponieważ to jej zauroczenie go niepokoiło. Musiała się nim skaleczyć: była taką niezdara, nie radziła sobie z ostrymi narzędziami. – Wiersze są zrobione ze słów. Nie są pudełkami. Nie są domami. Naprawdę nikogo w nich nie ma.

– Czepiasz się. Wiesz, co mam na myśli.

Tin westchnął, a ponieważ Jorrie nalegała, usiadł przy chwiejnym jednonogim stoliku z trzeciej ręki z herbatą, którą właśnie sobie zaparzył, i przeczytał wiersze.

– Jorrie – powiedział. – Te wiersze nie są o tobie.

Mina jej zrzędała.

– Owszem, są! Muszą być! To z całą pewnością moje...

– One dotyczą tylko części ciebie. – Nie powiedział: dolnej części.

– Co?

Tin ponownie westchnął.

– Jesteś kimś więcej. Jesteś lepsza niż to. – Jak miał to ująć? Nie jesteś tylko tanią dupą? Nie, zbyt bolesne. – On pominął twój, twój... twój umysł.

– To ty stale gadasz o *mens sana in corpore sano* – odparła Jorrie. – W zdrowym ciele zdrowy duch, jedno i drugie razem. Wiem, co sobie myślisz: że wszystkie te wiersze są o seksie. Ale właśnie w tym rzecz! Ja symbolizuję, to znaczy Mroczna Pani symbolizuje zdrowe, przyziemne odrzucenie tego, co fałszywe, sentymentalne, wątle. Gav mówi, że to jest jak D.H. Lawrence. Właśnie za to mnie kocha! – I tak dalej.

– Czyli, *in Venus veritas* – powiedział Tin.

– Słucham?

Och, Jorrie, pomyślał. Ty nie rozumiesz. Tacy mężczyźni nużą się tobą, kiedy cię posiadają. Czeka cię upadek. Marcjalis, VII: 76: *To tylko przyjemność, nie miłość.*

Tin nie mylił się co do upadku. Nastąpił szybko i okazał się bolesny. Jorrie nie wdawała się w szczegóły – doznała zbyt silnego szoku – ale udało mu się złożyć prawdę z fragmentów. Stała dziewczyna Gavina zaskoczyła Jorrie i Przyziemnego Poetę, kiedy igrali na najświętszym domowym materacu.

– Nie powinnam była się śmiać – przyznała Jorrie. – Zachowałam się niegrzecznie, ale cała scena była istną farsą! Ona wyglądała na całkowicie zaskoczona! Mój śmiech musiał wydać się jej paskudny. Nie mogłam się powstrzymać.

Dziewczyna miała na imię Constance („Jakie to wymuskane!”, prychnęła Jorrie) i stanowiła uosobienie wątlności i sentymentalizmu, którymi tak gardził Rymopis; otóż ta Constance, już wcześniej bardzo blada, zbladła jak płótno i powiedziała coś o czynszu. Następnie odwróciła się na pięcie i wyszła. Nawet nie tupiała, czmychnęła jak mysz. Co dowodziło tylko, jak bardzo była wątła. Jorrie twierdziła, że na jej miejscu nie pogardziłaby szarpaniem za włosy i co najmniej policzkowaniem.

Jorrie sądziła, że zniknięcie Constance powinno być powodem do świętowania – oto siły żywotności i prawdy cielesnej pokonały abstrakcję i stagnację – ale rezultat okazał się inny. Kiedy tylko Niedowarzony Wierszokleta został wygnany z alkowy księżycowego dziewczęcia, zaczął głośno domagać się, żeby tamta znów go wpuściła: zawodził za swoją Prawdziwą Miłością niczym niemowlę pozbawione sutka.

Jorrie nie okazała taktu wobec jego skowytu i żalu – może zbyt często rzucała określenia w rodzaju „złachany przez cipę” czy „sflaczały fiutek” – dlatego jej wygnanie stało się nieuniknione. Według pana Rymopisa to właśnie Jorrie ponosiła winę za bolesne *qui pro quo*. Kusila go. Uwiodła. Była węzem w rajskim ogrodzie.

Tim podejrzewał, że coś było na rzeczy: Jorrie była panią łowów, nie ściganą zwierzyną. Mimo to do tanga trzeba dwojga. Pośledni Bardzik mógł odmówić.

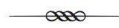
Krótko mówiąc, Jorrie zakazała Gavinowi wspominać o Constance, pokłócili się i Jorrie została wyrzucona do ścieku życia jak zużyta prezerwatywa. Jeszcze nigdy nikt jej tak nie potraktował! Z sercem ściśniętym z żalu Tin usiłował rozerwać siostrę – filmem czy drinkiem, choć nie bardzo mógł sobie na nie pozwolić – ale Jorrie pozostała niepokieszona. Nie było ataków hysterii ani łez, ale wkradła się markotność, a po niej źle skrywana jątrząca wściekłość.

Czy przejdzie na drugą stronę? Czy skonfrontuje się z poetą publicznie, będzie wrzeszczeć, tłuc? Jorrie była wystarczająco wściekła, żeby to zrobić. Zadrwiono z niej okrutnie: najpierw została muzą, co było źródłem radości i dumy, teraz

jednak zmieniło się w udrękę. Niesonety o Mroczej Pani szydziły i naigrywały się z Jorrie ze stron debiutanckiego cieniowego zbioru Gavina *Ciężkie światło księżycy*.

Co gorsza, wiersze te nabierały wagi, w miarę jak Gavin wspinał się po drabinie uznania, odbierając pierwszą z szeregu pomniejszych, lecz budujących karierę nagród. Wczesne wiersze zostały wzmocnione kolejnymi, o innym wydźwięku: uzmysłowiwszy sobie zwykłą cielesność, wręcz wulgarność i niestałość Mroczej Pani, kochanek powrócił do poszukiwań połyskującej bladej Prawdziwej Miłości. Ów niedościgniony wzór o lodowatym spojrzeniu nie wybaczył kochankowi ze złamanym sercem pomimo nazbyt wyczelowanych patetycznych błagań ukazujących się drukiem.

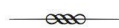
Późniejsze wiersze nie stawiały Jorrie w dobrym świetle. Musiała sprawdzić słowo *trull* ( prostytutka) w należącym do Tina *Słowniku slangu i niekonwencjonalnej angielszczyzny*. Poczuli się dotknięci.



W odwecie zaczęła zbierać fagasów, zrywała kochanków jak stokrotki we wszystkich przydrożnych rowach oraz parkingach, po czym pozbywała się ich beztrąsko. Co nie znaczy, że podobne zachowanie kiedykolwiek wpływa na tego jednego, który człowiekiem wzgardził, o czym Tin wie z własnego doświadczenia. Jeśli sprawy zabrnęły tak daleko, kochanek, który nas porzucił, ma gdzieś to, jak bardzo się poniżamy, żeby się na nim odegrać. Moglibyśmy się pieprzyć z bezgłową kozą, a dla niego i tak nie będzie to miało znaczenia.

Jednak koła pór roku obróciły się, różanopalcu jutrzeńka wyczarowała trzysta sześćdziesiąt dwie bramy świtu, potem kolejny rok i jeszcze jeden, księżyc pożądanego wzeszedł i zaszedł, potem znowu wzeszedł i tak dalej, i dalej. Poeta z Dziarskim Fiutem rozwiął się w mglistej dali. Przynajmniej taką nadzieję miał Tin, któremu leżało na sercu dobro Jorrie.

Wygląda jednak na to, że się nie rozwiął. Wystarczy kopnąć w kalendarz, a ponownie stajesz w świetle reflektorów pamięci, myśli Tin. Ma nadzieję, że snujące się widmo Gavina Putnama okaże się przyjazne, o ile faktycznie się snuje.



Teraz mówi:

– Tak, sonety o Mrocznej Pani. Pamiętam. Absynt sprawia, że dziewczka bardziej cię lubi, lecz wiersze są tańsze. Ty z pewnością dałaś się na nie złapać. Zataczając się, wchodziłaś do mojej enklawy nad fryzjerem i cuchnęłaś seksem jak tygodniowa bieluga. Przez całe lato miałaś świra na punkcie tego fiuta. Osobiście nigdy nie rozumiałem, co w nim widzisz.

– Bo on ci tego nie pokazał – mówi Jorrie i śmieje się z własnego dowcipu. – A warto było. Stałbyś się zazdrosny!

– Tylko nie mów, że byłaś w nim zakochana – prosi Tin. – Chodziło o niską, brudną chuć. Hormony mieszały ci w głowie.

Tin to rozumie, ponieważ sam przechodził podobne zauroczenia. Osobom postronnym zawsze wydają się komiczne.

– On miał wspaniałe ciało – wzdycha Jorrie. – Póki je miał.

– Nieważne – mówi Tin. – Teraz to ciało nie może być zbyt wspaniałe, skoro jest trupem.

Brat i siostra chichoczą.

– Pójdiesz ze mną? – pyta Jorrie. – Na pogrzeb? Żeby się pogapić?

Udaje wesołość, ale nie oszuka ani jego, ani siebie.

– Myślę, że nie powinnaś tam iść. To może być dla ciebie niedobre – mówi Tin.

– Ciekawe czemu. Może przyjdzie kilka jego żon.

– Wciąż chcesz rywalizować – wyjaśnia Tin. – Do dzisiaj nie możesz uwierzyć, że inna kobieta cię wygryzła i nie zdobyła pierwszej nagrody. Spójrz prawdzie w oczy: nigdy nie było wam pisane.

– Och, dobrze wiem – mówi Jorrie. – Wypaliliśmy się. To był zbyt gorący związek, żeby mógł przetrwać. Chcę tylko zobaczyć podwójne podbródki jego żon. Poza tym może przyjdzie ta, jak jej tam? Czy to nie byłoby paradne?

Zmiłuj się, myśli Tin. Tylko nie Jakiejtam! Jorrie nadal jest tak cięta na Constance, stałą dziewczynę, której materac zbrukała, że nawet nie wymawia jej imienia.

Niestety, Constance W. Starr nie odeszła w zapomnienie, na co mogła wskazywać jej wątość. Mało tego, stała się obscenicznie sławna, chociaż z komicznego powodu: jako C.W. Starr jest autorką szkodliwej dla mózgu serii fantasy *Alphinlandia*. *Alphinlandia* zarobiła takie pierdyliony dolarów, że Gavin

Względnie Zamożny Poeta musiał obracać się w grobie na kilkadziesiąt lat przed śmiercią. Musiał przeklinać dzień, gdy dał się zwieść przegrzanemu estrogenowi Jorrie.

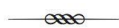
W miarę jak gwiazda Starr wschodziła, gwiazda Jorrie gasła: już nie migocze, nie mruga oczkiem. Głód książek C.W. Starr sprawia, że w dniu wydania nowej części cyklu przed księgarniami ustawiają się długie gwarne kolejki dzieci i dorosłych obojga płci przebranych za nikkzemnego Milzretha Czerwoną Rękę, Skinkrota Połykacza Czasu o pustej twarzy lub Frenozję o Wonnych Czulkach, boginię o owadzich oczach, ze świtą czarodziejskich pszczół w kolorze indygo i szmaragdów. Cały ten szal musiał grać Jorrie na nerwach, choć nigdy nie przyznała, że go zauważyła.

Tin kilkakrotnie odwiedzał Riverboat z Jorrie i mgliście pamięta osobliwe początki *Alphinlandii*. Saga zaczęła żywot jako seria bajek spod znaku magii i miecza publikowanych w dwukartkowych pisemkach. Okładki zdobyły półnagie dziewczyny, do których ślinili się ludzie-jaszczury. Bywalcy Riverboat, zwłaszcza poeci, nabijali się z Constance, choć Tin przypuszcza, że obecnie raczej tego nie robią. Pieniądze łowią ryby na złoty haczyk.

Oczywiście czytał książki z serii o Alphinlandii, przynajmniej część: czuł, że jest to winien Jorrie. Gdyby kiedykolwiek spytała, co o nich sądzi, może lojalnie zapewnić siostrę, że są fatalne. Jorrie, rzecz jasna, również je czytała. Powodowana zazdrosną ciekawością nie mogła się powstrzymać. Jednak ani Tin, ani Jorrie nie przyznają się, by mieli je w rękach.

Na szczęście Constance W. Starr jest odludkiem, myśli Tin. Jej kontakty ze światem osłabły jeszcze bardziej po śmierci męża – Jorrie w milczeniu podała mu gazetę z nekrologiem. W świecie idealnym C.W. Starr nie pojawi się na pogrzebie.

Prawdopodobieństwo świata idealnego? Jeden na milion.



– Jeżeli pogrzeb tego Putnama ma się obracać wokół Constance W. Starr, to zgłaszam stanowczy sprzeciw – mówi Tin. – Wbrew temu, co twierdzisz, nie będzie zabawnie. To będzie dla ciebie niszczące przeżycie.

Tin pomija milczeniem, co następuje: „Przegrasz, Jorrie. Tak jak ostatnim razem. Ona nad tobą góruje”.

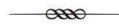


– Obiecuję, że nie chodzi o nią – zapewnia Jorrie. – To było ponad pięćdziesiąt lat temu. Jak może chodzić o nią, skoro nawet nie pamiętam jej imienia? Zresztą była taką wątlą miernotą! Wystarczyło, żebym kichnęła, a byłoby po niej! – Dusi się ze śmiechu.

Tin się zastanawia. Takie odgrażanie się Jorrie świadczy o bezbronności, a zatem potrzebuje jego wsparcia.

– Dobrze, pójdę – oznajmia z nieskrywaną niechęcią. – Ale mam złe przeczucia.

– Nie bądź rura i nie pękaj – mówi Jorrie.



– Gdzie się odbywa ta okropna impreza? – pyta Tin w dniu pogrzebu.

Jest niedziela, jedyny dzień, kiedy Jorrie wolno gotować. Najczęściej polega to na otwieraniu pojemników z jedzeniem na wynos, ale Jorrie postanawia ambitnie podejść do sprawy, tłuką się talerze, latają przekleństwa, dochodzi do oparzeń. Dzisiaj, Bogu niech będą dzięki, Jorrie serwuje bajgle. Kawa jest doskonała, ponieważ zaparzył ją Tin.

– W szkole imienia Enocha Turnera – odpowiada Jorrie. – Zapewnia podniosły nastrój przywodzący na myśl dawne dzieje.

– Kto to napisał? Karol Dickens? – pyta Tin.

– Ja – mówi Jorrie. – Wiele lat temu. Zaraz po tym, jak zostałam wolnym strzelcem. Chcieli nuty archaicznej.

Z tego, co Tin pamięta, Jorrie niezupełnie została wolnym strzelcem. W agencji reklamowej, gdzie pracowała, wybuchła wojna domowa, a Jorrie znalazła się po stronie przegranych, ponieważ niefortunnie powiedziała antagonistom, co o nich myśli. Przyzwoita odprawa pozwoliła jej na zajęcie się spekulowaniem nieruchomościami. Zarabiała wystarczająco dużo, by pozwolić sobie na markowe obuwie, w jakim gustują fetyszyści, oraz na horrendalnie drogie wakacje zimowe w złym guście, dopóki w okresie menopauzy jeden z kochanków nie ulotnił się z jej oszczędnościami. Zadłużona, musiała sprzedawać, kiedy ceny spadały, i straciła majątek, czy zatem Tin mógł postąpić inaczej niż zaproponować jej mieszkanie u siebie? Jego dom był dość duży dla nich obojga – na styk. Jorrie zajmuje sporo miejsca.

– Mam nadzieję, że ta szkoła nie jest wylęgarnią kiczu – mówi Tin.

– Czy mamy inne wyjście?

Jorrie pomyszkowała w szafie, wybrała trzy stroje na wieszakach i pokazała Tinowi do oceny. Między innymi tego się domaga, tego żąda w dni, kiedy zgadza się jej towarzyszyć.

– Jaki jest werdykt? – pyta.

– Nie wściekły róż.

– Ależ to oryginalny Chanel!

Oboje odwiedzają firmowe sklepy odzieżowe, chociaż tylko te lepsze. Przynajmniej zachowali figury. Tin nadal może nosić eleganckie trzyczęściowe garnitury w stylu lat trzydziestych, którym pozostaje wierny od kilku dziesięcioleci. Ma nawet lakierowaną laskę.

– Nieważne – mówi Tin. – Nikt nie przeczyta metki, a ty nie jesteś Jackie Kennedy. Wściekły róż przyciągnąłby nadmierną uwagę.

Jorrie chce przyciągnąć nadmierną uwagę, właśnie w tym rzecz! Jeśli pojawią się żony Gavina, zwłaszcza Jakjejtam, Jorrie chce, by ją spostrzegły, gdy tylko przekroczy próg. Mimo to ulega, bo w przeciwnym razie Tin z nią nie pójdzie.

– Etola z imitacji lamparta też nie.

– Ależ one znowu są modne!

– Otóż to. Są zbyt modne. Nie dąsaj się, wyglądasz jak wielbłądzica.

– Czyli głosujesz za szarym. Czy mogę ziewnąć?

– Możesz, ale to nie zmieni faktów. Szary ma piękny krój. Pełen prostoty. Może do tego szal?

– Żeby zasłonić zwiędłą szyję?

– Ty to powiedziałaś, nie ja.

– Zawsze mogę na tobie polegać – mówi Jorrie zgodnie z prawdą.

Ilekcioć przyjmuje radę Tina, brat ratuje ją przed nią samą. Kiedy wyjdzie z domu, nabierze pewności, że dobrze się prezentuje. Tin wybiera dla niej chiński czerwony szal: podkreśli cerę.

– Jak wyglądam? – pyta, okręcając się przed bratem.

– Szalowo – mówi Tin.

– Uwielbiam, jak dla mnie kłamiesz.

– Nie kłamię.

Szał: ostre zaburzenie świadomości połączone z gwałtownym podnieceniem. To mniej więcej wyczerpuje temat. Po przekroczeniu pewnego punktu szara kreacja o pięknym kroju jest w stanie pomóc tylko w ograniczonym zakresie.

W końcu są gotowi na wyjścia.

– Musisz włożyć najcieplejszy płaszcz – upomina Tin. – Na dworze lodownia.

– Co takiego?

– Jest bardzo zimno. Według prognozy temperatura nie będzie wyższa niż minus dwadzieścia. Okulary masz? – Tin chce, żeby Jorrie mogła samodzielnie czytać program i nie wiercić mu o to dziury w brzuchu.

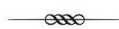
– Tak, tak. Dwie pary.

– Chusteczka?

– Nie martw się, nie zamierzam płakać – zapewnia Jorrie. – Nie po tym draniu!

– Jeśli się rozplączesz, możesz użyć mojego rękawa – mówi Tin.

– Nie będzie mi potrzebny. – Jorrie wysuwa podbródek, swój sztandar bojowy.



Tin nalega, by pozwoliła mu prowadzić: jazda z Jorrie za kierownicą za bardzo przypomina rosyjską ruletkę. Czasem daje sobie radę, ale w zeszłym tygodniu przejechała szopa. Twierdziła, że już był martwy, ale Tin wątpi.

– Zresztą nie powinien był wychodzić w taką pogodę – stwierdziła.

Ostrożnie jadą oblodzonymi ulicami starannie utrzymanym, należącym do Tina peugeotem z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego; opony skrzypią na śniegu. Jeszcze nie uprzątnięto po wczorajszych opadach, choć na szczęście była to tylko śnieżycą, nie burza lodowa taka jak ta, która rozpętała się w Boże Narodzenie. Trzy dni bez ogrzewania i światła w domu w dzielnicy Cabbagetown dały się we znaki, ponieważ Jorrie postrzegala burzę jako osobistą obrazę i utyskiwała na tę niesprawiedliwość. Jak pogoda mogła jej robić coś podobnego?

Na północ od King znajduje się parking – Tin znalazł go wcześniej w internecie, bo ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje, to Jorrie w roli pilota – jest tam jednak zadziwiająco mało wolnych miejsc: kilka samochodów za nimi zostaje odprawionych z kwitkiem. Tin wyłuskuje Jorrie z przedniego siedzenia i podtrzymuje ją, kiedy ślizga się na lodzie. Dlaczego nie zawetował butów na

wysokim obcasie? Mogła upaść i coś sobie złamać – biodro, nogę – co oznaczałoby, że spędzi w łóżku wiele miesięcy, a on będzie musiał nosić tace i opróżniać baseny. Chwytając siostrę mocno za ramię, pociąga ją ulicą King, potem skręcają na południe w Trinity.

– Spójrz na te tłumy – mówi Jorrie. – Kim, u diabła, są ci ludzie?

To prawda, w kierunku szkoły imienia Enocha Turnera zmierza spora grupa. Większość, zgodnie z przewidywaniem, to przedstawiciele zgrzybiałego pokolenia, jak Tin i Jorrie, ale, o dziwo, jest też całkiem sporo młodych. Czyżby Gavin Putnam stał się kultową postacią dla młodzieży? Przykra perspektywa, myśli Tin.

Jorrie przywiera do brata, kręcąc głową jak peryskop.

– Nie widzę jej – szepcze. – Nie ma jej!

– Nie przyjdzie – mówi Tin. – Boi się, że nazwiesz ją Jakjejtam.

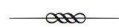
Jorrie śmieje się, lecz niezbyt szczerze. Ona nie ma żadnego planu, myśli Tin, jak zwykle szarżuje przed siebie na oślep. Dobrze, że z nią przyszedł.

Szkolna sala jest zatłoczona i przegrzana, chociaż istotnie panuje podniosły nastrój, przywodzący na myśl dawne dzieje. Rozlega się przytłumione pokrzykiwanie jakby odległego ptactwa wodnego. Tin pomaga Jorrie zdjąć płaszcz, sam się rozbiera i cofa o krok.

Jorrie szturcha brata i szepcze natarczywie:

– To musi być wdowa, ta w niebieskim. Cholera, wygląda na dwunastolatkę. Gav był takim zbokiem.

Tin wypatruje, ale nie dostrzega kobiety pasującej do opisu. Jak Jorrie może to stwierdzić, skoro ludzie stoją do niej plecami?



W sali zapada cisza: na podeście pojawił się mistrz ceremonii – młody mężczyzna w golfie i tweedowej marynarce, stroju zawodowym – który wita wszystkich na uroczystości upamiętniającej życie jednego z najbardziej cenionych, kochanych i, jeśli można tak to ująć, najważniejszych poetów.

Mów za siebie, myśli Tin, może był ważny, ale nie dla mnie. Wyłącza głos i zaczyna szlifować w myślach parę fraz Marcjalisa. Tin nie publikuje już swoich prac, bo po co zawracać sobie głowę, ale proces improwizowanego przekładu jest

prywatnym ćwiczeniem umysłu, które pozwala przyjemnie spędzić czas w sytuacjach, gdy wymaga on spędzenia.

Inaczej niż ty, co przed nami paradujesz,  
Te dziwki stronią od widzów,  
Pieprzą się za zamkniętymi drzwiami.  
Za zasłoną, w ustronnych komnatach;  
Nawet najbrzydsze i najtańsze  
Wymykają się, by wśród grobów uprawiać swój fach.  
Zachowuj się skromniej, jak one!  
Myślisz, Lesbio, że opisuję cię szpetnie?  
Łajdacz się do woli, lecz rób to dyskretnie!

Czy ostatnie rymy nie są zbyt częstochowskie? Może zatem jeszcze zwięźlej:

Może, jak kurwa, pchaj, dupy daj,  
Lecz, droga Lesbio, tego nie rozgłaszaj!

Nie, to do niczego: wypada głupiej niż najgłupsze fragmenty Marcjalisa, gubi się za dużo detali. Oryginalne groby należy zachować, cmentarne konotacje są ważne. Później spróbuje ponownie. Może powinien przełożyć wiersz kontrastujący gruszkę z suszoną śliwką?

Jorrie wymierza mu sójkę w bok.

– Zasypiasz! – syczy.

Tin raptownie wraca do rzeczywistości. Pospiesznie przebiega wzrokiem plan ceremonii. Na zdjęciu z czarną bordiurą Gavin patrzy surowo jak profesor. Na jakim są etapie? Czy wnuki już śpiewały? Najwyraźniej tak, w dodatku nie jakiś ponury hymn, ale, o zgrozo, *My Way*. Ktokolwiek to zaproponował, powinien zostać wychłostany, lecz na szczęście Tin drzemał.

W tej chwili dorosły syn czyta nie z Biblii, ale utwór zgasłego trubadura, późny wiersz o liściach w basenie.

Maria wyławia uschłe liście,  
Czy to są dusze? Czy jedna z nich jest moja?  
Czy śniada Maria jest Aniołem Śmierci,  
Który przyszedł mnie zabrać?

Wyblakła błędna duszo, wirująca w zimnym basenie,

Od tak dawna jesteś współniczką tego głupca, mego ciała,  
Gdzie wylądujesz? Na jakim nagim brzegu?  
Czy będziesz tylko uschłym liściem? Czy...

Aha. Wiersz pozostał niedokończony. Gavin umarł, kiedy nad nim pracował. Cóż za patos, myśli Tin. Nic dziwnego, że słyszy wokół siebie tłumione łkanie jak wiosenne kumkanie żab. Mimo to, gdyby poddać utwór dalszej destylacji, rezultat byłby znośny, pomijając jawny plagiat wiersza umierającego cesarza Hadriana zwracającego się do własnej zbłąkanej duszy. Może nie plagiat, lecz aluzję, jak ująłby to przychylny krytyk. Fakt, że Gavin Putnam znał Hadriana na tyle, by mu podkraść, znacznie podwyższył mniemanie Tina o zmarłym rymopisie. Jako poecie, nie człowieku.

– *Animula, vagula, blandula* – recytuje pod nosem. – *Hospes comesque corporis / Quae nunc abibis in loca / Pallidula, rigida, nudula / Nec, ut soles. Dabis iocos.* – Trudno to lepiej ująć, choć niejeden próbował.

Potem następuje przerwa na medytację w milczeniu. Prowadzący prosi zebranych, by zamknęli oczy i wspomnieli ubogacającą przyjaźń z już nieobecny przyjacielem i znajomym, przypomnieli sobie, co ta przyjaźń znaczyła dla każdego. Jorrie znów szturcha Tina łokciem, co znaczy: Ależ to będzie frajda przypomnieć sobie potem ten pogrzeb.

Wkrótce czeka ich kolejna atrakcja pogrzebowa. Jeden z pomniejszych pieśniarzy folkowych ery Riverboat, mocno pomarszczony, ze zmierzwioną kozią bródką przypominającą podbrzusze stonogi, raczy ich utworem z tamtych czasów: *Mister Tambourine Man*. Sam wykonawca przyznaje, że to osobliwy wybór. „Ale ta uroczystość nie polega na smuceniu się, prawda? Chodzi o świętowanie. Wiem, że Gavin pewne teraz słucha i tupie nogą z radości! Siemasz, stary! Machamy do ciebie!”.

W sali słyhać tłumiony szloch. Darujcie nam, wzdycha Tin. Jorrie się trzęsie. Z żalu czy śmiechu? Nie wolno mu na nią spojrzeć: jeśli to śmiech, oboje zaczną chichotać, co mogłoby się okazać krępujące, gdyby Jorrie nie zdołała się pohamować.

Później eulogię wygłasza nieprzyzwoicie ładna młoda kobieta o kawowej cerze i jasnych włosach, w kozaczkach i jaskrawym szalu. Przedstawia się – Naveena jakaś tam – jako badaczka twórczości poety. Naveena pragnie podzielić się wiadomością, że choć poznała pana Putnama dopiero w ostatnim dniu jego życia,

jego współczująca osobowość i zaraźliwa miłość życia bardzo ją poruszyły, jest więc wdzięczna pani Putnam – Reynolds – za umożliwienie spotkania. Choć Naveena straciła pana Putnama, zyskała nową przyjaciółkę w osobie Reynolds podczas straszliwej próby, jaką obie musiały przejść; Naveena cieszy się, że nie opuściła Florydy w dniu, kiedy to się stało, bo mogła wspierać Reynolds, jest też pewna, że wszyscy zgromadzeni razem z nią składają wdowie najserdeczniejsze życzenia w tym trudnym, tragicznym momencie i... Głos jej zadrżał i się załamał.

– Przepraszam – mówi Naveena. – Zamierzałam powiedzieć więcej o, no wiecie, poezji, ale... – Zbiega ze sceny we łzach.

Wzruszające stworzenie.

Tin spogląda na zegarek.

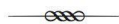
W końcu przychodzi pora na ostatni akcent muzyczny. *Fare Thee Well*, tradycyjna piosenka folkowa, która ponoć inspirowała Gavina Putnama, gdy pisał sławny dziś pierwszy zbiór wierszy *Ciężkie światło księżycy*. Na scenie pojawia się rudowłosy młodzieniec, nie więcej niż osiemnastoletni, w towarzystwie dwóch chłopaków z gitarami.

Żegnaj, ukochana,  
Na chwilę do widzenia,  
Na pewien czas odchodzę,  
Lecz wrócę, wypatruj mnie.

To działa za każdym razem: obietnica powrotu połączona z silnym przekonaniem, że powrót nie jest możliwy. Drżący tenor cichnie, słychać łkanie i kaszel. Tin czuje, jak ktoś wtula twarz w rękaw jego marynarki.

– Och, Tin – mówi Jorrie.

Kazał jej wziąć chusteczkę, ale oczywiście nie posłuchała. Tin wyjmuje swoją i podaje siostrze.



Potem rozlegają się pomruki, szelest ubrań, ludzie wstają, mieszają się. Żalobnicy zostają poinformowani, że w salonie czeka bar, w sali zachodniej zaś poczęstunek. Dyskretny tupot.

– Gdzie jest toaleta? – pyta Jorrie. Niewprawnie otarła twarz i teraz tusz spływa jej po policzkach. Tin odbiera chusteczkę i najlepiej, jak umie, usuwa czarne

smugi. – Poczekasz na mnie? – pyta błagalnie Jorrie.

– Sam się tam wybieram – mówi Tin. – Spotkajmy się w barze.

– Tylko się nie guzdraj – upomina siostra. – Muszę się wyrwać z tego wariatkowa.

Jest wyraźnie nastroszona, musiał spaść jej poziom cukru. W zamięcie przygotowań zapomnieli o lunchu. Tin napoi ją alkoholem dla kurażu, potem pchnie w kierunku kanapek bez skórki. Zjedzą parę kawałków ciasta cytrynowego, bo co to za pogrzeb bez ciasta cytrynowego, i czmychną.

W męskiej toalecie spotyka Setha McDonalda, emerytowanego profesora języków starożytnych w Princeton, uznanego tłumacza hymnów orfickich oraz, jak się okazuje, wieloletniego znajomego Gavina Putnama. Nie, nie na gruncie zawodowym, ale poznali się podczas rejsu po Morzu Śródziemnym – Atrakcje Świata Starożytnego – dobrze im się rozmawiało i przez lata korespondowali. Teraz następuje wymiana kondolencji. Tin rutynowo kręci i wymyśla powód uzasadniający jego obecność na pogrzebie.

– Obaj interesowaliśmy się Hadrianem – wyjaśnia.

– A, tak – mówi Seth. – Zauważyłem aluzję. Zręczna robota.

Z uwagi na niespodziewane opóźnienie Jorrie wychodzi z toalety przed Tinem. Nie powinien był jej spuszczać z oczu! Poszła na całość z pudrem brązującym o metalicznym połysku, na który nałożyła warstwę dużych migotliwych złotych płatków. Akcesoria musiała przemycić w torebce w ramach retorsji, kiedy Tin zabronił jej włożyć wściekle różowy kostium Chanel. Bez okularów do czytania nie mogła dostrzec pełnego efektu makijażu w lustrze.

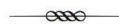
– Coś ty... – zaczyna Tin.

Siostra marszczy brwi i posyła mu spojrzenie pod tytułem: „Ani się waż!”. Zresztą ma rację. Jest już za późno.

– Szarża Lekkiej Brygady – mówi Tin, ujmując Jorrie pod łokieć.

– Co takiego?

– Chodźmy się napić.



Z kieliszkami niedrogiego, lecz znośnego białego wina w dłoniach ruszają w kierunku stołu z poczęstunkiem. Gdy zbliżają się do ludzi wokół stołu, Jorrie



sztywnieje.

– Patrz, z trzecią żoną! To ona! – mówi Jorrie, drżąc na całym ciele.

– Kto? – pyta Tin, choć wie doskonale.

To ta gorgona Jakjejtam, C.W. Starr we własnej osobie, rozpoznawalna ze zdjęć w gazetach. Niska siwa kobieta w niemodnej pikowanej marynarce. Nie widać połyskliwego pudru, w zasadzie nie ma na sobie śladu makijażu.

– Ona mnie nie poznaje! – szepcze Jorrie, nie posiadając się z rozbawienia. Kto by cię poznał, myśli Tin, pod tą warstwą stiuku i smocznych łusek na twarzy? – Spojrzała prosto na mnie! Chodź, podsłuchamy!

W Jorrie budzi się dziecinna pokusa przeszpiegów. Ciągnie brata za sobą.

– Nie, Jorrie – odzywa się jak do źle wytresowanego teriera.

Na próżno: Jorrie brnie przed siebie, ciągnąc za niewidzialną smycz, której nie zdołał umocować.



Constance W. Starr trzyma kanapkę z pastą jajeczną w jednej i szklanek wody w drugiej dłoni. Wygląda na osobę osaczoną, mającą się na baczności. Obok niej musi stać wdowa w żałobie, Reynolds Putnam, w skromnej niebieskiej sukience, z perłami. Jest całkiem młoda. Nie wygląda na przesadnie zgnębioną, ale od śmierci męża upłynęło już sporo czasu. Na prawo od pani Putnam stoi Naveena, atrakcyjna młoda wielbicielka, która załamała się podczas wygłaszania mowy pogrzebowej. Najwyraźniej całkowicie doszła do siebie i peroruje.

Jednak nie na temat Gavina Putnama i jego nieśmiertelnych wersów. Tin dostraja ucho do akcentu ze Środkowego Zachodu i zdaje sobie sprawę, że Naveena rozplywa się z zachwyty nad serią o Alphinlandii. Constance W. Starr bierze kęs kanapki: w przeszłości musiała już słyszeć podobne rzeczy.

– Klątwa Frenozji – mówi Naveena. – Tom czwarty. To było takie... z pszczołami i Szkarłatną Czarodziejką uwięzioną w kamiennym ulu! To takie...

Jorrie wślizguje się na wolne miejsce na lewo od sławnej pisarki. Dłoń zamyka na ręce Tina, wysuwa głowę, jakby zamieniała się w słuch. Czyżby zamierzała udawać wielbicielkę, myśli Tin. Co ona knuje?

– W tomie trzecim – prostuje Constance W. Starr. – Frenozja po raz pierwszy pojawia się w tomie trzecim, nie czwartym. – Bierze kolejny kęs kanapki i żuje

niewzruszona.

– Ach, tak, w tomie czwartym – przyznaje Naveena i chichocze nerwowo. – Pan Putnam mówił, że umieściła go pani w serii. Wtedy, kiedy wyszłaś zrobić herbatę – zwraca się do Reynolds. – Tak mi powiedział.

Twarz Reynolds tężeje: Naveena wkroczyła na jej terytorium.

– Jesteś pewna? – pyta. – On zawsze zaprzeczał, jakoby...

– Powiedział, że nie mówił ci o wielu rzeczach – oznajmia Naveena. – Nie chciał, żebyś poczuła się wykluczona, ponieważ ciebie nie ma w *Alphinlandii*.

– Kłamiesz! – wybucha Reynolds. – O wszystkim mi mówił! Według niego *Alphinlandia* to stek bzdur!

– Tak się składa, że faktycznie umieściłam Gavina w *Alphinlandii* – odzywa się Constance. Do tej pory nie dała poznać, że zauważyła obecność Jorrie, teraz jednak odwraca się i patrzy prosto na nią. – Żeby go chronić.

– To niestosowne – mówi Reynolds. – Według mnie powinnaś...

– I był bezpieczny – ciągnie Constance. – Leżał w beczce na wino. Spał przez pięćdziesiąt lat.

– Och, wiedziałam! – woła Naveena. – Zawsze wiedziałam, że występuje w serii. W którym tomie?

Constance nie odpowiada. Nadal zwraca się do Jorrie.

– Teraz go wypuściłam. Może przychodzić i odchodzić wedle uznania. Już mu nie zagrażasz.

Co się dzieje z Constance W. Starr, zastanawia się Tin. Jorrie miałyby zagrażać Gavinowi Putnamowi? Przecież to on ją porzucił, on wyrządził jej krzywdę. Czy w tej szklance jest wódka?

– Co takiego? – pyta Jorrie. – Mówisz do mnie? – Ścisła rękę Tina, ale nie po to, by powstrzymać śmiech. Wygląda na przestraszoną.

– Gavina nie ma w tej pieprzonej książce! Gavin nie żyje – mówi Reynolds i zaczyna płakać.

Naveena rusza ku niej, ale zatrzymuje się i cofa.

– Jemu zagrażała twoja zła wola, Marjorie – mówi spokojnie Constance. – Połączona z gniewem. Wiesz, to bardzo silna klątwa. Dopóki jego duch mieszkał

w ciele, groziło mu niebezpieczeństwo. – Pomimo pudru brązującego i złotych płatków od początku musiała wiedzieć, kim jest Jorrie.

– To oczywiste, że byłam zła z powodu tego, co mi zrobił! – woła Jorrie. – Rzucił mnie, wykopał jak starą...

– Och – mówi Constance. Na chwilę wszystko zastyga. – Nie zdawałam sobie z tego sprawy – dodaje w końcu. – Sądziłam, że było odwrotnie. Myślałam, że to ty go zraniłaś.

Czy to jest konfrontacja, myśli Tin. Czy to materia i antymateria? Czy te dwie kobiety szepią się ze sobą i eksplodują?

– Tak powiedział? – pyta Jorrie. – Cholera, teraz wszystko jasne! Oczywiście zwałił wszystko na mnie!

– O mój Boże – szepcze Naveena. – Pani jest Mroczną Panią! Z sonetów! Mogłybyśmy porozmawiać...

– To ma być pogrzeb, nie konferencja – wtrąca się Reynolds. – Gavin by tego nie zniósł!

Żadna z kobiet nie daje po sobie znać, że ją słyszała. Reynolds wydmuchuje nos, oczy ma przekrwione, toczy wściekłym wzrokiem, wreszcie idzie w stronę baru.

Constance W. Starr wpycha resztkę kanapki do szklanki. Jorrie wpatruje się w nią, jakby tamta mieszała czarodziejski eliksir.

– W takim razie honor nakazuje, żebym cię uwolniła – stwierdza Constance. – Całkowicie opacznie to zrozumiałam.

– Co? – Jorrie niemal krzyczy. – Skąd masz mnie uwolnić? O czym ty mówisz?

– Z kamiennego ła – wyjaśnia Constance. – Gdzie więziłam cię przez wiele lat i gdzie żądliły cię pszczoły w kolorze indygo. Za karę. A także po to, żebyś nie mogła skrzywdzić Gavina.

– Ona jest Szkarłatną Czarodziejką! – mówi Naveena. – Ależ to wredne! Mogłaby mi pani powiedzieć...

Constance nadal ją ignoruje.

– Przepraszam za pszczoły – zwraca się do Jorrie. – To musiało być bardzo bolesne.

Tin chwytą siostrę za łokieć i próbuje ją odciągnąć. Mogłaby wpaść w szal, zacząć kopać starą pisarkę po goleniach albo przynajmniej na nią nawrzeszczyć.

Musi ją stąd zabrać. Wrócą do domu, zrobi im po mocnym drinku, uspokoi ją i będą mogli się z tego nabijać.

Jorrie ani drgnie, choć puszcza rękę Tina.

– To było bardzo bolesne – szepcze. – Takie bolesne, całe moje życie.

Czy ona płacze? Tak, roni prawdziwe metaliczne łzy, połyskujące brązem i złotem.

– Dla mnie też to było bolesne – mówi Constance.

– Wiem – odpowiada Jorrie.

Patrzą sobie w oczy połączone w nieprzeniknionej jedności umysłowej.

– Żyjemy w dwóch miejscach – mówi Constance. – W Alphinlandii nie ma przeszłości. Ale tu, gdzie teraz jesteśmy, istnieje czas. Wciąż zostało nam trochę czasu.

– Tak – przyznaje Jorrie. – Już czas. Mnie też jest przykro. Ja też cię uwalniam.

Jorrie robi krok w przód. Czy to uścisk, zastanawia się Tin. Obejmują się, czy siłują? Czy to kryzys? Jak może pomóc? Co to za babskie dziwactwo?

Tin czuje się głupio. Czyżby przez te wszystkie dziesięciolecia zupełnie nie rozumiał Jorrie? Czyżby miała inne warstwy, inne moce? Wymiary, o których mu się nie śniło?

Constance się cofa.

– Bądź błogosławiona – mówi do Jorrie. Jej biała, pergaminowa cera połyskuje złocistą łuską.

Młoda Naveena z trudem wierzy we własne szczęście. Z rozchylonymi ustami przygryza opuszki palców, wstrzymuje oddech. Oto zamyka nas w bursztynie, myśli Tin. Jak starodawne insekty. Zachowuje nas na wieczność. W bursztynowych kropkach, w bursztynowych słowach. Na naszych oczach.

## Wybryk natury

---

Co można było ze mną począć, co powinno się ze mną zrobić? Jedno i to samo pytanie. Możliwości były ograniczone. Rodzina roztrząsała je posępnie, bez końca, siedząc w nocy przy kuchennym stole, z opuszczonymi żaluzjami, jedząc kartoflaną oraz suche wąsate kiełbaski. Jeśli akurat znajdowałam się w fazie klarowności, siedziałam z nimi najlepiej jak potrafiłam, włączałam się do rozmowy, wyszukując w misce kawałki kartofli. W innych momentach zaszywałam się w najciemniejszym kącie, miaucząc do siebie, wsłuchana w ćwierkanie, którego nikt inny nie słyszał.

– Była takim ślicznym dzieckiem – mówiła moja matka. – Nic jej nie dolegało.

Zasmucał ją fakt, że wydała na świat coś takiego jak ja. Prawdziwy wyrzut czy wyrok. Co zrobiła źle?

– Może to klątwa? – wysunęła przypuszczenie moja babcia, równie wąsata jak kiełbaski, choć w jej przypadku było to naturalne z uwagi na wiek.

– Przez lata nic jej nie dolegało – stwierdził ojciec. – Zaczęło się dopiero po tym, jak w wieku siedmiu lat zachorowała na odrę. Dopiero wtedy.

– Kto miałby nas przekląć? – spytała matka.

Babcia zmarszczyła brwi. Miała długą listę kandydatów, ale nie potrafiła wskazać nikogo konkretnego. Nasza rodzina zawsze cieszyła się szacunkiem, a nawet pewną sympatią. Nadal tak było. Nadal mogło tak być, jeśli tylko coś się ze mną zrobi. Zanim, by tak rzec, wyjdę na jaw.

– Lekarz powiedział, że to choroba – przypomniał ojciec.

Lubił uchodzić za człowieka racjonalnego. Prenumerował gazety. To on nalegał, żebym nauczyła się czytać, i zachęcał mnie wbrew wszystkiemu. Nie siedziałam już jednak skulona w zagłębieniu ojcowskiego łokcia. Sadzał mnie po przeciwnej stronie stołu i choć narzucone oddalenie mnie bolało, rozumiałam go.

– To dlaczego nie przepisał lekarstwa? – zapytała matka.

Babcia prychnęła, bo miała na ten temat własne zdanie, związane z purchawkami i stęchlą wodą. Kiedyś zanurzyła mi głowę w wodzie, w której moczyły się brudne ubrania. W ten sposób zamierzała wypędzić demona, który, była pewna, wleciał mi przez usta i usadowił się tuż nad mostkiem. Matka zapewniała, że babcia kierowała się jak najlepszymi intencjami.

– Karmcie ją chlebem – poradził lekarz. – Będzie się domagała dużo chleba i kartofli. Poza tym zechce pić krew. Wystarczy krew kurczaków albo krowia. Nie pozwólcie jej pić za dużo.

Wymienił nazwę choroby, dużo w niej było głosek P i R, ale nic nam nie mówiła. Oglądając moje pożółkłe oczy, różowe zęby, czerwone paznokcie i długie ciemne włosy wyrastające na rękach i piersiach, powiedział, że wcześniej widział tylko jeden taki przypadek. Chciał mnie zabrać do miasta i pokazać innym lekarzom, ale rodzina odmówiła.

– Ona jest *lusus naturae* – oznajmił lekarz.

– Co to znaczy? – spytała babcia.

– Wybryk natury – wyjaśnił lekarz. Wezwaliśmy go z daleka, bo miejscowy rozpuściłby plotki. – To po łacinie. Coś jakby potwór. – Sądził, że nie słyszę, bo miauczałam. – To nie jest niczyja wina.

– Ona jest istotą ludzką – powiedział ojciec, zapłacił lekarzowi sowicie, żeby wrócił w swoje strony i nigdy więcej do nas nie przyjeżdżał.

– Dlaczego Bóg zrobił coś takiego? – zapytała matka.

– Choroba czy nie, to bez znaczenia – stwierdziła moja starsza siostra. – Tak czy inaczej nikt się ze mną nie ożeni.

Przytaknęłam, bo miała rację. Siostra była ładna, a my – prawie ziemianie – nie byliśmy biedni. Gdyby nie ja, siostra miałaby przyszłość usłaną różami.

Za dnia zamykano mnie w pokoju: mój wygląd przestał być zabawny. Nie miałam nic przeciwko temu, bo nie znosiłam światła słonecznego. W bezsenne noce spacerowałam po domu, nasłuchując chrapania rodziny, krzyków, gdy dręczyły ich koszmary. Towarzystwa dotrzymywał mi kot. Jako jedyne stworzenie chciał się do mnie zbliżyć. Pachniałam krwią, starą, zakrzepłą krwią: może dlatego za mną laził, może dlatego wspinał się na mnie i zaczynał lizać.

Sąsiadom powiedzieli, że zapadłam na wyniszczającą chorobę, gorączkę, delirium. Przysyłali jajka i kapustę, od czasu do czasu zachodzili, polując na

nowiny, ale nie palili się, żeby mnie oglądać: niezależnie od tego, co mi dolegało, mogło być zaraźliwe.

Postanowiono, że powinnam umrzeć. Dzięki temu nie będę stać na drodze siostrze, nie będę się nad nią unosić jak fatum.

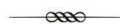
– Lepiej, jak jedna będzie szczęśliwa, niż obie nieszczęśliwe – zawyrokowała babcia, która zaczęła wieszać główki czosnku na framudze moich drzwi.

Przystałam na ich plan, ponieważ chciałam pomóc.

Przekupiono księdza, a w dodatku zaapelowaliśmy do jego współczucia. Każdy lubi myśleć, że spełnia dobry uczynek, jeśli jednocześnie otrzymuje gotówkę, nasz ksiądz nie był wyjątkiem. Powiedział mi, że Bóg wybrał mnie na specjalną dziewczynkę, tak jakby narzeczoną. Ponoć powołano mnie do poświęceń. Ksiądz oznajmił, że cierpienie oczyści moją duszę. Jego zdaniem dopisało mi szczęście, ponieważ miałam pozostać niewinna, żaden mężczyzna miał mnie nie zbrukać, a potem miałam pójść prosto do nieba.

Ksiądz powiadomił sąsiadów, że umarłam jak święta. Wystawiono mnie na pokaz w bardzo głębokiej trumnie w bardzo ciemnym pokoju, odzianą w białą sukienkę z obfitym welonem godnym dziewicy, w dodatku zasłaniającym wąsy. Leżałam tak dwa dni, choć oczywiście w nocy mogłam spacerować. Kiedy ktokolwiek wchodził, wstrzymywałam oddech. Ludzie stąpali na palcach, szeptali, nie podchodzili bliżej, wciąż bali się choroby. Moją matkę zapewniali, że wyglądam jak anioł.

Matka siedziała w kuchni zapłakana, jakbym naprawdę umarła, nawet siostra zdołała przywołać na twarz wyraz smutku. Ojciec włożył ciemny garnitur. Babcia piekła. Wszyscy się napychali. Trzeciego dnia wypełnili trumnę wilgotną słomą, zawieźli na cmentarz, pochowali wśród modlitw, postawili skromny nagrobek, a trzy miesiące później siostra wyszła za mąż. Jako pierwsza w rodzinie pojechała do kościoła powozem. Moja trumna stała się szczeblem w jej drabinie.

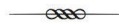


Teraz, kiedy umarłam, zyskałam więcej wolności. Nikomu poza matką nie wolno było wchodzić do mojego pokoju, mojego dawnego pokoju, jak go nazywali. Sąsiadom powiedzieli, że to kaplica poświęcona mojej pamięci. Na drzwiach powiesili mój obraz z czasów, gdy jeszcze wyglądałam jak człowiek. Nie wiedziałam, jak wyglądałam teraz. Unikałam luster.



W półmroku czytałam Puszkina, lorda Byrona, poezję Johna Keatsa. Dowiedziałam się o skalanej miłości, buncie i słodyczy śmierci. Te myśli dawały mi ukojenie. Matka przynosiła mi chleb, kartofle i kubek krwi, zabierała nocnik. Dawniej rozczesywała mi włosy, ale zaczęły wypadać garściami; kiedyś tuliła mnie i płakała, ale przestała to robić. Przychodziła i odchodziła najszybciej, jak umiała. Bez względu na to, jak starannie próbowała to ukryć, oczywiście czuła do mnie odrazę. Tylko przez pewien czas można komuś współczuć, potem nabierasz przekonania, że przypadłość tej osoby jest aktem złej woli wymierzonym przeciwko tobie.

Nocą mogłam chodzić po domu, potem po podwórzu, wreszcie po całym lesie. Nie musiałam już się martwić, że wejdę w drogę innym ludziom i pokrzyżuję ich plany na przyszłość. Co do mnie, nie miałam przyszłości. Dysponowałam jedynie terażniejszością, a ta – jak mi się zdawało – zmieniała się wraz z księżycem. Gdyby nie ataki, wielogodzinny ból i ćwierkanie niezrozumiałych głosów, mogłabym powiedzieć, że byłam szczęśliwa.



Najpierw umarła babcia, potem ojciec. Kot się zestarzał. Matka jeszcze bardziej pogrążyła się w rozpacz.

– Moja biedna dziewczuszka – mówiła, choć, dokładnie rzecz biorąc, nie byłam już dziewczynką. – Kto się tobą zaopiekuje, kiedy mnie zabraknie?

Na to pytanie istniała tylko jedna odpowiedź: to musiałam być ja. Zaczęłam badać granice swojej mocy. Odkryłam, że jest ona znacznie większa wtedy, gdy mnie nie widzą, niż gdy jestem widziana, a już największą moc posiadałam, gdy byłam widziana częściowo. Celowo przestraszyłam w lesie dwoje dzieci: pokazałam im różowe zęby, włochatą twarz, czerwone paznokcie. Miauknęłam na dzieci, aż uciekły z krzykiem. Wkrótce ludzie zaczęli unikać naszej części lasu. W nocy zajrzałam przez okno i doprowadziłam młodą kobietę do hysterii.

– Coś widziałam! – łkała.

A zatem byłam czymś, rzeczą. Zastanowiłam się. W jakim sensie rzecz nie jest osobą?

Nieznamy zaoferował, że kupi naszą farmę. Matka chciała ją sprzedać i przeprowadzić się do mojej siostry, jej męża ziemianina i zdrowej, rozrastającej

się rodziny, której portrety właśnie namalowano. Nie dawała już sobie rady, ale jak mogła mnie porzucić?

– Zrób to – powiedziałam. W tym czasie mój głos przypominał warkot. – Zwolnię swój pokój. Mam gdzie się zatrzymać.

Matka była mi wdzięczna, biedactwo. Była do mnie przywiązana jak do odstającej skórki przy paznokciu albo brodawki: należałam do niej. Jednocześnie z radością się mnie pozbyła. Wypełniła dość obowiązków jak na jedno życie.

Podczas pakowania i sprzedawania mebli dni spędzałam w stogu siana. Takie lokum wystarczało, ale nie nadawało się na zimę. Gdy wprowadzili się nowi mieszkańcy, bez trudu się ich pozbyłam. Lepiej niż oni znałam dom, wszystkie wejścia i wyjścia. Potrafiłam przemieszczać się w ciemności. Stawałam się zjawą, potem innym straszidłem. Byłam dłonią o czerwonych paznokciach dotykającą twarzy w świetle księżyca. Byłam odgłosem zardzewiałych zawiasów, który wydawałam mimowolnie. Mieszkańcy wzięli nogi za pas i oznajmili, że w naszym domu straszy. Miałam go dla siebie.

Odżywiałam się kartoflami kradzionymi przy księżycu oraz jajkami podwędzаныmi z kurników. Co pewien czas kradłam kurę – najpierw wypijałam krew. Psy podwórzowe wyły na mnie, lecz nigdy nie atakowały, bo nie wiedziały, z czym mają do czynienia. Podeszłam do lustra w naszym domu. Podobno zmarli nie widzą własnego odbicia i tak też było: nie zobaczyłam siebie. Owszem, coś widziałam, ale w niczym nie przypominało ładnej dziewczynki, jaką, o czym wiedziałam w głębi serca, byłam.



Teraz jednak wszystko dobiega końca. Stałam się zbyt widoczna.

Oto, jak do tego doszło.

O zmierzchu zbierałam jeżyny na skraju łąki pod lasem, gdy spostrzegłam dwie osoby nadchodzące z przeciwnych stron. Młodego mężczyznę i dziewczynę. On był lepiej ubrany niż ona. Miał buty.

Oboje rozglądali się ukradkowo. Znałam te reakcje – spojrzenia przez ramię, nerwowe przystawanie – ponieważ sama stale miałam się na baczności. Przykucnęłam w jeżynach, żeby ich podejrzeć. Zaczęli pomiaukiwać, warczeć, cicho pokrzykiwali. Może oboje w tym samym momencie dostali ataku. Może – ach, w końcu! – byli istotami podobnymi do mnie. Zbliżyłam się, żeby lepiej

widzieć. Nie wyglądali jak ja, na przykład nie byli owłosieni z wyjątkiem głów, co mogłam dostrzec, ponieważ zrzucili większość ubrań. Z drugiej jednak strony dopiero po pewnym czasie stałam się tym, czym jestem. Tamci muszą znajdować się w stadium początkowym. Wiedzą, że ulegają przemianie, odnaleźli się dla towarzystwa, aby wspólnie przeżywać ataki.

Mężczyzna i dziewczyna najwyraźniej czerpali przyjemność z podrygiwania, chociaż co pewien czas się gryźli. Wiedziałam, jak może do tego dojść. Jakaż by to była dla mnie pociecha, gdybym mogła do nich dołączyć! Przez lata zasklepiałam się w skorupie samotności, ale teraz czułam, jak skorupa pęka. Mimo to brakowało mi odwagi, by do nich podejść.

Pewnego wieczoru młody mężczyzna zasnął. Dziewczyna okryła go koszulą, pocałowała w czoło i cicho odeszła.

Wyszłam z krzaków jeżyn i ostrożnie podeszłam do mężczyzny. Oto spał na owalu wygniecionej trawy jak na talerzu. Przykro mi to przyznać, ale straciłam panowanie. Położyłam na nim dłoń z czerwonymi paznokciami. Ugryzłam go w szyję. Czy kierowało mną pożądanie, czy głód? Jak mogłam je rozróżnić? Mężczyzna zbudził się, ujrzał moje różowe zęby, żółte oczy, furkoczącą czarną sukienkę. Zobaczył, jak uciekam. Widział dokąd.

O wszystkim opowiedział ludziom z wioski, którzy zaczęli snuć domysły. Wykopali moją trumnę, stwierdzili, że jest pusta, zaczęli obawiać się najgorszego. W tej chwili pod osłoną zmroku maszerują w stronę domu z pochodniami, uzbrojeni w długie piki. W tłumie idą moja siostra, jej mąż oraz młody człowiek, którego pocałowałam. To miał być pocałunek.

Cóż mogę im powiedzieć, jak się wytłumaczę? Kiedy potrzeba demonów, zawsze znajdzie się ktoś, kto nada się do tej roli, nie ma znaczenia, czy wystąpi się naprzód, czy zostanie wypchniętym. „Jestem istotą ludzką” – mogłam powiedzieć. Ale jakie miałam dowody? „Jestem wybrykiem natury! Zabierzcie mnie do miasta! Powinno się mnie badać!”. Nikłe szanse. Obawiam się, że kota nie czeka nic dobrego. Podzieli mój los.

Jestem skłonna wybaczać. Wiem, że ludziom z wioski przyświecają dobre intencje. Włożyłam białą suknię pogrzebową i biały welon, jak na dziewczycę przystało. Trzeba się wczuć w sytuację. Ćwierkające głosy rozbrzmiewają bardzo głośno, czas zrywać się do lotu. Runę z płonącego dachu jak kometa, rozbłysnę niczym wielkie ognisko. Tamci będą musieli zmówić nad moimi prochami wiele

zaklęć, żeby upewnić się, że tym razem naprawdę umarłam. Po pewnym czasie zostanę świętą na opak, kości moich palców będą sprzedawane jako mroczne relikwie. Stanę się legendą.

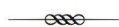
Może w niebie będę wyglądała jak anioł. A może anioły będą wyglądały jak ja. Cóż to będzie za niespodzianka dla wszystkich! Jest na co czekać.

Liofilizowany pan młody

---

Potem samochód odmawia posłuszeństwa. Winę ponosi nietypowe ochłodzenie spowodowane wirem polarnym – termin ten zdążył zainspirować komików do zamieszczania w internecie dowcipów, których tematem są pochwy żon.

Sam to rozumie. Zanim Gwyneth całkiem go odcięła, miała zwyczaj zmieniania prześcieradła na znak, że w końcu niechętnie postanowiła obdarzyć go odrobiną wąskoustego, wodnistego seksu na nieskazitelnie czystym prześcieradle. Zaraz potem ponownie zmieniała prześcieradło, by podkreślić, że Sam zostawia zarazki, pchły i plamy i tylko marnuje jej pralkę. Dała już sobie spokój z udawaniem – koniec ze sztucznymi jękami – akt więc przebiegał w niezemskiej ciszy i różowej, mdląco-słodkiej aurze płynu do płukania. Ta woń przenikała przez jego pory. Biorąc pod uwagę warunki, jest zdumiony, że w ogóle mógł funkcjonować, nie mówiąc o skwapliwości. Sam nie przestaje się zadziwiać. Kto wie, co jeszcze wymyśli? Na pewno nie on.



Oto, jak zaczyna się dzień. Przy śniadaniu, które samo w sobie jest katastrofą, Gwyneth oznajmia Samowi, że ich małżeństwo jest skończone. Sam upuszcza widelec, potem znów go podnosi, żeby odsunąć na bok resztki jajecznicy. Gwyneth zwykle robiła najdelikatniejszą jajecznicę, dlatego Sam konkluduje, że dzisiejsza, twarda jak podeszwa, stanowi część nakazu eksmisji. Gwyneth nie ma ochoty dłużej sprawiać mu przyjemności, wręcz przeciwnie. Mogła chociaż poczekać, aż wypije kawę, przecież wie, że Sam nie potrafi funkcjonować bez kofeinowego kopa.

– Chwila – mówi Sam, ale milknie.

To na nic. Nie ma do czynienia z początkiem utarczki, prośbą o więcej uwagi czy ofertą w negocjacjach: Sam już wcześniej przeżył wszystkie trzy wraz

z towarzyszącymi im minami. Gwyneth nie warczy, nie wydyma ust, nie marszczy czoła; ma szklisty wzrok i spokojny głos. To jest proklamacja.

Sam zastanawia się, czy protestować: dopuścił się grubego wykroczenia, zrobił coś paskudnego, nieodwracalnego jak rak? Jeśli chodzi o zapodziały pieniądze czy trudny do wytłumaczenia ślad szminki, nie było to nic, czego nie dopuściłby się już dawniej. Mógłby skrytykować ton głosu Gwyneth: czemu zrobiła się nagle taka drażliwa? Mógłby zaatakować jej wypaczone wartości: co się stało z jej umiejętnością zabawy, miłością życia, równowagą moralną? Mógłby wygłosić kazanie: wybaczenie jest cnotą! Albo przemówić jej do rozsądku: jakim cudem taka dobra, ciepła, serdeczna kobieta może wymierzać cios bezbronnemu, rannemu facetowi? Mógłby też obiecać poprawę: co mam zrobić, po prostu powiedz! Mógłby błagać o kolejną szansę, na co odpowiedziałaby, że wykorzystał już wszystkie. Mógłby zapewnić, że ją kocha, na co odparłaby – jak to robiła ostatnio z męczącą przewidywalnością – że miłość to nie tylko słowa, ale i czyny.

Gwyneth siedzi naprzeciwko niego, szykując się do walki, której niewątpliwie się spodziewa: włosy ściągnęła mocno do tyłu jak opaskę uciskową i splotła na karku, proste złote kolczyki i gruzłowaty naszyjnik podkreślają metaliczną szorstkość jej postanowienia. Przygotowując się do tej sceny, zrobiła makijaż – usta w kolorze zaschniętej krwi, brwi czarne jak chmury burzowe – ręce splotła na niegdyś zapraszających piersiach: tutaj nie wejdiesz, koleś. Najgorsze, że w tej skorupie, w której zamknęła się przed Samem, jest wobec niego obojętna. Teraz, gdy oboje zużyli wszystkie formy melodramatu, Sam zaczął ją nudzić. Gwyneth odlicza minuty, czeka, aż Sam sobie pójdzie.

Sam wstaje od stołu. Mogła chociaż poczekać z wyrokiem, aż się przebierze i ogoli: męczyzna w pięciodniowej piżamie jest na boleśnie słabszej pozycji.

– Dokąd idziesz? – pyta Gwyneth. – Musimy omówić szczegóły.

Sam czuje pokusę, by wyjechać z czymś raniącym czy drażliwym: „Na bruk”, „Akurat cię to obchodzi”, „To już chyba nie twoja pierdolona sprawa”. To byłby jednak błąd taktyczny.

– Możemy to zrobić później – odpowiada. – Całe to gówno prawne. Muszę się spakować.

Jeżeli Gwyneth blefowała, oto chwila, żeby się przyznać, ale nie, bynajmniej go nie powstrzymuje. Nie mówi nawet: „Nie bądź niemądry, Sam! Nie miałam na

myśli, że musisz odejść już teraz. Usiądź i napij się kawy. Nadal jesteśmy przyjaciółmi”.

Najwyraźniej jednak nie są już przyjaciółmi.

– Jak sobie chcesz – mówi, mierząc go surowym wzrokiem.

Sam musi więc jak niepyszny wygramolić się z kuchni w pizamie w owieczki przeskakujące przez płot – podarowała mu ją dwa lata temu na urodziny, kiedy jeszcze uważała, że jest słodki i zabawny – i w rozdeptanych wełnianych bamboszach.

Podejrzewał, że to nadchodzi, nie spodziewał się jednak, że nastąpi tak szybko. Powinien był zachować czujność i rzucić ją pierwszy. Utrzymałby uprzywilejowaną pozycję. Czy może znalazłby się na przegranej? W zaistniałej sytuacji niewątpliwie przysługuje mu rola osoby poszkodowanej. Wciąga dzinsy i sweter, wrzuca kilka rzeczy do płóciennego worka, stanowiącego część nigdy niezrealizowanego projektu morskiego. Później może przyjść po resztę gratów. Ich sypialnia, wkrótce mająca należeć tylko do niej – dawniej tak naładowana energią seksualną, często będąca sceną potyczek – już przypomina pokój hotelowy, który zamierza opuścić. Czy pomógł Gwyneth wybrać to wyprane z wdzięku łóżko imitujące styl wiktoriański? Owszem, w każdym razie stał z boku, kiedy popełniano tę zbrodnię. Ale nie materiał na zasłony w kretyńskie różyczki. Przynajmniej za to nie ponosi winy.

Maszynka do golenia, skarpetki, majtki, koszulki i tym podobne. Przemyka się do wolnego pokoju, gdzie urządził sobie biuro: laptop, telefon, notes i ładowarki wrzuca do torby na komputer. Kilka dokumentów, co nie znaczy, że ufa papierowi. Portfel, karty kredytowe, paszport: wszystko rozmieszcza w kieszeniach.

Jak może wyjść z domu, żeby go nie zauważyła – Sama i jego niechlubnej ucieczki? Czy ma skrócić prześcieradło, spuścić się z okna, spełznąć po ścianie? Nie myśli klarownie, lekko zezuje z wściekłości. Dla utrzymania równowagi zaczyna zabawę myślową, do której często się ucieka: wyobraźmy sobie, że padł ofiarą morderstwa, czy jego pasta do zębów byłaby wskazówką? *Dedukuję, że tę tubkę wyciśnięto po raz ostatni dwadzieścia cztery godziny temu. Co za tym idzie, wtedy ofiara jeszcze żyła. Co z iPodem? Sprawdźmy, czego słuchał w chwili, gdy nóż wbił mu się w ucho. Czy lista utworów stanowi szyfr? Albo okropne spinki do mankietów z lwimi głowami i jego inicjałami, prezent gwiazdkowy od Gwyneth sprzed dwóch lat? Te*



*spinki nie mogą należeć do niego, przecież miał doskonały gust. Muszą być własnością zabójcy.*

Ale spinki należą do niego. Tak postrzegala go Gwyneth, kiedy zaczęli ze sobą chodzić: król zwierząt, nieposkromiony drapieżnik, który odwracał ją tyłem i trochę kąsał. Przyciskał, wijącą się z pożądania, z łapą na jej szyi.

Dlaczego tak koi go fantazja, w której leży na katafalku w kostnicy, podczas gdy analityczka z wydziału medycyny sądowej – nieodmiennie gorąca blondynka w fartuchu laboratoryjnym opinającym jędrne, konkretne piersi – obmacuje jego trupa delikatnymi, lecz wprawnymi palcami? *Taki młody wisielec* – myśli pani doktor. – *Co za strata!* Następnie wścibska, atrakcyjna mała pani detektyw usiłuje odtworzyć jego zgaszone żalosne życie, prześledzić zbłąkane kroki, które doprowadziły go do złoczyńców i tragicznego końca. *Powodzenia, kochanie* – uśmiecha się do niej promiennie jego zimna blada głowa. – *Jestem zagadką, nigdy mnie nie przyszpilisz. Ale zrób to jeszcze raz dłońią w gumowej rękawicy! O, tak!*

W niektórych fantazjach Sam siada, ponieważ, jak się okazuje, jednak nie umarł. Krzyki! Potem pocałunki! W innych fantazjach siada, chociaż nie żyje. Gałki oczne uciekają w głąb głowy, ale chciwe dłonie sięgają do guzików jej fartucha. To inny scenariusz.

W worku marynarskim ląduje jeszcze jeden sweter, powinno wystarczyć. Sam zamyka worek, zarzuca na ramię, drugą ręką sięga po komputer i schodzi po dwa stopnie, jak to robił w przeszłości. Wymiana wytartego dywanu na schodach to już nie jego zmartwienie: przynajmniej jeden plus.

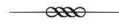
W przedpokoju wyjmuje z szafy zimową kurtkę, sprawdza, czy w kieszeniach są rękawiczki, ciepły szalik, czapka z owczej skóry. W kuchni widzi Gwyneth opartą łokciami o kosztowny stół ze szklanym blatem, wniesiony do wspólnego dobytku przez niego, ale mający teraz przypaść jej w udziale, bo Sam nie ma zamiaru się o niego chandryczyć. Zresztą nie zapłacił za niego, tylko go dostał.

Gwyneth rozmyślnie go ignoruje. Zaparzyła sobie kawę, która przepysznie pachnie. Wygląda też na to, że zrobiła sobie grzankę. Z pewnością nie jest aż tak zmartwiona, by tracić apetyt. To wkurza Sama. Jak może przeżuwać w takiej chwili? Czy nic dla niej nie znaczy?

– Kiedy cię zobaczę? – woła Gwyneth, kiedy Sam przekracza próg.

– Napiszę esemesa – odpowiada. – Ciesz się życiem.

Czy to była zbyt gorzka odzywka? Tak, irytacja jest błędem. Nie bądź dupkiem, Sam, mówi sobie. Tracisz dystans.



Akurat tego dnia samochód nie chce zapalić. Pieprzone audi. Nigdy nie powinien był przyjmować tego luksusowego złomu w ramach ugody z dłużnikiem, ale wtedy wydawało mu się, że to świetny interes.

Teatralne wyjście zepsute. Samowi nie udaje się nawet zniknąć za zakrętem z rykiem silnika, bywaj zdrowa, marynarz wypływa na pełne morze, komu potrzebne kobiety spowalniające jak betonowe bloki przywiązane do stóp? Machnięcie ręką i w drogę, na spotkanie nowych przygód.

Ponownie przekręca kluczyk w stacyjce. Klik, klik, dupa błada. Oddech paruje w mroźnym powietrzu, opuszki palców bieleją, uszy czerwienieją, dzwoni do warsztatu, żeby przyjechali i odpalili akumulator. W telefonie słyszy nagraną wiadomość, że ktoś wkrótce odbierze, ale powinien wiedzieć, że w związku z niesprzyjającymi warunkami atmosferycznymi przeciętny czas oczekiwania wynosi dwie godziny, proszę jednak pozostać na linii, ponieważ nasi klienci są dla nas ważni. Następnie rozlega się nagrana muzyczka. Sam wyobraża sobie, że słyszy słowa: *Odmroź sobie jaja. Dzięki wirowi polarnemu kosimy niezły szmal. Pójdź po rozum do głowy, kup sobie elektryczny podgrzewacz silnika. Pocałuj nas w dupę.*

Jak niepyszny wraca do domu. Na szczęście wciąż ma klucz, chociaż zmiana zamków jest niewątpliwie wysoko na liście priorytetów Gwyneth. Robienie list to jej specjalność.

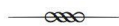
– Co ty tu robisz? – pyta Gwyneth.

Z ujmującym uśmiechem zbitego psa Sam pyta, czy mogłaby sprawdzić, czy jej samochód jest na chodzie. Mogliby zrobić jeszcze jeden wspólny kurs. Nie dosłownie, dodaje w myślach. Sam nie miałby nic przeciwko bliskiemu spotkaniu w łóżku, żeby sprawdzić, czy zdołałby ją odzyskać, przynajmniej na tyle, by nacieszyć się namiętnością wynikającą z ponownego pogodzenia, ale nie tym razem.

– W przeciwnym razie będę musiał tu poczekać, aż przyślą wóz naprawczy – mówi z uśmiechem, który, jak ma nadzieję, wypada beztrąsko. – To może potrwać wiele godzin. Może nawet... cały dzień. Nie chciałabyś tego.

Owszem, Gwyneth tego nie chce. Z westchnieniem cierpiętnicy – samochód, który nie zapala, to kolejna pozycja na nieskończonej liście przykładów jego nieudolności – zaczyna chronić się przed zimnem za pomocą kurtki, rękawic, szala i butów. Sam słyszy, jak zakasuje niewidzialne rękawy. „Do roboty”. Wyciąganie Sama z tarapatów, otrzepywanie go, polerowanie, żeby błyszczał jak nowy – kiedyś to właśnie było jej powołaniem. Jeśli ktokolwiek mógł go naprawić, to ona.

Poniosła klęskę.



Kiedy zaczęli ze sobą chodzić, po tym jak Gwyneth weszła do jego sklepu w poszukiwaniu ozdoby pasującej do szkaradnego spaniela z porcelany Staffordshire, którego niedawno odziedziczyła, Sam wydawał się jej niemal nieodparcie pociągający: najeżony, lecz zabawny, niczym drugoplanowa postać z musicalu z lat pięćdziesiątych. Uroczy gangster o cechach komicznych, zawiadaka o złotym sercu. Przypuszczalnie żaden mężczyzna jeszcze nigdy nie poświęcił jej tyle uwagi, nie przyglądał się Gwyneth tak bacznie jak drogocennej filizance. A może była tak zajęta opieką nad chorymi rodzicami, że nie dostrzegała szeregu zainteresowanych mężczyzn i nie poświęcała im dość czasu lub nie pozwalała, by oni poświęcali czas jej. By tak rzec. Co nie znaczy, że nie była piękna – miała urodę kamei, ale najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z tego, co mogłaby z tym zrobić. Owszem, miała kilku chłopaków, ale według Sama były to żalosne mięczaki.

W dniu porcelanowego spaniela Gwyneth była gotowa do działania. Nie powinna tak bardzo otwierać się przed obcymi mężczyznami, a konkretnie przed Samem. Nie powinna była udzielać tylu informacji. Zmarli rodzice, spadek pozwalający na rzucenie posady nauczycielki; w końcu mogła zacząć cieszyć się życiem, ale jak?

Na scenę wchodzi Sam dysponujący wiedzą o porcelanie Staffordshire, uśmiechający się do Gwyneth grzecznie, z uznaniem i lubieżnie. Umiał się bawić, a niewielu posiada ów talent. Sam chętnie się nim dzielił.

Był wobec Gwyneth stosunkowo szczery, czy raczej nie okłamywał jej od początku. Powiedział, że jego dochód pochodził ze sklepu z antykami, co częściowo było zgodne z prawdą. Nie powiedział, skąd pochodziła reszta

pieniędzy. Powiedział, że jest właścicielem sklepu – prawda – ale miał też wspólnika, co również było prawdą. Gwyneth zobaczyła w Samie fascynującego człowieka czynu, czarodzieja seksualnego, on dostrzegł w niej szacowną fasadę, za którą mógł się na pewien czas przycząić. Miło byłoby przestać mieszkać w motelach czy koczować na tyłach sklepu, dlatego z radością przyjął wiadomość, że Gwyneth posiada własny dom, w którym znalazł się dla niego pokój, kiedy tam przebywał. Kiedy interesy zaczęły iść lepiej, przebywał tam zresztą coraz rzadziej. Wyjaśnił Gwyneth, że musi sporo podróżować w interesach. Oglądać antyki.

Sam nie może powiedzieć, że początkowo nie odpowiadało mu życie żonkosia. Rozpieszczanie. Wygoda.

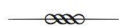
Nie był skończonym dupkiem: owszem, wkręcił się w małżeństwo, ale naprawdę wierzył, że może się udać. Nie stawał się młodszy, może należało się ustatkować. No dobrze, Gwyneth nie była typową gorącą laską, ale co z tego? Gorące laski często są skupione na sobie, niestałe. Gwyneth nie była na tyle ponętna, by nie doceniać tego, co dostała. Raz rozłożył ją nagą na łóżku i pokrył banknotami studolarowymi: mocna rzecz dla takiej grzecznej dziewczynki, a w dodatku jaki afrodyzjak! Jednak okresowe i coraz poważniejsze niedobory studolarówek, kiedy się o nich dowiedziała – za pierwszym razem, gdy miał pecha w grze w kości i pożyczył od Gwyneth forszę – miały zgoła przeciwny efekt. Zmrużyła oczy, sutki skurczyły się jej jak rodzyнки, wyschła jak suszona śliwka. Akurat wtedy, kiedy Samowi przydałaby się odrobina współczucia i pociechy, bach! Pomimo swoich wielkich niebieskich oczu został zamknięty w lodówce.

Przez całe życie polegał na tych swoich wielkich niebieskich oczach. Okrągłych, szczerych oczach oszusta. „Wyglądasz jak lalka” – stwierdziła pewna kobieta na widok jego oczu. „I równie łatwo mnie rozbić” – odparł Sam z rozbijającym uśmiechem. Patrząc w te oczy, jaka kobieta mogłaby wątpić w wymówki, które serwował jak uliczny sprzedawca rozkładający markową jedwabną chustkę?

Sam jest jednak pewien, że jego wielkie niebieskie oczy się kurczą; a może twarz rośnie? Tak czy inaczej proporcje między oczami a twarzą ulegają zmianie, podobnie jak proporcje ramion do brzucha. Nadal prawie zawsze potrafi wykręcić numer z oczami, choć oczywiście nie w przypadku mężczyzn. Mężczyźni lepiej rozpoznają, kiedy inny facet wciska kit. Sztuczka z kobietami polega na tym, żeby patrzeć im na usta. Jedna ze sztuczek.

Sam i Gwyneth nie mają dzieci, więc oczekiwanie na rozwód nie powinno trwać zbyt długo. Po formalnościach Sam znowu będzie zdany na siebie. Niczym ślimak zacznie przemierzać świat z domem na grzbiecie, zresztą to mu chyba najbardziej odpowiada. Zagwizdże wesołą melodię. Będzie się włóczył. Znowu będzie pachniał jak on.

Gwyneth zapala samochód bez problemu. Gasi silnik i krowim wzrokiem patrzy przez szybę, jak Sam palcami skostniałymi z zimna zмага się z kablami; może ma nadzieję, że porazi go prąd. Nie tym razem. Sam daje jej znak, żeby włączyła silnik, i prąd płynie z jej wozu do samochodu Sama, który zapala. Wymiana napiętych uśmiechów. Sam wyjeżdża na oblodzoną ulicę, macha do Gwyneth, ale zdążyła już odejść.



Jego miejsce parkingowe za budynkiem jest o dziwo wolne. Sklep Sama mieści się po zachodniej stronie, przy Queen, dokładnie tam, gdzie napierająca fala modnego życia rozbija się o brzeg biedoty. Po jednej stronie stylowe kafejki i butiki, po przeciwnej lombardy i sklepy z tanimi sukienkami, w których towary żółkną na popękanych manekinach. Na szyldzie sklepu Sama widnieje napis „Metrazzle”. W witrynie króluje tekowy stół z krzesłami z lat pięćdziesiątych wraz z gramofonem stereo z obudową z jasnego drewna. Winyle wracają: dzieciak z bogatego domu nie zdoła się oprzeć tym meblom.

Metrazzle jest jeszcze zamknięty. Podzwaniając kluczami, Sam otwiera liczne zamki. Wspólnik jest już na tyłach pochłonięty typową dla siebie czynnością: fałszowaniem mebli – nie mylić z renowacją. Ma na imię Ned, w każdym razie tak się przedstawia. Jego branża, jedna z wielu, jest ryzykowna. Ned to prawdziwy mistrz botoksu, jeśli chodzi o drewno, tyle że nie odmładza go, lecz postarza. W powietrzu unoszą się trociny i woń smaru.

Sam kładzie worek marynarski na oryginalnym stalowym krześle Eamesa.

– Kurewski ziąb – mówi.

Ned podnosi wzrok znad młotka i dłuta, właśnie dodaje kilka fałszywych pęknięć.

– Będzie jeszcze gorzej – stwierdza. – W Chicago pada śnieg. Zamknęli lotnisko.

– Kiedy do nas dotrze? – pyta Sam.

– Później – odpowiada Ned. Puk, puk, stuka dłuto.

– To pewnie ta zmiana klimatu – stwierdza Sam.

Tak mówią ludzie, tak mówili. „Rozgniewaliśmy Boga”. Skoro tak, to ni cholery nic na to nie poradzisz, po co więc o tym gadać? Baw się, póki możesz. Imprezuj, jeśli potrafisz. Nie, żeby dzisiaj Sam był w nastroju do zabawy. To, co zrobiła Gwyneth, przenika go, zapada głębiej. Gdzieś w Samie jest zimne miejsce.

– Pierdolony śnieg. Mam go dość – mówi Ned.

Puk, puk, puk. Przerwa.

– Żona dała ci kopa?

– Sam odszedłem – odpowiada Sam, siląc się na obojętność. – Na to się zanosilo.

– To była tylko kwestia czasu – stwierdza Ned. – Tak musiało się skończyć.

Sam docenia fakt, że Ned bez zmrużenia oka przyjmuje wiadomość, która, jak pewnie podejrzewa, stanowi znaczne wypaczenie prawdy.

– No tak – mówi Sam. – Smutna sprawa. Ona mocno to przeżywa. Ale da sobie radę. Przecież nie wylądowała na ulicy, raczej nie głoduje.

– Jasne, jasne – zgadza się Ned.

Na przedramionach ma tyle tatuaży, że wyglądają jak obite tapicerką. Ned jest małomówny, odsiadka w więzieniu nauczyła go, że człowiekowi, który nabiera wody w usta, nie grozi kosa. Lubi swoją pracę i jest za nią wdzięczny, co cieszy Sama, bo nie będzie zadawał niewygodnych pytań. Jednocześnie Ned niczym analityk chłonie napływające informacje i w razie potrzeby je przedstawia.

Sam dowiaduje się od niego, że poprzedniego popołudnia pojawił się klient, którego Ned nie znał, facet w drogiej skórzanej kurtce. Obejrzał wszystkie biurka. Dziwne, że wyszedł podczas burzy śnieżnej, ale niektórzy traktują to jako wyzwanie. Poza nim w sklepie nie było nikogo, czemu nie należy się dziwić. Klient zainteresował się ładną reprodukcją biurka w stylu dyrektoriatu, spytał o cenę, powiedział, że się zastanowi. Poprosił o zarezerwowanie mebla na dwa dni, zostawił sto dolarów kaucji. W gotówce, nie kartą. Obok kasy leży zaklejona koperta. Nazwisko w środku.

Ned wraca do dłutowania. Sam podchodzi do lady, nonszalancko otwiera kopertę. Obok forsy w dwudziestkach znajduje świstek papieru, który wyjmuje. Widnieją na nim jedynie adres i numer. Sam nie ukrywa przed Nedem, że działają tak, by w razie potrzeby móc wszystkiemu zaprzeczyć. Motto Sama brzmi: załóżmy, że wszędzie są podsłuchy. Wpatruje się w napisany ołówkiem numer

pięćdziesiąt sześć, zapamiętuje, zgniata papier i chowa do kieszeni. Wyląduje w pierwszym napotkanym kiblu.

– Chyba pójdę na licytację – mówi Sam. – Zobaczą, co da się upolować.

– Powodzenia – odpowiada Ned.

Dwa lub trzy razy w tygodniu Sam, podobnie jak wielu ludzi z branży antyków, chodzi na aukcje magazynowe – robi obchód magazynów wokół miasta i okolicznych miejscowości, znajdujących się na tym czy innym ugorze galerii handlowych. Sam figuruje w systemie mailingowym, który automatycznie informuje go o zbliżających się licytacjach w prowincji, oznakowanych kodem pocztowym. Uczęszcza tylko na te, które odbywają się w pobliżu, nigdy dalej niż dwie godziny jazdy. Dłuższe eskapady nie dają wystarczających zwrotów, w każdym razie są przeciętne. Chociaż szczęśliwi licytujący zbijali fortuny, kto mógł wiedzieć, kiedy spod warstwy kurzu i werniksu wyłoni się dzieło starego mistrza albo na pozór tania biżuteria okaże się autentyczna? Ostatnio modne stały się reality show, w których ludzie ponoć dokonują odmieniających życie znalezisk. Hokus-pokus, jest! Wokół słychać ochy i achy.

Coś podobnego nigdy nie przydarzyło się Samowi. Mimo to wygranie licytacji niesie ze sobą dreszczyk emocji: człowiek dostaje klucz do skrytki, otwiera drzwi. Oczekuje skarbów, ponieważ znajdujące się w środku graty musiały być kiedyś skarbami, w przeciwnym razie ludzie nie zawracaliby sobie głowy zamykaniem ich w skrytce.

– Powinienem wrócić do szesnastej – mówi Sam.

Zawsze informuje Neda o przewidywanym czasie powrotu: to część narracji, którą mimowolnie rozwija. *Mówił, że wróci do szesnastej. Nie, nie wyglądał na zmartwionego. Choć może był trochę niespokojny. Wypytywał mnie o obcego faceta, który zajrzał do sklepu. Skórzana kurtka. Interesował się biurkami.*

– Napisz esemesa, gdzie mam wysłać furgonetkę – prosi Ned.

– Miejmy nadzieję, że będzie po co go wysłać – odpowiada Sam.

Schowki należy opróżnić w ciągu dwudziestu czterech godzin. Nie można zostawiać tam swoich gratów, jeśli się ich nie chce: wygrałeś licytację, są twoje. Właściciele schowków nie mają ochoty ponosić kosztów wywożenia twoich świeżo nabytych skarbów na wysypisko.

Zgodnie z wersją, na którą Sam i Ned zgadzają się bez słów, Sam poluje na przyzwoite meble, które Ned będzie mógł wyczytelować. To zresztą prawda, bo czemu nie? Sam ma nadzieję, że trafi mu się coś lepszego niż graty, które przywiózł ostatnim razem: rozwalona gitara, składany stolik brydżowy bez jednej nogi, wielki pluszowy miś ze strzelnicy, drewniana gra crokinole. Jedynie ta ostatnia przedstawiała jakąkolwiek wartość, bo są ludzie, którzy kolekcjonują stare gry.

– Jedź ostrożnie – mówi Ned.

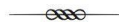
*Napisał mi esemesa, żebyś przysłał furgonetkę. To było o czternastej trzydzieści sześć, pamiętam, bo spojrzałem na zegar, tamten w stylu art déco, widzisz? Chodzi bez zarzutu. Potem, sam nie wiem, po prostu zniknął.*

*Miał wrogów?*

*Ja tu tylko pracuję.*

*Chociaż zaraz, wspominał, że pokłócił się z żoną. Czyli z Gwyneth. Nie znam jej zbyt dobrze. Przy śniadaniu, potem ją porzucił. Ograniczała go, nie dawała mu dosyć przestrzeni. Tak, zazdrosna, zaborcza, mówił mi o tym. Uważała, że jest bogiem, nie miała go dość. Czy ona, czy kiedykolwiek... Przemoc? Nie, nigdy nie wspominał. Tylko raz cisnęła w niego butelką po winie. Ale czasem takie kobiety po prostu pękają. Dostają świra.*

Sam zabawia się fantazją, w której odkrywają jego ciało. Nagie czy ubrane? Na dworze czy w domu? Nóż czy splota? Samotny?



Tym razem samochód zapala, co Sam uznaje za dobry omen. Kluczy w stronę Gardiner, może jeszcze nie spadł tam śnieg – nie spadł, może jest Bóg w niebie – potem rusza na zachód. W kopercie był adres sklepu w Mississauga, niezbyt daleko. Straszne korki. Dlaczego w zimie ludzie jeżdżą tak, jakby zamiast dłoni mieli stopy?

Na miejsce dociera wcześniej, parkuje, idzie do biura, rejestruje się. Wszystko przebiega rutynowo. Teraz pozostaje czekać na rozpoczęcie licytacji. Sam nie cierpi tych okresów przestoju. Sprawdza wiadomości w telefonie. To i tamto. Esemes od Gwyneth: „Spotkamy się jutro? Zakończmy to”. Nie odpowiada, ale i nie kasuje. Niech sobie poczeka. Chciałby wymknąć się na dwór na fajkę, ale opiera się pokusie, bo pięć miesięcy wcześniej oficjalnie rzucił po raz czwarty.



Do środka wchodzi jeszcze kilka osób, trudno to nazwać tłumem. Niska frekwencja jest korzystna, licytacja jest wtedy na przyzwoitym poziomie. Za zimno na turystów, nie ma atmosfery letniego oczekiwania, żadnego szumu jak w telewizyjnych reality show. Tylko grupka zniecierpliwionych, okutanych gości z rękami w kieszeniach albo zerkających na zegarki czy telefony.

Pojawia się paru znanych Samowi handlarzy, pozdrawia ich skinieniem głowy, odpowiadają tak samo. Robił interesy z oboma: nabył rzeczy, które nie pasowały do jego niszy, pasowały za to do nisz tamtych. Sam nie zajmuje się zbyt często meblami wiktoriańskimi, są za duże do mieszkań. Nie sięga też chętnie po rzeczy z okresu wojny: zbyt pękate, kasztanowe. Lubi meble o czystych liniach. Lżejsze. Nie tak zwaliste.

Prowadzący licytację przychodzi z pięciominutowym opóźnieniem, niesie kubek kawy i torbę pączków, z irytacją spogląda na nieliczną grupkę, włącza mikrofon, którego w zasadzie nie potrzebuje, bo to nie mecz, ale przypuszczalnie dzięki niemu czuje się ważny. Dzisiaj wystawiono zawartość siedmiu schowków. Sam licytuje piąty, wygrywa czwarty, piąty odpuszcza, bo takie podejście ma większy sens. Tak naprawdę zależy mu na drugim schowku, numer pięćdziesiąt sześć, bo taką informację znalazł w kopercie. To tam powinien się znajdować towar, ale Sam zawsze obstawia kilka schowków.

Po licytacji podchodzi do prowadzącego, który wręcza mu klucze do czterech pomieszczeń.

– Rzeczy trzeba usunąć w ciągu dwudziestu czterech godzin – mówi. – Wymieść wszystko do czysta, takie są zasady.

Sam potakuje, zna zasady, ale nie zamierza o tym wspominać. Prowadzący licytację to dupek, szkoli się na strażnika więziennego, polityka czy inną dyktatorską posadę. Gdyby nie był dupkiem, poczęstowałby Sama pączkiem – przecież nie zeżre całej torby, mógłby schudnąć – ale do tego aktu filantropii nie dochodzi.

Stawiając kołnierz, żeby ochronić się przed coraz silniejszym wiatrem, Sam idzie do najbliższej galerii handlowej, kupuje kawę z podwójnym cukrem i śmietanką, torbę pączków w czekoladzie, potem wraca, żeby spokojnie przejrzeć zawartość schowków. Lubi odczekać, aż inni licytujący sobie pójdą, nie chce, żeby zaglądali mu przez ramię. Numer pięćdziesiąt sześć zostawi na koniec, do tego czasu wszyscy zdążą się rozejść.

Pierwszy schowek jest wyładowany kartonowymi pudłami. Sam zagląda do kilku: szlag by to, głównie książki. Nie ma pojęcia, jak wyceniać książki, będzie więc musiał wejść w spółkę ze znajomym, który się na tym zna, specem od książek: jeśli w pudłach znajdzie się coś cennego, Sam dostanie działkę. Autografy są czasem wartościowe, ale jeśli o autorze nikt nie słyszał, nie mają znaczenia. Zmarli pisarze są czasem rentowni, ale prócz tego, że nie żyją, muszą być też sławni. Książki z dziedziny sztuki są zazwyczaj cennym łupem – w zależności od stanu. Bardzo często to białe kruki.

W kolejnym schowku znajduje się jedynie stary skuter, lekka włoska trzykołowka. Samowi na nic się nie przyda, ale komuś pewnie tak. Ostatecznie pójdzie na części. Sam nie zabawia tam dłużej. Nie ma sensu odmrażać sobie jaj: schowki nie są ogrzewane, a temperatura spada.

Odnajduje trzeci schowek, wsuwa klucz w zamek. Do trzech razy sztuka: a jeśli znajdzie ukryty skarb? Nadal odczuwa dreszcz emocji w związku z taką ewentualnością, chociaż wie, że to jak wierzyć we wróżkę zębuszkę. Podciąga drzwi, zapala światło.

Tuż przed sobą widzi białą suknię ślubną ze spódnicą niczym olbrzymi dzwon i bufiastymi rękawami. Suknia znajduje się w przezroczystym pokrowcu z suwakiem, jakby dopiero przyszła ze sklepu. Wygląda na nieużywaną. Na dole pokrowca wepchnięto parę nowiutkich pantofli z białego atlasu. Do rękawów przypięto białe rękawiczki do łokcia. Widok rękawów przyprawia o dreszcz, ponieważ podkreślają brak głowy. Sam dostrzega biały welon owinięty wokół ramion jak etola, z wianuszkiem białych sztucznych kwiatów i pereł.

Kto umieszczałby suknię ślubną w schowku, zastanawia się Sam. Kobiety tak nie postępują. Schowałyby suknię do szafy, kufra, ale nie do schowka. Tak na marginesie, gdzie Gwyneth trzyma swoją? Sam nie wie. Co prawda nie była tak wyszukana jak ta. Nie poszli na całość, nie mieli wielkiego ślubu kościelnego. Gwyneth orzekła, że takie uroczystości są dla rodziców, a jej już nie żyli, podobnie jak rodzice Sama, przynajmniej tak jej powiedział. Nie było sensu, żeby jego matka nadawała Gwyneth o zabawnych wzlotach i upadkach oraz mniej zabawnych perypetiach z jego dawnego życia, to by ją tylko zdezorientowało. Musiałaby wybierać między dwiema rzeczywistościami – Sama i teściowej – a podobna sytuacja toksycznie wpływa na romantyczną atmosferę.

Tak więc poprzestali na ślubie cywilnym, po czym Sam zabrał Gwyneth na wymarzony miesiąc miodowy na Kajmany. Do morza, z morza, tarzanie się w piasku, patrzenie na księżyc. Kwiaty na stole przy śniadaniu. Znowu zachód słońca, trzymanie się za ręce przy barze, pojenie Gwyneth mrożonym daiquiri, bo właśnie to lubiła pić. Rano seks, Sam przesuwiał się z pocałunkami w górę jej ciała, poczynając od palców stóp, jak ślimak na liściu sałaty.

– Och, Sam! To jest takie... Nigdy nie sądziłam...

– Rozluźnij się. Właśnie tak. Połóż tu rękę.

Nie było źle. Sam mógł sobie wtedy na to wszystko pozwolić, plaże, daiquiri, był nadziany. Gotówka przy pływa i odpływa, taka już jej natura, on jednak wierzy, że kiedy człowiek jest przy forsie, powinien hulać. Czy właśnie wtedy, podczas podróży poślubnej, pokrył Gwyneth studolarówkami? Nie, ten numer wykręcił później.

Odsuwa na bok suknię ślubną. Jest sztywna, szeleści i trzeszczy. Więcej tu akcesoriów ślubnych: mały stolik nocny, a na nim wielki bukiet związany różową atlasową wstążką. Głównie róże, suche jak pieprz. Po drugiej stronie, za białą spódnicą, identyczny stolik, na którym stoi ogromny tort weselny w kloszu, jakich używają w cukierniach. Biały lukier, białe i różowe cukrowe różyczki, a na szczycie mała młoda para. Tort jest nietknięty.

Sama ogarnia bardzo dziwne przeczucie. Odgarnia suknię. Jeśli się nie myli, gdzieś tu powinien być szampan, na weselach zawsze podają szampana. Zgadza się, trzy skrzynki nieotwartych butelek. Cud, że nie zamarzył i nie strzelił. Obok stoją pudła z wąskimi kieliszkami, nie plastikowymi, ale szklanymi, dobrej jakości. Do tego pudła z białymi porcelanowymi talerzami, również zamknięte, spore pudło białych serwetek, z materiału, nie z bibułki. Ktoś schował tu całe wesele. Wesele z górnej półki.

Obok tekturowych pudeł stoją bagaże – nowy komplet podróżny koloru wiśniowego.

W głębi schowka, w najciemniejszym kącie, stoi pan młody.

– Cholera – wyrywa się Samowi.

Jego oddech skrapla się w zimnym schowku; może z powodu zimna nie czuć zapachu. Dopiero teraz dociera do niego ledwie wyczuwalny słodkawy odór –

choć może to tort – nieco przypominający brudne skarpetki, z nutą psiej karmy, która za długo leżała.

Owija nos szalikiem. Zbiera mu się na mdłości. To czyste szaleństwo. Ktokolwiek zostawił tu pana młodego, musi być niebezpiecznym świrem, fetyszystą. Sam powinien powiadomić policję. Nie. Nie chciałby, żeby zajrzeli do ostatniego schowka, numer pięćdziesiąt sześć, tego, którego jeszcze nie otworzył.

Pan młody ma nas obie kompletny strój: czarny garnitur, białą koszulę, krawat, zwiędły goździk w butonierce. Czy jest gdzieś cylinder? Sam nie widzi, ale domyśla się, że gdzieś musi leżeć – gotów jest się założyć, że w bagażach – ponieważ ktokolwiek to zrobił, zatroszczył się o wszystko.

Z wyjątkiem panny młodej: tej brakuje.

Twarz pana młodego jest zaszuszone jak mumia. Owinięto go w kilka warstw przezroczystego plastiku, może w pokrowce podobne do tego, w którym jest suknia. Tak, są suwaki zalepione starannie taśmą. Pod całym tym plastikiem pan młody wydaje się migotać, jakby znajdował się pod wodą. Na szczęście ma zamknięte oczy. Jak tego dokonano? Czy trupy nie mają zawsze otwartych oczu? Klej? Taśma? Sam ma osobliwe poczucie, że człowiek wydaje się znajomy, ale to wykluczone.

Ostrożnie wychodzi ze schowka, zasuwa drzwi, zamyka na klucz. Stoi tak z kluczem w dłoni. Co, do cholery, ma teraz począć? Z zaszuszonym panem młodym. Przecież nie może go tam zostawić zamkniętego. Kupił ten ślub, należy do niego, musi go uprzątnąć. Nie może kazać Nedowi przysłać furgonetki, chyba że Ned sam by prowadził; Sam ufa, że współnik nie pisnąłby ani słowa. Ale Ned nigdy sam nie prowadzi, korzystają z firmy przewozowej.

Powiedzmy, że poprosi Neda, żeby wynajął furgonetkę w innej firmie, powiedzmy, że poczeka na jego przyjazd, będzie stał tuż przy schowku, żeby nikt w nim nie grzebał, powiedzmy, że zostanie tu do zmroku skostniały z zimna, załadują całe wesele do samochodu i zawiozą do sklepu – co wtedy? Zabiorą biednego zaszuszonego frajera na pole i go pochowają? Wrzucą do jeziora Ontario, stąpając po przybrzeżnym lodzie, który nie popęka i nie utoną? Akurat. Nawet gdyby im się udało, umarłak wypłynie. *Zmumifikowany pan młody zdumiewa wydział kryminalny. Podejrzane okoliczności zaginięcia pana młodego. Szok przed ołtarzem: poślubiła zombie.*

Niezgłoszenie zmarłego: czy to nie przestępstwo? Co gorsza, facet musiał zostać zamordowany. Nie łądujesz w kilku warstwach plastiku, z taśmą na suwakach, wystrojony do ślubu, jeśli wcześniej nie zostałeś zamordowany.

Kiedy Sam rozważa możliwości, zza załomu wylania się wysoka kobieta. Ma na sobie kożuch z kapturem na jasnych włosach. Prawie biegnie. Jest tuż przy nim. Sprawia wrażenie zaniepokojonej, choć stara się to ukryć.

Ach tak, myśli Sam. Brakująca panna młoda.



Kobieta dotyka jego ręki.

– Przepraszam – mówi. – Czy to pan właśnie nabył zawartość tego schowka? Na aukcji.

Sam uśmiecha się do niej, szeroko otwiera wielkie niebieskie oczy. Opuszcza wzrok na usta kobiety, znów go podnosi. Kobieta jest mniej więcej jego wzrostu. Dość silna, by własnoręcznie zawlec pana młodego do schowka, nawet kiedy jeszcze nie wysechł.

– To ja – mówi Sam. – Przyznaję się do winy.

– Ale jeszcze go pan nie stworzył?

Czas na decyzję. Sam mógłby wręczyć jej klucz ze słowami: „Widziałem bałagan, jakiego narobiłaś, posprzątaj sama”. Mógłby powiedzieć: „Owszem, stworzyłem i dzwonię po gliny”. Albo: „Zerknąłem pobieżnie, to wygląda na ślub. Twój?”.

– Nie – mówi Sam. – Jeszcze nie. Kupiłem też kilka innych schowków. Właśnie miałem zamiar stworzyć.

– Zapłacę panu podwójnie – mówi kobieta. – Nie chciałam, żeby sprzedawano ten schowek, ale zaszło nieporozumienie, czek zaginął na poczcie, wyjechałam w interesach, nie dowiedziałam się w porę o aukcji, złapałam pierwszy samolot, ale utknęłam w Chicago na sześć godzin z powodu burzy śnieżnej. Ale zaspły! Z lotniska jechało się okropnie. – Kończy nerwowym chichotem. Musiała to ćwiczyć: słowa wysuwają się z niej jak taśma.

– Słyszałem o tej burzy – mówi Sam. – W Chicago. Coś strasznego. Przykro mi z powodu opóźnienia. – Nie reaguje na jej ofertę finansową, która zawisa między nimi jak dwa oddechy.

– Burza zmierza tutaj – mówi kobieta. – To poważna śnieżycyca. One zawsze wędrują na wschód. Jeśli nie chce pan tu utknąć, powinien pan ruszać w drogę. Przyspieszę sprawy, zapłacę gotówką.

– Dzięki – mówi Sam. – Właśnie się zastanawiam. A właściwie co tam jest? Skoro to takie dla pani ważne, musi być sporo warte. – Jest ciekaw, co usłyszy.

– Zwykle pamiątki rodzinne – mówi kobieta. – Rzeczy, które odziedziczyłam. No wie pan, kryształ, porcelana po babci. Trochę biżuterii. Wartość sentymentalna, nie dostałby pan za to zbyt wiele.

– Pamiątki rodzinne – powtarza Sam. – Jakież meble?

– Bardzo niewiele – odpowiada kobieta. – Nic dużej wartości. Starocie. Nikt by ich nie chciał.

– Ale ja właśnie tym się zajmuję – mówi Sam. – Starymi meblami. Sprzedaję antyki. Ludzie często nie zdają sobie sprawy z wartości tego, co posiadają. Zanim przyjmę pani ofertę, chciałbym zajrzeć do schowka. – Ponownie zerka na jej usta.

– Potróję stawkę – proponuje kobieta, która teraz drży. – Jest za zimno, żeby przeglądać zawartość. Może ukryjemy się gdzieś, zanim przyjdzie burza? Moglibyśmy skoczyć na drinka i, czy ja wiem, na obiad czy coś w tym rodzaju? Omówilibyśmy sprawy. – Posyła mu znaczące spojrzenie. Kosmyk włosów furkocze na jej ustach, kobieta niespiesznie zakłada go za ucho, potem opuszcza wzrok na pasek Sama. Podbija stawkę.

– Zgoda – mówi Sam. – Pasuje. Może mi pani opowiedzieć więcej o tych meblach. Ale nawet jeśli przyjmę pani ofertę, schowek trzeba opróżnić w ciągu doby. W przeciwnym razie zrobią to sami i zatrzymają moją kaucję.

– Och, dopilnuję, żeby go uprzątnięto – zapewnia kobieta i ujmuje Sama pod ramię. – Ale potrzebny mi klucz.

– Nie ma pośpiechu – mówi Sam. – Jeszcze nie ustaliliśmy ceny.

Kobieta patrzy na niego, już się nie uśmiecha. Wie, że Sam wie.

Powinien przestać się wygłupiać. Powinien wziąć forszę i zwiać, ale zbyt dobrze się bawi. Podrywa go prawdziwa morderczyni! To ekscytujące, niecodzienne, erotyczne. Pierwszy raz od bardzo dawna Sam czuje, że żyje pełnią życia. Czy kobieta spróbuje dodać mu trucizny do drinka? Wejdzie z nim w ciemny zaułek, wyciągnie scyzoryk i przetnie tętnicę szyjną? Czy Sam zdąży powstrzymać jej rękę? Chce wyjawic jej prawdę w miejscu pełnym ludzi. Chce obserwować twarz

kobiety, kiedy dotrze do niej, że ma ją w garści. Pragnie usłyszeć jej historię. Lub historie, bo z pewnością ma ich wiele. On by miał.

– Po wyjeździe stąd proszę skręcić w prawo – mówi Sam. – Trzeba minąć następne światła. Będzie tam motel Srebrny Rycerz. – Sam zna motele wokół wszystkich magazynów, do których jeździ na licytacje. – Spotkamy się w barze. Proszę zająć boks. Muszę tylko sprawdzić kolejny schowek. – O mały włos nie dodaje: „I niech pani wynajmie pokój, bo oboje wiemy, co się święci”, ale to byłoby zbyt pochopne.

– Srebrny Rycerz – powtarza kobieta. – Czy przed motelem jest srebrny rycerz, który przybywa na ratunek?

Próbuje lekkiego tonu. Znowu ten śmiech, jakby trochę brakowało jej tchu. Sam nie podejmuje gry. Postanawia zmarszczyć brwi z przyganą. „Nie myśl, że wykpisz się samym wdziękiem, paniusiu. Jestem tu, żeby zainkasować swoje”.

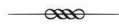
– Nie sposób go przeoczyć – zapewnia Sam.

Czy kobieta da dyla? Zostawi go na lodzie? Nikt nie zdołałby jej namierzyć, chyba że popełniła błąd, wynajmując schowek pod prawdziwym nazwiskiem. Spuszczenie jej z oczu wiąże się z ryzykiem, ale Sam musi je podjąć. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent jest pewien, że kiedy dotrze do motelu Srebrny Rycerz, zastanie ją w barze.

Pisze do Neda: „Kurewskie korki. Koszmarna śnieżycą. Przełożmy na jutro rano. Dobrej nocy”. Kusi go, by wyjąć z telefonu kartę SIM i wsunąć do kieszeni pana młodego, ale się powstrzymuje. Za to przechodzi w tryb offline.

*Sam nie wiem, panie władzo – powie Ned. – Wysłał mi esemes z magazynu. Chyba około szesnastej. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Rano zamierzał przyjechać do biura, mieliśmy pojechać furgonetką i opróżnić schowki. Potem już się nie odezwał.*

*Jaki znowu zasuszony facet w garniturze? Serio? Ale numer! O niczym nie mam pojęcia.*



Po kolei. Najpierw otwiera schowek pięćdziesiąt sześć. Wszystko jest w należyтым porządku: przyzwoite meble, które potem mogą sprzedać w Metrazzle. Fotel, sosna, Quebec. Dwa stoły z lat pięćdziesiątych, na cienkich nóżkach z imitacji mahoni. W schowku znajduje się też biurko Arts & Crafts. Zapieczętowane białe woreczki leżą w trzech szufladach po prawej.

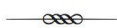
System jest bez zarzutu. Bez trudu można się wyprzeć. Nie sposób połączyć ich z Samem. „Nie mam pojęcia, jak to się tam znalazło! Kupiłem zawartość schowka na licytacji, ale mógł to zrobić każdy. Jestem równie zaskoczony jak wy. Nie, nie otwierałem szuflad przed przywiezieniem do sklepu, czemu miałbym to robić? Sprzedaję antyki, nie to, co w szufladach”.

Potem odbiorca kupuje biurko, zazwyczaj w poniedziałek, i po sprawie. Sam jest tylko skrzynką kontaktową, kurierem.

Ned również nie otworzy szuflad. Ma dalece rozwinięty zmysł mówiący, których szuflad nie tykać.

Sam może spokojnie zostawić towar tam, gdzie leży: nikt nie zajrzy do schowka przed południem. Wtedy on i jego furgonetka będą już daleko.

Sprawdza telefon: jedna nowa wiadomość, od Gwyneth. „Myliliam się, proszę, wróc, możemy się dogadać”. Sam czuje ukłucie nostalgii: znajome, przytulne, bezpieczne życie. Miło wiedzieć, że na niego czeka. Mimo to nie odpisuje. Potrzebuje tej kieszeni wolnego czasu, w którą zamierza się zagłębić. Tam, wewnątrz, wszystko może się zdarzyć.



Kiedy wchodzi do baru motelu Srebrny Rycerz, ona na niego czeka. Zajęła nawet boks. Bezdyskusyjna uległość podnosi Sama na duchu. Zdjęła płaszcz, ma na sobie strój, jakiego można się spodziewać po takiej kobiecie: czarny – jak u wdowy, jak u pająka. Pasuje do jej jasnych włosów. Oczy ma piwne, rzęsy długie.

Sam siada naprzeciwko, kobieta uśmiecha się, choć nie przesadnie: ot, przelotny, melancholijny uśmiech. Przed nią stoi ledwo tknięty kieliszek białego wina. Sam zamawia to samo. Chwila przerwy. Kto robi pierwszy ruch? Włosy na karku Sama stoją na baczność. Na płaskim ekranie za jej plecami śnieżycy sunie ku nim bezgłośnie niczym potężna fala konfetti.

– Możemy tu utknąć – mówi kobieta.

– Wypijmy za to – proponuje Sam, otwierając wielkie niebieskie oczy.

Patrzy prosto na nią, unosi kieliszek. Czy pozostaje jej coś innego niż unieść swój?

*Tak, to on, bez dwóch zdań. Tamtej nocy, kiedy była śnieżycy, pracowałam w barze. Siedział z ostrą blondynką w czarnej sukience, wydawało się, że są blisko zaprzyjaźnieni,*



*jeśli wiecie, co mam na myśli. Nie widziałam, jak wychodzą. Chcecie się założyć, że znajdziecie ją w zaspie, kiedy to wszystko zacznie się topić?*

– Czyli zajrzałeś do środka – stwierdza kobieta.

– Owszem – przyznaje Sam. – Kto to? Co się stało?

Ma nadzieję, że kobieta się nie rozplacze, to by go rozczarowało. Ale nie, zadowala się drżącym podbródkiem, przygryza wargę.

– To było straszne – mówi. – To była pomyłka. Nie powinien był umrzeć.

– Ale umarł – stwierdza Sam łagodnie. – Takie rzeczy się zdarzają.

– O, tak. Nie wiem, jak to powiedzieć, to wydaje się takie...

– Zaufaj mi – proponuje Sam.

Ona mu nie ufa, ale udaje, że jest inaczej.

– Lubił... Clyde lubił, kiedy go podduszałam. Ja tego nie lubiłam, ale go kochałam. Byłam w nim zakochana, więc chciałam robić to, czego pragnął.

– Oczywiście – mówi Sam.

Żałuje, że nazwała mumię pana młodego po imieniu: Clyde brzmi głupkowato. Wolałby, żeby tamten pozostał anonimowy. Nie ulega wątpliwości, że kobieta kłamie, ale Sam zastanawia się, w jakim stopniu. Kiedy on kłamie, lubi w miarę możliwości trzymać się dość blisko prawdy; dzięki temu mniej trzeba zmyślać, mniej pamiętać, może więc część tego, co słyszy, jest prawdą.

– A potem to się stało – mówi kobieta.

– Co takiego? – pyta Sam.

– Umarł. W spazmach. Sądziłam, że ma po prostu, no wiesz, to co zwykle. Ale to zaszło za daleko. Nie miałam pojęcia, co robić. Nazajutrz miał się odbyć nasz ślub, planowałam go od miesięcy! Powiedziałam wszystkim, że zostawił mi liścik, zniknął, dał mi kosza. Nie mogłam dojść do siebie! Wszystko dostarczyli: suknię, tort, całą resztę, a ja, wiem, że to brzmi dziwacznie, ale ubrałam go, łącznie z goździkiem w butonierce. Był taki przystojny. Potem umieściłam w schowku. Nie myślałam jasno. Tak się cieszyłam na ten ślub, że gromadząc wszystko razem, poczułam, jakby się odbył.

– Umieściłaś go tam sama? Z tortem i całą resztą?

– Tak. To nie było takie trudne. Użyłam wózka, wiesz, do przewozu skrzyń, mebli i takich tam.

– Dobra robota – pochwalił Sam. – Jesteś bardzo przedsiębiorcza.

– Dziękuję – odparła.

– Niezła historia – stwierdził. – Mało kto by uwierzył.

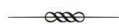
– Wiem – mówi cicho kobieta, spuszcza wzrok na stół, potem patrzy na Sama. – Ale ty mi wierzysz, prawda?

– Wierzenie w historie słabo mi wychodzi – mówi Sam. – Ale powiedzmy, że w tę póki co wierzę. – Może później wyciągnie z niej prawdę. Może nie.

– Dziękuję – powtarza kobieta. – Nie powiesz?

Drżący uśmiech, przygryziona warga. Nie przebiera w środkach. Co tak naprawdę zrobiła? Walnęła go w głowę butelką szampana? Zrobiła mu zastrzyk z narkotyków i przedawkowała? Ile pieniędzy wchodziło w grę, w jakiej postaci? Musiało chodzić o forszę. Czyściła konto biednego frajera, a on ją przyłapał?

– Chodźmy – mówi Sam. – Winda jest po lewej.



Pokój jest pogrążony w ciemności, tylko z ulicy sączy się słabe światło. Odgłosy mizernego ruchu są przytłumione. Śnieg rozpadał się na dobre, cicho puka o szyby niczym armia myszy kamikaze, napierających na szkło i próbujących się wedrzeć do środka.

Trzymanie kobiety w ramionach – a raczej uwięzienie jej w objęciach – to najbardziej podniecająca rzecz, jaką przeżył. Ona wprost szumi, naładowana niebezpieczeństwem jak przewód wysokiego napięcia; jest nieizolowanym gniazdkiem, sumą całej ignorancji Sama, wszystkiego, czego nie pojmuje i nigdy nie pojmie. Gdy tylko puści jej dłoń, może stracić życie. Wystarczy, że odwróci się do niej plecami. Czy w tej chwili ucieka, ratując skórę? Czy ściga go jej chropawy oddech?

– Powinniśmy być razem – mówi kobieta. – Zawsze powinniśmy być razem.

Czy to samo mówiła tamtemu? Smutnemu, zmumifikowanemu sobowtórowi Sama? Chwyta ją za włosy, wgryza się w jej usta. Wciąż jest na przedzie, zwiększa dystans. Szybciej!

Nikt nie wie, gdzie jest.

Śni mi się Zenia  
o czerwonych zębach

---

**W**czoraj w nocy śniła mi się Zenia – mówi Charis.

– Kto? – pyta Tony.

– Cholera! – woła Roz.

Ouida, czarno-biała suka Charis, mieszanka tajemniczych ras, właśnie wytarła zabłocone łapy o nowy płaszcz Roz. Płaszcz jest pomarańczowy, może nie najlepszy wybór. Charis twierdzi, że Ouida posiada szczególne zdolności percepcyjne, a zostawiane przez nią ślady to wiadomości. Co takiego Ouida próbuje mi przekazać, myśli Roz. Wyglądasz jak dynia?

Jesień. Cała trójka brnie w suchych liściach w wąwozie, wybierając się na cotygodniowy spacer. Taką zawarły umowę: więcej się ruszać, poprawić tempo autofagii. Roz czytała o niej w czasopiśmie poświęconym zdrowiu w poczekalni u lekarza: fragmenty komórek zjadają inne fragmenty, chore lub umierające. Taki wewnątrzkomórkowy kanibalizm pozwala ponoć żyć dłużej.

– Co znaczy: cholera? – pyta Charis.

Z tą swoją pociągłą białą pomarszczoną twarzą i długimi pogniecionymi siwymi włosami bardziej niż kiedykolwiek przypomina owcę. Czy raczej kozę angorską, myśli Tony, która przedkłada konkrety nad ogólniki. Ten zamyślony, introspekcyjny wyraz.

– Nie miałam na myśli twojego snu – wyjaśnia Roz. – Mówiłam o Ouidzie. Ouida, siad!

– Ona cię lubi – stwierdza czule Charis.

– Ouida, siad! – powtarza Roz z rozdrażnieniem.

Suka ucieka.

– Wprost rozsadza ją energia! – oznajmia Charis.

Ma ją dopiero od trzech miesięcy, a już rozplywa się nad każdą wkurzającą rzeczą, jaką robi ten kundel. Ktoś mógłby pomyśleć, że Charis wydała ją na świat.

– Ale odjazd! – mówi Tony, która czasem naśladuje swoich studentów. Jest emerytowaną profesorką, ale wciąż ma jedno seminarium, wczesne techniki wojenne. Właśnie przerabiali bomby ze skorpionami, zawsze niezmiernie popularne. Teraz doszli do krótkich strzał Attyli z kościanymi usztywnieniami. – Zenia! Kurwa, nie do wiary! Wypląnęła z grobu?

Łypie na Charis zza okrągłych okularów. Kiedy Tony miała dwadzieścia lat, przypominała małego duszka. Nadal tak jest, tyle że z czasem nabrała cech zasuszonego kwiatka. Pod względem faktury zbliżyła się do papieru.

– Kiedy ona umarła? – pyta Roz. – Straciłam rachubę, czy to nie okropne?

– Wkrótce po tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym – odpowiada Tony. – Może w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym. Kiedy padał Mur Berliński. Mam w domu kawałek.

– Sądzisz, że jest autentyczny? – pyta Roz. – Wtedy ludzie odłupywali cement, z czego się dało. To tak jak z prawdziwym krzyżem, kośćmi palców świętych albo... podrabianymi roleksami.

– To jest pamiątka – wyjaśnia Tony. – Nie musi być autentyczna.

– W snach czas płynie inaczej – stwierdza Charis, która lubi czytać o tym, co się dzieje w jej głowie, kiedy śpi, chociaż czasem, myśli Roz, trudno stwierdzić, kiedy Charis śpi, a kiedy nie. – W snach tak naprawdę nikt nie umiera. Tak twierdzi ten człowiek, który... według niego w snach panuje wieczne teraz.

– Średnia pociecha – mówi Tony, która lubi szufladkować. Ołówki w tym słoju, długopisy w tamtym. Warzywa po prawej stronie talerza, mięso po lewej. Żywi tu, zmarli tam. Za dużo osmozy, zbyt wiele wahania może przyprawić o zawroty głowy.

– Co miała na sobie? – pyta Roz.

Za życia Zenia ubierała się oszałamiająco. Lubiała nasycone kolory, jak sepia czy śliwka. Była olśniewająca, podczas gdy Roz miała jedynie klasę.

– Skórę – podsuwa Tony. – Trzymała bicz ze srebrną rączką.

– Była owinięta w całun – prostuje Charis. – Biały.

– Nie wyobrażam jej sobie w bieli – mówi Roz.

– Podczas kremacji nie użyłyśmy całunu – zauważa Tony. – Ubrałyśmy ją w jedną z jej sukienek, pamiętacie? Ciemna suknia wieczorowa.

Zenia czytana wspaniale to Ainez, imię o hiszpańskim brzmieniu. Zenia niewątpliwie miała w sobie coś hiszpańskiego; jako śpiewaczka byłaby kontraltem.

– To była decyzja waszej dwójki – przypomina Roz. – Ja zapakowałabym ją do worka.

Istotnie, wysunęła pomysł z workiem, ale Charis głosowała za przyzwoitym ubiorem, w przeciwnym razie Zenia mogłaby mieć im za złe i nie chciałaby odejść.

– No, dobrze, może nie całun – przyznaje Charis. – To była raczej koszula nocna. Powłóczyła.

– Świeciła? – zainteresowała się Tony. – Jak ekto plazma?

– Co z butami? – pyta Roz. Swego czasu obuwie odgrywało w jej życiu ważną rolę, drogie buty na wysokich obcasach, ale powykręcane palce i nagniotki położyły im kres. Mimo to buty do wędrowek też bywają bardzo przyjemne. Mogłaby sobie sprawić takie, w których wszystkie palce są osobno. Człowiek wygląda jak żaba, ale są ponoć niezwykle wygodne.

– Tak naprawdę to była malowana gaza – wyjaśnia Tony. – Wpychali ją zmarłym do nosów.

– O czym ty, do diabła, pleciesz? – pyta Roz.

– Nie chodziło o jej stopy – mówi Charis. – Chodziło o...

– Przypuszczam, że miała kły ociekające krwią – przerywa jej Tony.

Taka przesada pasowałaby do Zenii. Czerwone soczewki kontaktowe, syki, szpony, cała reszta.

Charis powinna przestać oglądać w nocy filmy o wampirach. Nie są dla niej dobre, tak łatwo ulega wpływom. Tony i Roz są w tej kwestii zgodne, dlatego w wieczory, kiedy w telewizji są filmy o wampirach, odwiedzają ją, żeby przynajmniej nie oglądała ich samotnie. Charis zaparza herbatę miętową, robi prażoną kukurydzę, siadają na sofie jak nastolatki i opychają się, co pewien czas częstując Ouidę, z oczami przyklejonymi do ekranu; kiedy muzyka staje się niesamowita, oczy czerwienieją lub żółkną, zęby się wydłużają, krew bryzga na wszystko jak sos do pizzy. Ilekroć słyhać wilki, Ouida wyje.

Dlaczego ich trójka oddaje się tym rozrywkom nastolatek? Czy to upiorny ersatz słabnącego popędu seksualnego? Trzy przyjaciółki wyrzuciły całą dojrzałość, mądrość i doświadczenie zgromadzone w średnim wieku jak mile lotnicze, po prostu ciepnęły wszystko w ką i postanowiły marnować czas, rozkoszując się

masłem, solą i adrenaliną. Po tych osobliwych orgiach Tony całymi dniami wyjmuje ze swetrów białe włosy – Ouidy i Charis.

– Dobrze się bawiłaś? – pytał West, a Tony odpowiadała, że jak zwykle oddawały się nudnym dziewczynskim pogaduchom. Nie chce, żeby West czuł się wykluczony.

Sprawy wymykają się spod kontroli – Tony przyłapuje się na tym, że wyraża tę opinię przynajmniej raz dziennie. Zwariowana pogoda. Wredna, nienawistna polityka. Nieprzeliczone szklane wieżowce wyrastające jak trójwymiarowe lustra czy maszyny obłąknicze. Miejskie przepisy dotyczące segregowania odpadków: kto zapanuje nad tymi wszystkimi kolorowymi pojemnikami? Gdzie wrzucić pudełko z przezroczystego plastiku i dlaczego mały numer na spodzie nie jest wiarygodny?

Do tego wszystkiego wampiry. Dawniej człowiek wiedział, na czym stoi – cuchnące, złe, nieumarłe – teraz jednak są wampiry cnotliwe i wampiry nikczemne, wampiry seksowne i połyskliwe, a żadne dawne reguły już do nich nie pasują. Kiedyś można było liczyć na czosnek, wschodzące słońce i krucyfiksy. Można się ich było pozbyć raz na zawsze. To się skończyło.

– To nie były kły jako takie – mówi Charis. – Jednak Zenia miała spiczaste zęby. Tak jakby różowe. Ouida, przestań!

Ouida szczeka i hasa, spuszczone ze smyczy w wężu wpada w ogromne podniecenie. Lubi ryć nosem pod suchymi liśćmi, kryć się za krzakami, przedłuża chwilę, gdy zostanie schwytana, chowa swoje, jak je nazwać? Charis nie pochwała wulgarnych słów takich jak „gówno”. Roz proponowała „kupa”, ale Charis odrzuciła słowo jako zbyt dziecinne. „Ekskrementy”, podsuwa Tony. Nie, to zbyt naukowe, twierdzi Charis. Jej Dary dla Ziemi.

Tak więc Ouida ukrywa swoje Dary dla Ziemi, a Charis wlecze się za nią z plastikową torebką (Charis prawie nigdy ich nie używa, ponieważ często nie potrafi znaleźć Darów) i woła słabym głosem, jak teraz:

– Ouida! Ouida! Chodź tutaj! Grzeczna dziewczynka!

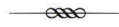
– Czyli przyśniła ci się Zenia – mówi Tony. – Co było dalej?

– Uważasz, że to głupoty – stwierdza Charis. – Tak czy inaczej nie była groźna ani nic takiego. Zachowywała się wręcz przyjaźnie. Miała dla mnie wiadomość. Oznajmiła, że Billy wraca.

– Na tamtym świecie nowiny rozchodzą się powoli – stwierdza Tony. – Przecież Billy już wrócił, prawda?

– Niezupełnie – odpowiada Charis pruderyjnie. – To znaczy my nie... On tylko mieszka obok.

– Czyli za blisko – stwierdza Roz. – Nigdy nie zrozumiem, dlaczego, do diabła, wynajęłaś mieszkanie temu śmieciowi.



Dawno temu, kiedy były znacznie młodsze, Zenia odbiła mężczyznę każdej z nich. Tony odbiła Westa, który jednak poszedł po rozum do głowy – tak przynajmniej tłumaczy to sobie Tony – i obecnie siedzi w domu, dłubie przy sprzęcie nagłaśniającym i z każdą minutą coraz bardziej głuchnie. Roz odbiła Mitcha, co trudno nazwać wielkim wyczynem, ponieważ nigdy nie umiał utrzymać zapiętego rozporka. Potem, po opróżnieniu kieszeni oraz zdewastowaniu psychiki, Zenia rzuciła Mitcha, który utopił się w jeziorze Ontario. Co prawda miał na sobie kamizelkę ratunkową i wszystko wyglądało jak wypadek żeglarski, ale Roz doskonale wiedziała.

Roz uporała się z tym, w każdym razie na tyle, na ile dziewczyna może się uporać, dziś ma znacznie sympatyczniejszego męża imieniem Sam, bankowca, który dużo bardziej do niej pasuje, ma też większe poczucie humoru. Mimo to blizna pozostała. Tamta sprawa boleśnie odbiła się na dzieciach, czego Roz nie potrafi Zenii wybaczyć mimo wizyt u psychoterapeuty. Choć z drugiej strony jaką ma się korzyść z tego, że nie wybacza się komuś, kto już nie żyje?

Charis Zenia odbiła Billy'ego. Według Tony i Roz to była chyba najbardziej okrutna kradzież, ponieważ Charis była taka ufna, taka bezbronna; wpuściła Zenię do swego życia, bo ta znalazła się w tarapatkach, miała raka, potrzebowała, by ktoś się nią zaopiekował, tak przynajmniej mówiła: bezwstydnym wymysłom od początku do końca. Charis i Billy mieszkali wtedy na wyspie w małym wiejskim domku. Hodowali kurczaki. Billy własnoręcznie zbudował kurnik – jako człowiek ukrywający się przed poborem nie miał stałej pracy.

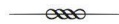
W domku nie było zbyt wiele miejsca dla Zenii, ale Charis, gościnnej i pragnącej się dzielić, udało się coś wygospodarować – tak postępowali wtedy ludzie z wyspy i ci, którzy uchylali się przed wojskiem. Obok domu rosła jabłonka; Charis piekła szarlotki i robiła inne rzeczy z jajek. Była bardzo szczęśliwa i do tego w ciąży. Ani



się obejrzała, a Billy i Zenia wyjechali razem, kurczakom zaś poderżnięto gardła nożem do chleba. Jakież to wredne.

Dlaczego Zenia robiła to wszystko? A dlaczego koty zjadają ptaki, odpowiadała Roz, ale to było mało pomocne. Według Tony Zenia chciała w ten sposób zademonstrować władzę. Charis miała pewność, że gdzieś głęboko w mechanizmie wszechświata istniał powód – ale jaki? Nie wiedziała.

Pomimo niszczących wysiłków Zenii zarówno Roz, jak i Tony miały swoim mężczyzn, a Charis nie. Roz uważała, że stało się tak, ponieważ nigdy nie zamknęła starej sprawy. Według Tony została sama, bo nie znalazła nikogo wystarczająco głupiego. Jednak niespełna miesiąc temu pojawił się nie kto inny jak dawno zaginiony dupek Billy. Charis wynajęła mu połowę swego bliźniaka. Coś takiego może sprawić, że człowiek ma ochotę rwać z głowy siwe włosy, myśli Roz, która wciąż farbuję własne raz na dwa tygodnie. Na ładny, nierzucający się w oczy kasztanowy kolor. Przy zbyt jasnym odcieniu cera wypada blado.



Bliźniak Charis to całkiem inna historia. Dalekie kuzynki nigdy nie powinny umierać, myśli Tony, a jeśli już, nie powinny zostawiać pieniędzy miłym głuptasom w rodzaju Charis.

Ponieważ teraz, gdy Charis nie jest już dawnym dzieckiem kwiatem, nie hoduje po amatorsku kurczaków, odżywia się czerstwym chlebem, kocią karmą i Bóg wie czym jeszcze w źle izolowanym letnim domku na wyspie, ma przed sobą starość bez pieniędzy z nieustanną groźbą wychłodzenia, walczy z córką, urzędniczką z Ottawy, która usiłuje umieścić ją w domu opieki. Otóż teraz nasza Charis nie szkoli się już do roli bezdomnej, ale dysponuje gotówką, bo Billy z powrotem teleportował się do jej życia.

Nie znaczy to, że daleka kuzynka zostawiła jej fortunę, ale Charis odziedziczyła dość, by wynieść się z wyspy. Jej zdaniem okolica stała się zbyt snobistyczna, budynki odnawiano, nigdy nie czuła się tam akceptowana. Odziedziczyła dość, aby odsunąć widmo przytułku i kociej karmy. Dość, by kupić dom.

Charis mogła wybrać dom wolno stojący, ale może czasem sprawy wymykały się jej spod kontroli – tak to określiła, skłaniając Tony do komentarza: „A to mi, kurwa, nowina” w rozmowie telefonicznej z Roz – wpadła więc na pomysł, że zamieszka w połówce bliźniaka, drugą zaś wynajmie komuś, kto lepiej radzi sobie

z narzędziami, i weźmie niższy czynsz w zamian za konserwację i naprawy. Czy Roz i Tony nie uważały, że płacenie ludziom za to, co umieją zrobić, jest mniejszym draństwem niż pobieranie od nich rynkowego czynszu? Nie uważały tak, lecz Charis zignorowała rady przyjaciółek, zamieściła ofertę na Craigslist, w serwisie drobnych ogłoszeń, dodając (zdaniem Tony) trochę za dużo szczegółów na swój temat, przez co oferta (według Roz) stała się de facto zaproszeniem skierowanym do pozbawionego skrupułów fiuta takiego jak Billy. Czary-mary, oto i on.



Ouida nie lubi Billy'ego. Warczy, kiedy go widzi. Jest w tym pewna pociecha, ponieważ Charis liczy się z jej opinią bardziej niż ze zdaniem innych, włączając w to dwie najstarsze przyjaciółki.

To właśnie Tony i Roz dały Charis Ouidę. Teraz, kiedy zamieszkała w Parkdale, okolicy ulegającej coraz większej gentryfikacji, mówi Roz śledząca ceny nieruchomości, na dłuższą metę sobie poradzi, choć do końca procesu jeszcze długa droga, a nigdy nie wiadomo, na kogo człowiek wpadnie na ulicy, nie mówiąc o handlarzach narkotyków. Poza tym, dodaje Tony, Charis jest tak łatwowierna, że nie wyczuwa zasadzek. Nie lubi też jeździć samochodem, woli pieszo przemierzać dzikie fragmenty miasta, wąwozy, High Park i tym podobne, gdzie może obcować z duchami roślin, czy co tam wyrabia, mówi Roz. Pozostaje mieć nadzieję, że Charis nie dojdzie do wniosku, że jej najlepszą przyjaciółką jest Wróżka Trującego Bluszczu.

Ani Tony, ani Roz nie chcą przeczytać o Charis w gazecie: „Starsza kobieta napadnięta pod mostem”, „Niegroźna ekscentryczka pobita”. Pies odstrasza, a Ouida ma w sobie krew teriera, może także border collie, w każdym razie jest inteligentną suką, stwierdziły, wypełniając rubryki w celu nabycia psa ratownika. Dzięki odrobinie tresury...

No cóż, powiedziała Tony, kiedy Ouidę umieszczono u Charis na miesiąc. To było słabe ogniwo całego planu: Charis nie potrafiłaby wytresować banana.

– Ale Ouida jest bardzo lojalna – mówi Roz. – Zaufałabym jej bez wahania. Świetne warczy.

– Ona warczy na komary – odpowiada ponuro Tony. Jako historyczka nie pokłada wiary w tak zwane przewidywalne rezultaty.

Ouida otrzymała imię na cześć dziewiętnastowiecznej pisarki z zacięciem do teatralizowania, wielkiej miłośniczki psów, czy można więc wyobrazić sobie lepsze imię dla nowej towarzyski Charis, pyta Tony, matka chrzestna. Roz i Tony podejrzewają, że Charis niekiedy sądzi, że suka jest pisarką, albowiem ich przyjaciółka wierzy w recykling – nie tylko butelek i plastiku, ale także bytów psychicznych. Pewnego razu obronnym tonem powiedziała, że premier Mackenzie King wierzył, iż jego matka odrodziła się w należącym do niego terierze irlandzkim, i w tamtych czasach nikomu nie wydawało się to dziwne. Tony powstrzymała się od komentarza, że wtedy nikomu nie wydało się to dziwne, ponieważ nikt o tym nie wiedział. Po latach wielu uznało ten fakt za wielce osobliwy.

Po powrocie ze spaceru Roz dzwoni do Tony na komórkę.

– Co robimy? – pyta.

– W sprawie Zenii? – uściśla Tony.

– W sprawie Billy’ego. Ten człowiek jest psychopatą. Wymordował jej kurczaki!

– Zabijanie kurczaków to rzecz służb publicznych. Ktoś musi to robić, w przeciwnym razie brodzilibyśmy w kurach po szyję.

– Bądź poważna, Tony.

– Co możemy zrobić? Ona nie jest nieletnia, nie jesteśmy jej matką. Już zaczyna robić do niego maślane oczy.

– Może wynajmę detektywa. Sprawdzę przeszłość Billy’ego. Zanim zakopie ją w ogrodzie.

– Ten dom nie ma ogrodu, tylko patio – zauważa Tony. – Będzie musiał zadowolić się piwnicą. Obserwuj sklep z narzędziami, sprawdzaj, czy Billy kupił kilof.

– Charis jest twoją przyjaciółką – przypomina Roz. – Nie żartuj w ten sposób!

– Wiem – mówi Tony. – Przepraszam. Żartuję tylko wtedy, kiedy nie wiem, co robić.

– Ja też nie wiem – przyznaje Roz.

– Módlmy się do Ouidy – mówi Tony. – To nasza ostatnia deska ratunku.

Tradycyjnie chodzą na spacer w sobotę, ale ponieważ mają do czynienia z sytuacją kryzysową, Roz zaprasza przyjaciółki na lunch w środę.

Dawniej, w czasach Zenii, jadały w Toxique. Wtedy Queen Street West była bardziej awangardowa: więcej zielonych włosów, czarnych skór, sklepów z komiksami. Obecnie wprowadziły się sklepy odzieżowe ze środkowej półki, choć ostały się resztki salonów tatuażu i pasmanterii, nie składa też broni sex shop Condom Shack<sup>[1]</sup>. Toxique dawno zniknęła. Roz decyduje się na Queen Mother Café. Knajpa jest nieco wiekowa i sfatygowana, ale przyjemna, podobnie jak trzy przyjaciółki.

Czy raczej jest taka jak one dawniej. Dzisiaj Charis sprawia wrażenie skrępowanej. Skubie wegetariański pad thai, raz po raz zerkając przez okno na Ouidę, która czeka niecierpliwie przywiązana do stojaka rowerowego.

– Kiedy jest następna noc wampirów? – pyta Roz. Dopiero co wyszła od dentysty i jedzenie przychodzi jej z trudem z powodu znieczulenia. Jej zęby dzielą los wysokich obcasów – z tych samych powodów: kruszą się i sprawiają ból; w dodatku te koszty! To jak wrzucać pieniądze w otwartą jamę ustną. Plus taki, że stomatologia jest obecnie znacznie przyjemniejsza niż dawniej. Zamiast więc się i pocić, Roz zakłada ciemne okulary i słuchawki, po czym odpływa, niesiona przez muzykę New Age oraz falę środków uspokajających i przeciwbólowych.

– Cóż – mówi Charis. – Tak się składa, że noc wampirów była wczoraj.

– Nie powiedziałaś nam – wypomina jej Tony. – Przyszłybyśmy do ciebie. Założę się, że śniła ci się Zenia.

– To było poprzedniej nocy – sprostowała Charis. – Zenia przyszła, usiadła na moim łóżku i ostrzegła, żeby uważała na pewną osobę... Nie znałam tego imienia. Chyba kobiece, jakby marsjańskie, wiecie, zaczynało się na Y. W tym śnie Zenia miała na sobie futro.

– Jakie futro? – pyta Tony, która podejrzewa rosomaka.

– Nie wiem – mówi Charis. – Czarno-białe.

– Brr – wzdryga się Roz. – A potem oglądałaś sama film z wampirami! Bardzo nierozważnie.

– Nie oglądałam sama – prostuje Charis, rumieniąc się.

– Szlag by to – wybucha Roz. – Chyba nie z Billym!

– Uprawialiście seks? – pyta Tony. To wścibskie z jej strony, ale Tony i Roz muszą dokładnie poznać rozkład sił nieprzyjaciela.

– Nie! – zaprzecza oburzona Charis. – Oglądaliśmy film jak dwoje przyjaciół! Rozmawialiśmy. Teraz czuję się znacznie lepiej, no bo jak można autentycznie wybaczyć komuś, jeśli go nie ma?

– Czy on cię objął? – pyta Roz, czując się jak własna matka. Nie, jak własna babka.

Charis uchyla się od odpowiedzi.

– Billy uważa, że powinniśmy otworzyć B&B – mówi. – W ramach inwestycji. To teraz bardzo popularne. W połowie bliźniaka. On zrobi remont, a ja będę gotować.

– Billy zajmie się też finansami, tak? – pyta Roz.

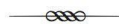
– Czy to imię, które wymieniła Zenia, nie brzmiało czasem Yllib? – mówi Tony. Zenia zawsze specjalizowała się w szyfrach, łamigłówkach, odbiciach.

– Zaufaj mi i zapomnij o tej sprawie! – prosi Roz. – Billy to pijawka. Wyśsie z ciebie ostatniego centa.

– Co Ouida uważa na jego temat? – pyta Tony.

– Muszę przyznać, że Ouida jest nieco zazdrosna – odpowiada Charis. – Musiałam ją... musiałam ją izolować. – Oblewa się rumieńcem.

– Podejrzewam, że zamknęła Ouidę w szafie – mówi Tony do Roz przez telefon. – Brzmi złowieszczo.



Przyjaciółki organizują dyżury telefoniczne: każda będzie dzwonić do Charis raz dziennie, by monitorować sytuację. Charis przestaje odbierać telefon.

Mijają trzy dni. Tony otrzymuje esemes od Charis: „Musimy porozmawiać. Proszę, przyjdź. Przepraszam”.

Tony zabiera Roz, czy raczej Roz zabiera Tony swoim priusem. Kiedy docierają do bliźniaka, Charis siedzi przy stole w kuchni. Płakała, ale przynajmniej wciąż żyje.

– Co się stało, słoneczko? – pyta Roz.

Nie widać żadnych śladów przemocy, może ten dupek Billy zwiął z oszczędnościami Charis.

Tony zerka na Ouidę. Suka siedzi obok Charis z postawionymi uszami i wywalonym jęzorem. Na piersi ma plamy. Sos do pizzy?

– Billy jest w szpitalu. Ouida go pogryzła – wyjaśnia Charis i zaczyna chlipać.

Grzeczna suka, myśli Tony.

– Zaparzę herbatę miętową – proponuje Tony. – Dlaczego Ouida?...

– Właśnie szliśmy do, no, wiecie... do sypialni. Ouida szczekała, więc musiałam ją zamknąć w szafie na piętrze. Potem, tuż zanim... Po prostu musiałam to wiedzieć. Spytałam: „Billy, kto wymordował moje kurczaki?”. Wtedy Zenia powiedziała mi, że zrobił to Billy, ale nie wiedziałam, komu wierzyć, bo Zenia była taką kłamczuchą, a ja nie mogłabym... Z kimś, kto to zrobił. Billy odparł: „To była robota Zenii, poderżnęła im gardła. Usiłowałam ją powstrzymać”. Wtedy Ouida rozszczekała się na dobre, jakby coś ją bolało, musiałam sprawdzić, co się stało, a kiedy otworzyłam szafę, wypadła, skoczyła na łóżko i ugryzła Billy’ego. Darł się w niebogłosy, krew tryskała na pościel, to było...

– Możesz usunąć plamy zimną wodą – radzi Roz.

– W nogę? – spytała Tony.

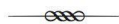
– Niezupełnie – przyznaje Charis. – Nie miał na sobie ubrania, w przeciwnym razie Ouida nie... Teraz przechodzi zabieg. Czuję się taka winna. Kiedy zawieźli go na ostry dyżur, powiedziałam im, że to ja go ugryzłam, w trakcie zabawy erotycznej, którą Billy lubił, ale sprawy wymknęły się spod kontroli. W szpitalu byli bardzo mili, zapewniali, że takie rzeczy się zdarzają. Głupio mi było kłamać, ale mogliby, wiecie, odebrać mi Ouidę. Co za stres! Teraz przynajmniej znam odpowiedź.

– Jaką znów odpowiedź? – pyta Roz. – Na co?

Charis mówi, że wszystko jest jasne: Zenia wracała do niej w snach, aby ostrzec ją przed Billym, który wymordował kurczaki. Niestety, Charis okazała się zbyt głupia, żeby się domyślić. Pragnęła widzieć Billy’ego w jak najlepszym świetle, a kiedy ponownie pojawił się w jej życiu, była taka szczęśliwa, jakby koło się zamknęło, więc Zenia musiała zrobić kolejny krok, odrodziła się jako Ouida – to dlatego w drugim śnie miała na sobie futro – i oczywiście wściekła się, słysząc, jak Billy zwała na nią coś, czego nie zrobiła.

Właściwie, ciągnie Charis, może Zenia od początku nie miała złych intencji. Może odbiła jej Billy’ego, aby chronić przed nim Charis. Może odbiła Westa, aby

dać Tony życiową lekcję, na przykład chciała, by Tony nauczyła się doceniać muzykę, czy coś w tym rodzaju. Może odbiła Mitcha, żeby utorować Roz drogę do znacznie lepszego męża, Sama. Może Zenia była tajemnym alter ego każdej z nich, robiła to, czego one same nie potrafiły zrobić. Jeśli spojrzeć na sprawy z tej perspektywy...



Tony i Roz postanowiły więc przyjąć taką perspektywę, w każdym razie gdy spotykają się z Charis, ponieważ jest dzięki temu szczęśliwsza. Udawanie, że średniej wielkości czarno-biały pies, który ociera ubłocone łapy o twój płaszcz i załatwia się za zwałonymi pniami, jest w istocie Zenią, wymaga niejakiego wysiłku, ale przyjaciółki nie muszą tego robić cały czas. Zenia pojawia się i znika, jak zwykle nieprzewidywalna – tylko Charis wie, kiedy jest obecna w ciele Ouidy.

Billy zaczął grozić, że pozwie Charis za pogryzienie, ale Roz zdusiła groźby z zarodku: oznajmiła mu, że jeśli idzie o kruczki prawne, bije go na głowę. Wynajęty przez Roz detektyw ustalił szczegóły dotyczące przypadków porzucania kobiet przez Billy'ego, piramid finansowych oraz podszywania się pod innych ludzi, a jeśli sądzi, że wykorzysta Ouidę jako narzędzie szantażu, lepiej niech dobrze się zastanowi, bo to jest jego słowo przeciwko słowu Charis, a komu uwierzą przysięgli?

Billy wyjechał, nigdy więcej go nie widziano, a w drugiej połowie bliźniaka Charis zamieszkał jowialny emerytowany hydraulik. Jest wdowcem, a Roz i Tony wiążą z nim pewne nadzieje. Aktualnie robi remont łazienki: zawsze to jakiś początek. Ouida aprobeuje hydraulika – kiedy ten wchodzi z kluczem pod umywalkę, próbuje się wcisnąć, liże go, gdzie popadnie, i bezwstydnie z nim flirtuje.

Martwa dłoń cię kocha

---



*M*artwa dłoń cię kocha zaczęła się jako żart. Czy raczej wyzwanie. Powinien był zachować większą ostrożność, ale prawdę mówiąc palił wtedy sporo zioła i pił sporo lichej gorzały, dlatego trudno powiedzieć, że był w pełni odpowiedzialny. Nie powinno się go pociągać do odpowiedzialności. Nie powinno się wymagać, by podpisał tę pieprzoną umowę. Właśnie to go krępowało: umowa.

Nigdy się od niej nie uwolni, ponieważ w umowie nie zawarto ostatecznego terminu. Powinien był zamieścić punkt dotyczący terminu – jak data ważności na kartonie mleka, jogurcie czy majonezie – ale co on wtedy wiedział o umowach. Miał dwadzieścia dwa lata.

Potrzebował tej forsy.

To była żałośnie mała suma. Gówniany interes. Wykorzystano go. Jak tych troje mogło go tak wykorzystać? Teraz nie chcą się do tego przyznać. Powołują się tylko na pieprzoną umowę z podpisami, których nie sposób zakwestionować, w tym jego własnym, a on musi się z tym pogodzić i spierdalać. Początkowo nie chciał im zapłacić, ale Irena wynajęła prawnika; teraz wszyscy troje mają prawników, tak jak psy mają wszy. Irena powinna była potraktować go ulgowo z uwagi na to, że kiedyś byli sobie bliscy, ale nic podobnego, Irena ma serce z asfaltu, z każdym rokiem twardsze, suchsze i bardziej spieczone słońcem. Pieniądze doprowadziły ją do ruiny.

Jego pieniądze, ponieważ to dzięki niemu Irena i dwaj pozostali mogą sobie pozwolić na prawników. W dodatku pierwszorzędnym prawników, nie gorszych niż jego, co nie znaczy, że ma ochotę mieszać się do prawniczej przepychanki, polegającej na warczeniu, kąsaniu i szarpaniu. Prawnicy podgryzają człowieka jak fretki, szczury, piranie, aż zostaje ochłap, ścięgno, paznokieć palca u nogi.

Dlatego przez całe dziesięciolecie musiał wyskakiwać z pieniędzy. Jak słusznie zauważyli, w sądzie nie miałyby cienia szansy. Podpisał tę piekielną umowę. Podpisał ją rozgrzaną do czerwoności krwią.

Kiedy ich czworo podpisywało umowę, byli studentami. Nie byli biedni jak myszy kościelne, bo wtedy nie pobieraliby tak zwanego wyższego wykształcenia, tylko odśnieżali szosy, podpalali hamburgery za minimalną stawkę albo wykręcali numery w barach cuchnących wymiocinami, w każdym razie Irena. Choć nie byli całkowitymi nędzarzami, rzadko dysponowali gotówką. Koniec z końcem wiąźali dzięki pieniądzom zarobionym w lecie, dzięki zapomogom od niechętnych krewnych oraz, w przypadku Ireny, dzięki mizernemu stypendium.

Poznali się w knajpie serwującej piwo z kija po dziesięć centów za kufel. Przesiadujący tam członkowie grupy dyskusyjnej spędzali czas na rzucaniu ciętych uwag, narzekaniu i przechwałkach, oczywiście pomijając Irenę, bo ona nigdy nie robiła takich rzeczy. Bardziej przypominała samozwańcą matkę, która regulowała rachunek, kiedy pozostali byli zbyt wlani, by przypomnieć sobie, co zrobili z drobniakami, albo tak przebiegli, że w ogóle nie przynosili pieniędzy. Irena nigdy nie odzyskiwała należności. Ich czworo stwierdziło, że wszyscy woleliby mniej wydawać na mieszkanie, toteż wynajęli wspólnie dom tuż przy uniwersytecie.

Działo się to na początku lat sześćdziesiątych, kiedy student mógł wynająć dom w tej okolicy. Mowa o wiktoriańskim domiszczu z czerwonej cegły, ze spiczastym dachem – wąskim, dwupiętrowym, rozpalonym w lecie, mroźnym w zimie, zalatującym sikami, z obłazącą tapetą, wypaczoną podłogą, brzęczącymi kaloryferami, pełnym gryzoni i karaluchów. Później domy te uzyskały status zabytków, a ich wartość poszybowała w niebo. Na domach pojawiły się tabliczki umieszczane przez matołów niemających nic lepszego do roboty niż umieszczać tabliczki na snobistycznych nieruchomościach z wyśrubowanymi cenami.

Jego własny dom – ten, w którym podpisano nieszczęsną umowę – został opatrzony tabliczką głoszącą – ale zaskoczenie! – że kiedyś w nim mieszkał. Dobrze wie, że tam mieszkał, nie trzeba mu przypominać. Nie musi czytać własnego nazwiska, *Jack Dace, 1963–1964*, jakby żył tylko jeden pieprzony rok. Pod spodem drobnymi literami dopisano: „W tym domu powstał międzynarodowy klasyk horroru *Martwa dłoń cię kocha*”.

„Nie jestem kretynem! Wiem to!” – chce wrzeszczeć do owalnej tabliczki z białoniebieskiej emalii. Powinien był o wszystkim zapomnieć, powinien był wymazać z pamięci cały epizod, ale nie potrafi, ponieważ ta sprawa jest jak kula u nogi. Nie

może się oprzeć pokusie zerknięcia na tabliczkę, ilekroć przyjeżdża do miasta na festiwal filmowy, literacki, komiksowy czy festiwal horroru. Z jednej strony przypomina mu o tym, jak idiotycznie postąpił, podpisując umowę, z drugiej, trzy słowa: „międzynarodowy klasyk horroru”, napawają go żalosną satysfakcją. Ma przesadną obsesję na jej punkcie. Świadczy o jego największym dokonaniu życiowym. Na razie.

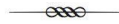
Może to właśnie napiszą mu na nagrobku: MARTWA DŁOŃ CIĘ KOCHA, MIĘDZYJARODOWY KLASYK HORRORU. Może nastolatki umalowane w stylu gotyckim, ze szwami wytatuowanymi na szyi jak Frankenstein i liniami przerywanymi wokół nadgarstków z instrukcją TUTAJ CIAĆ będą odwiedzały jego grób i składały zwiędłe róże oraz zbiełałe kurze kosteczki. Już teraz przysyłają mu takie rzeczy, a przecież jeszcze nie umarł.

Czasami stoją z boku na spotkaniach z jego udziałem – dyskusjach panelowych, na których ma bredzić o inherentnej wartości „gatunków”, retrospektywach prezentujących najróżniejsze filmy zrodzone z jego *opus magnum* – odziane w podarte całuny, z twarzami pomalowanymi na niezdrowy zielonkawy kolor podają mu koperty ze zdjęciami, na których są nago i/lub z czarnymi sznurami na szyi i wywalonymi językami, i/lub woreczki ze swoimi włosami łonowymi, proponując przy tym, że mu zrobią laskę z kłami wampira w ustach. Ta ostatnia oferta wydawała mu się dość kłopotliwa, nigdy więc jej nie przyjął. Za to korzystał z innych. Jak mógł odmówić?

Mimo to jego ego jest nieustannie narażone na ryzyko. A jeśli nie sprawdzi się w łóżku, czy raczej – ponieważ te dziewczęta lubią stymulację w postaci lekkiej niewygody – na podłodze, przy ścianie lub na krześle z udziałem sznurów? Jeśli stwierdzą: „Sądziłam, że jesteś inny”, poprawiając skórzaną bieliznę, wsuwając nogi w siatkowe pończochy i na nowo przyklejając ropiejące rany przed lustrem? Takie wpadki się zdarzają, ostatnio coraz częściej, bo wiek i zblazowanie dają o sobie znać.

– Zepsułeś mi ranę – mówiły czasem. Co gorsza, mówiły poważnie, bez ironii. Z ustami w ciup, oskarżycielskie, lekceważące. Lepiej więc utrzymywać je na dystans, pozwolić, by z oddali czciły jego dekadencje szatańskie moce. Zresztą dziewczyny stają się coraz młodsze, dlatego trudno z nimi rozmawiać w chwilach, gdy tego oczekują. Zazwyczaj nie ma pojęcia, co dobywa się z ich ust, o ile nie są to

języki. Osoby te mają zupełnie nowe słownictwo. Niekiedy odnosi wrażenie, że spędził sto lat pogrzebany w ziemi.



Któż mógł przewidzieć tak osobliwy sukces? W czasach, gdy wszyscy, którzy go znali, uważali go za przegranego, włącznie z samym Jackiem? *Martwa dłoń cię kocha* musiała stanowić owoc czystego natchnienia, wpływ tandetnej, pogryzionej przez pchły muzy. Książkę napisał za jednym zamachem, bez typowych potknięć i poprawek, bez gniecionych gniewnie i ciskanych do kosza kartek, bez okresów letargu i rozpacz, jakie zazwyczaj nie pozwalały mu niczego dokończyć. Usiadł i wystukał całość, osiem czy dziesięć stron dziennie, na starym remingtonie upolowanym w lombardzie. Jak dziwnie wspomina się dziś maszyny do pisania, z zablokowanymi klawiszami, wkręconą taśmą i płamiącymi kalkami. Wszystko zajęło mu trzy tygodnie. Góra miesiąc.

Oczywiście nie wiedział, że książka stanie się międzynarodowym klasykiem horroru. Nie zbiegł w samych majtkach z drugiego piętra do kuchni, wołając: „Właśnie napisałem międzynarodowy klasyk horroru!”. Gdyby to zrobił, tamtych troje wyśmiałoby go, siedząc przy stole z laminowanym blatem, popijając kawę rozpuszczalną i jedząc mdłe zapiekanki przyrządzane przez Irenę z dużych ilości ryżu, makaronu, cebuli oraz zupy grzybowej i tuńczyka z puszki, były to bowiem tanie, a zarazem pożywne składniki. Irena przywiązywała dużą wagę do „pożywności”. Ogromne znaczenie miało dla niej to, ile zdoła kupić za dolara.

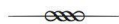
Ich czworo zostawiało tygodniową składkę na jedzenie w kuchennej skarbonce – słoiku po ciastkach w kształcie świnki – choć Irena dokładała się w mniejszym stopniu, ponieważ zajmowała się gotowaniem. Gotowanie, zakupy, płacenie za światło i ogrzewanie – Irenie podobały się takie obowiązki. Swego czasu kobiety chętnie przyjmowały podobne role, co odpowiadało również mężczyznom. On sam lubił, kiedy się o niego troszczono, mówiono, że powinien więcej jeść. Zgodnie z umową pozostała trójka, włącznie z nim, miała zmywać naczynia, chociaż jego zdaniem nie działo się to regularnie, przynajmniej nie w jego przypadku.

Do gotowania Irena zakładała fartuch z aplikacją w postaci ciasta. Musiał przyznać, że dobrze jej było w tym fartuchu, po części dlatego że opasywał jej talię, dzięki czemu człowiek zauważał, że w ogóle ją ma. Najczęściej dla utrzymania

ciepła skrywała talię pod warstwami grubej dzianiny – tkanej lub robionej na drutach. Nosila ciemnoszare lub czarne ubrania jak świecka zakonnica.

Skoro miała talię, miała też widoczną pupę i cycki, a Jack mimowolnie wyobrażał sobie, jak wyglądałaby bez tych wszystkich praktycznych, bezkształtnych strojów, nawet bez fartucha. Z rozpuszczonymi jasnymi włosami, które upinała do góry. Wyglądałaby przepysznie i pożywnie, pulchna i uległa, zapraszająca biernie, niczym butelka z wodą o temperaturze ciała owinięta w różowy aksamit. Mógłby się na nią nabrać, a nawet się nabrał – uznał, że Irena ma serce miękkie jak puchowa poduszka. Idealizował ją. Co za matoł.

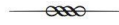
Tak czy inaczej, gdyby wszedł do kuchni pachnącej makaronem z tuńczykiem i oznajmił, że właśnie napisał międzynarodowy klasyk horroru, wyśmialiby go, ponieważ ani wtedy, ani obecnie nie traktowali go poważnie.



Jack mieszkał na najwyższym piętrze. Na strychu. Najgorsze lokum. Skwarne latem, mroźne zimą. Na strychu zbierały się wszystkie wyziewy: kuchenne, smród brudnych skarpetek z niższych pięter, odór z ubikacji – wszystko wędrowało w górę. Za skwar, zimno i smród nie mógł się odegrać inaczej, niż chodząc po pokoju i głośno tupiąc, ale to przeszkadzałoby jedynie Irenie mieszkającej bezpośrednio pod nim, a Jack nie chciał grać jej na nerwach, marzył bowiem o tym, by wyłuskać ją z bielizny.

Bielizna miała kolor czarny, co wkrótce ustalił. W tamtych czasach uważał czarną bieliznę za seksowną, w stylu tanich pisemek dla policjantów. Jeśli idzie o kolory damskiej bielizny, znał z życia jedynie białe i różowe, bo to właśnie nosiły dziewczyny, z którymi umawiał się w liceum na randki. Zresztą we frustrującym półmroku samochodu rzadko udawało mu się przyjrzeć damskim majteczkom. Dopiero z perspektywy czasu uznał, że Irena wybierała czarną bieliznę z przyczyn nie tyle prowokacyjnych, ile praktycznych. Noszona przez nią czerń była czernią skneruski, pozbawioną koronek, krzyżujących się pasków czy jakichkolwiek wyzywających elementów. Irena wybierała tę bieliznę nie po to, by podkreślać ciało, lecz by skrywać bród i oszczędzać na praniu.

Uprawianie seksu z Ireną przypominało kochanie się z blachą do gofrów, dowcipkował Jack, ale działało się to już po tym, jak kontynuacja powieści wypaczyła jego retrospektywne widzenie i zakuła Irenę w metal.



Irena nie mieszkała na piętrze sama. Mieszkał tam również Jaffrey wprawiający Jacka w posępny, zazdrosny nastrój. Jak łatwo Jaffrey mógł się zakraść do holu w swoich cuchnących wełnianych skarpetach, śliniąc się i mażąc z niezdrowej żądz, bezszelestnie, niewidziany przez nikogo mógł podpełznąć do drzwi Ireny, podczas gdy Jack, pogrzebany dla świata, tkwił w swojej klitce na strychu. Pokój Jaffreya znajdował się nad dobudowaną, pokrytą papą, niedostatecznie izolowaną i podskórnie brudną kuchnią wystającą z tyłu domu, przez co Jaffrey nie miał nad głową sufitu, po którym dałoby się tupać.

Rod, którego Jack również podejrzewał o zakusy wobec Ireny, także znajdował się poza zasięgiem tupania. Mieszkał na parterze w pomieszczeniu pierwotnie stanowiącym salon. Podwójne drzwi z matowym szkłem zabili deskami. Za nimi znajdował się pokój gościnny, obecnie coś na kształt legowiska dla palaczy opium, co nie znaczy, że mieli opium. Kasztanowe poduszki, dywan w kolorze brązowych psich rzygowin z wdeptanymi chipsami i kawałkami orzechów, do tego zdezelowany fotel wydzielający mdlący zapach porto Old Sailor, ulubionego napitku alkoholików, ale także, o ironio, studentów filozofii – z uwagi na śmiesznie niską cenę.

Właśnie w pokoju gościnnym wylegiwali się i urządzali przyjęcia, a ponieważ brakowało miejsca, przyjęcia wylewały się do wąskiego holu, na schody i do kuchni – goście sami dzielili się na spożywających alkohol i palaczy trawy. Palacze nie byli hipisami, ponieważ ci się jeszcze nie pojawili, ale pierwszymi jaskółkami w postaci niedomytych, nieśmiałych quasi-beatników, którzy przestawali z muzykami jazzowymi, nasiąkając ich lekko transgresyjnym stylem życia. W takich chwilach on, Jack Dace, obecnie uwieczniony na tabliczce jako autor międzynarodowego klasyka horroru, cieszył się, że mieszka na samej górze, z dala od przewalającego się tłumu, smrodu alkoholu, papierosów i trawy, niekiedy także wymiocin, bo ludzie nie wiedzieli, kiedy się zatrzymać.

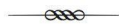
Jako posiadacz własnego pokoju na strychu mógł zaoferować tymczasowe schronienie jakiejś uroczej, zmęczonej, wyrafinowanej dziewczynie w czarnym golfie, z mocno umalowanymi oczami, którą zwabiał do swego zawałonego gazetami buduaru na łóżko z hinduską kapą. Jack obiecywał rozmowę na artystyczne tematy, o mękach twórczych, potrzebie wierności sobie, pokusach zaprzędania się i szlachetnym opieraniu się tymże. Obietnicy towarzyszył lekki

ton autoironii, na wypadek gdyby dziewczyna miała go uznać za nadętego samochwałę. Oczywiście był nim, ponieważ w tym wieku człowiek musi taki być, jeśli chce rano zwlec się z łóżka i podtrzymywać wiarę w swój iluzoryczny potencjał przez kolejne dwanaście godzin.

Do faktycznego zwabienia takiego dziewczęcia nigdy nie doszło, a gdyby tak się stało, zniweczyłoby to jego szanse u Ireny, która zaczynała przejawiać obiecujące oznaki. Sama nie piła ani nie paliła trawy, za to sprzątała po gościach robiących jedno i drugie i zapamiętywała przy tym, kto co z kim robi. Dyskrecja nie pozwalała jej mówić o tych sprawach, ale człowiek mógł wszystko wyczytać z jej milczenia.

Kiedy *Martwa dłoń* ukazała się drukiem i spotkała z powszechnym uznaniem – nie, nie z uznaniem, ponieważ podobne książki nie cieszyły się jeszcze wtedy uznaniem, dopiero później, gdy literatura użytkowa na dobre zakotwiczyła u brzegów pisarskiej prawomocności – kiedy książkę sfilmowano, Jackowi znacznie łatwiej przychodziło wabienie. Cieszył się już reputacją przynajmniej autora komercyjnego, sprzedającego duże nakłady książek ze złotymi literami na okładce. Podrywanie na sztukę co prawda przestało wchodzić w grę, ale za to sporo dziewczyn lubiło makabrę, w każdym razie tak twierdziły. Lubiły makabrę, zanim styl gotycki stał się popularny. Może przypominała im o ich życiu wewnętrznym. A może po prostu miały nadzieję, że Jack pomoże im zaczepić się w filmie.

Och, Jack, Jack, mówi do siebie, oglądając w lustrze podkrążone oczy, macając rzednące włosy na ciemieniu, wciągając brzuch, chociaż długo nie wytrzyma. Jesteś ruiną. Jesteś dupkiem. Jesteś sam jak palec. Jacek-Placek, co kiedyś miał sprawnego fiutka i niezłą nawijkę. Kiedyś miałeś w sobie tyle ikry. Byłeś taki ufny. Byłeś taki młody.



Sprawa z umową zaczęła się irytująco. Pod koniec marca na trawnikach topniał szary porowaty śnieg, powietrze było chłodne i wilgotne, ludzie rozdrażnieni. Pora lunchu. Troje współlokatorów Jacka siedziało w kuchni przy stole – z białym z czerwonego laminatu w perłowe zawijasy, na chromowanych nogach – żując resztki podane jak zwykle przez Irenę, która nie lubiła marnować jedzenia. Jack zaspał, czemu nie należy się dziwić, skoro zeszłej nocy była impreza, wyjątkowo

paskudna i męcząca, na której, dzięki Jaffreyowi, lubiącemu rozprawiać o hermetycznych zagranicznych autorach, rozmawiano o Nietzschem i Camusie. Jack miał więc pecha, ponieważ o obu tych pisarzach wiedział tyle, co kot napłakał. Potrafił za to przyzwoicie nadawać o Kafce, który napisał komiczny utwór o gościu zamienionym w żuka, zresztą rano Jack tak właśnie się czuł. Pewien sadysta przyniósł na przyjęcie butelkę spirytusu laboratoryjnego, zmieszał go z sokiem winogronowym i wódką, a Jack, skołowany konkurencyjnymi popisami literackimi, wypił tak dużo zabójczej mikstury, że obrzygał sobie kolana. Na domiar złego palił zioło, najpewniej zmieszane z proszkiem na świateł w kroczu.

Z tego powodu nie był w nastroju do rozmowy, którą Irena zaczęła przy resztkach makaronu z tuńczykiem bezlitośnie, zniechęca.

– Zalegasz trzy miesiące z czynszem – oznajmiła, zanim jeszcze zdążył łyknąć kawy rozpuszczalnej.

– Chryste – odparł Jack. – Patrz, ręce mi się trzęsą. Wczoraj w nocy naprawdę przeholowałem! – Dlaczego, do kurwy nędzy, Irena nie mogła okazać większego zrozumienia, troskliwości? Nawet trafne spostrzeżenie mogłoby pomóc, na przykład: „Wyglądasz do dupy”.

– Nie zmieniaj tematu – upomniała go Irena. – Dobrze wiesz, że musieliśmy złożyć się na twój czynsz, w przeciwnym razie by nas eksmitowali. Koniec z tym. Albo znajdziesz sposób, żeby płacić, albo będziesz musiał sobie pójść. Wynajmiemy twój pokój komuś, kto naprawdę płaci.

Jack osunął się na krzesło.

– Wiem, wiem – rzucił. – Jezu, przepraszam. Załatwię to, ale potrzebuję trochę czasu.

– Czasu na co? – zainteresował się Jaffrey z uśmiechem niedowierzania. – Masz na myśli czas absolutny czy względny? Wewnętrzny czy mierzalny? Euklidesowy czy kantowski?

Było o wiele za wcześnie na scholastyczną zabawę słowną na podstawie wstępu do filozofii. Pod tym względem Jaffrey był skończonym dupkiem.

– Czy ktoś ma aspirynę? – spytał Jack.

Słaba zagrywka, ale nic lepszego nie potrafił wymyślić, a ból faktycznie rozsadzał mu głowę. Irena wstała, żeby przynieść mu środki przeciwbólowe. Pokusa odegrania roli pielęgniarki okazała się zbyt silna.



– Ile czasu potrzebujesz? – zapytał Rod, wyciągając zielono-brązowy notesik, gdzie robił obliczenia. Rod pilnował finansów ich wspólnego przedsięwzięcia.

– Od wielu tygodni mówisz, że potrzebujesz czasu – przypomniała Irena. – Właściwie od miesięcy. – Obok szklanki wody położyła na stole dwie aspiryny. – Jest też alka-seltzer – dodała.

– Moja powieść – powiedział Jack, nie pierwszy raz sięgając po ten argument. – Naprawdę potrzebuję czasu... Prawie skończyłem. – Nie mówił prawdy. Utknął w trzecim rozdziale. Naszkicował bohaterów, czworo atrakcyjnych studentów z buzującymi hormonami, którzy mieszkali w ceglany wiktoriańskim domu obok uniwersytetu, rzucali tajemnicze zdania na temat własnej psychiki, dużo się pieprzyli, ale nie potrafił posunąć się dalej, bo nie miał pojęcia, co jeszcze mogliby robić. – Znajdę pracę – dodał bez przekonania.

– Jako kto? – spytała Irena o sercu z obsydianu. – Jest piwo imbirowe, jak chcesz.

– Może sprzedawaj encyklopedie – podsunął Rod i cała trójka zarżała.

Sprzedawanie encyklopedii uchodziło za ostatnią deskę ratunku zdesperowanych, przyciśniętych do muru patałachów, w dodatku rozśmieszył ich pomysł, że Jack Dace faktycznie miałby coś sprzedać. Uważali go za przegranego pechowca, od którego uciekały bezdomne psy, węsząc smród porażki jak woń kociego gówna. Ostatnio troje współlokatorów nie dopuszczało go nawet do zmywania naczyń, bo zbyt wiele łądowało na podłodze. Jack robił to celowo, ponieważ opłacało się uchodzić za człowieka bezużytecznego, jeśli chodziło o obowiązki domowe, teraz jednak status lebiegi obracał się przeciwko niemu.

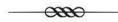
– Może sprzedaj udziały w swojej powieści – podsunął Rod. Studiował ekonomię, wolną gotówką z niezłym skutkiem grał na giełdzie, zresztą właśnie tak opłacał własny pieprzony czynsz. Z tego względu okazywał nieznośne samozadowolenie w kwestii pieniędzy i cechę tę zachował na zawsze.

– Dobra, wchodzę w to – oświadczył Jack.

Na tym etapie nie było to nic innego jak fantazja. Tamtych troje dawało mu szansę, udawali, że wierzą w jego talent, pozwalając, przynajmniej w teorii, na osiągnięcie wypłacalności. Tak twierdzili później: zmówili się, aby dodać Jackowi otuchy, przekonać go, że w niego wierzą. Dzięki temu mógł ruszyć tyłek i coś zrobić, chociaż wcale na to nie liczyli. To nie ich wina, że się udało, w dodatku tak spektakularnie.

Umowę spisał Rod. Czynnosc za trzy miesiące plus jeden: trzy zaległe oraz nadchodzący. W zamian za to zyski z powieści, którą miał ukończyć, podzielił na cztery części, po jednej dla każdego, włącznie z Jackiem. Gdyby go pominięto, umowa działałaby demotywująco. Gdyby nic nie miał zyskać, mógłby nie wykrzesać energii niezbędnej do ukończenia książki, twierdził Rod pokładający wiarę w człowieka ekonomicznego. Ostatnie zdanie Rod skwitował chichotem, ponieważ nie wierzył, że Jack ukończy powieść.

Czy Jack podpisałby taką umowę, gdyby nie miał potwornego kaca? Przypuszczalnie tak. Nie chciał wylecieć na bruk. Tym bardziej nie chciał wylądować z powrotem w pokoju gościnnym rodziców w Don Mills, gdzie matka załamywałaby ręce i karmiła syna pieczenią, ojciec zaś wygłaszałby umoralniające wykłady. Dlatego Jack zgodził się na wszystkie punkty, podpisał, westchnął z ulgą, po czym za namową Ireny zjadł trochę makaronu z tuńczykiem, by nie siedzieć z pustym żołądkiem, i poszedł na górę się zdrzemnąć.



Potem jednak musiał napisać to cholerstwo.

Mógł zapomnieć o czworogu studentach w wiktoriańskim domu. Stało się jasne, że nawet gdyby podpalił im nogi, nie ruszyliby tyłków z tanich krzesel kuchennych, do których przywarli odbytami jak zbiorowa ośmiornica. Musiał spróbować czegoś innego, i to szybko, ponieważ napisanie powieści – jakiegokolwiek – stało się dla niego punktem honoru. Nie mógł pozwolić, żeby Jaffrey i Rod nadal się z niego nabijali, nie mógł już znieść wyrazu pobłażliwego politowania w ślicznych niebieskich oczach Ireny.

Proszę, proszę, modlił się do gęstego od spalin powietrza. Pomocy! Cokolwiek, byle co! Byle się sprzedało!

W ten sposób zawierane są szatańskie pakt.

I oto nagle, niczym fosforyzujący muchomor, zamigotała przed nim *Martwa dłoń*, w pełni ukształtowana, wystarczyło tylko zapisać, tak przynajmniej twierdził w wywiadach. Skąd wzięła się powieść *Martwa dłoń cię kocha*? Któż to wie? Z rozpacz. Spod łóżka. Z dzieciennych koszmarów. Najpewniej z posępnych czarno-białych komiksów, które podkładał ze sklepów jako dwunastolatek: częstym elementem tych historyjek były wyschnięte, oddzielone od ciała, samonapędzające się członki.

Akcja była prosta. Violet, piękna, lecz zimna dziewczyna – przypominająca Irenę, ale obdarzona jeszcze węższą talią i obfitym biustem – porzuciła omdlewającego z miłości narzeczonego Williama – przystojnego, wrażliwego młodzieńca, co najmniej piętnaście centymetrów wyższego niż Jack, za to z włosami tego samego koloru. Zrobiła to z przyziemnego powodu: dla innego zalotnika. Alf, z wyglądu do złudzenia przypominający Jaffreya, był nieprzyzwoicie bogaty.

Violet rzuciła Williama w najbardziej upokarzający sposób. William, uosobienie prawości, umówił się z nią na randkę. Przyjechał po ukochaną do jej względnie zamożnego domu. Alf znalazł się tam jednak przed nim, a William przyłapał oboje na gorącym, nieskromnym uścisku na werandowej huśtawce. Co gorsza, Alf wsunął rękę pod spódnicę Violet, na co William nigdy by sobie nie pozwolił, dureń.

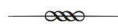
Oburzony i zaskoczony William doprowadził do gniewnej konfrontacji, ale nic mu to nie dało. Violet wzgardliwie cisnęła na chodnik bukiet zerwanych przez Williama stokrotek i dzikich róż, w ślad za kwiatami poleciała złota obrączka zaręczynowa, która kosztowała go dwumiesięczne zarobki sprzedawcy encyklopedii, a następnie Violet oddaliła się, tupiąc wyzywającymi czerwonymi bucikami na wysokim obcasie, i odjechała z Alfem jego srebrnym kabrioletem marki Alfa Romeo, kupionym pod wpływem kaprysu, bo pasował do jego imienia, a mógł sobie pozwolić na takie ekstrawagancje. Ich szyderczy śmiech dzwonił nieszczęsnemu Williamowi w uszach, a na domiar złego obrączka zaręczynowa potoczyła się ulicą i wpadła do ścieku.

William został śmiertelnie zraniony. Marzenia legły w gruzach, obraz idealnej kobiecości runął. Ze zwieszoną głową powłókł się do taniego, lecz czystego pensjonatu, gdzie spisał testament: polecił, by odcięto mu prawą dłoń i pochowano oddzielnie, obok ławki, gdzie spędził z Violet wiele idyllicznych wieczorów, czule tuląc ukochaną. Następnie zastrzelił się z wojskowego rewolweru odziedziczonego po zmarłym ojcu – William był bowiem sierotą – który bohatercko używał tej broni podczas drugiej wojny światowej. Jack uważał, że ten szczegół dodaje powieści symbolicznej szlachetności.

Gospodyni Williama, dobra wdowa mówiąca z europejskim akcentem i obdarzona cygańską intuicją, zadbała, by życzenie dotyczące uciętej dłoni zostało uhonorowane. Pod osłoną nocy zakradła się do zakładu pogrzebowego i odcięła dłoń laubzegą z warsztatu ciesielskiego po zmarłym mężu. W filmie – w zasadzie

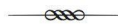
w obu filmach, oryginalnym i remake'u – scena ta pozwala na epatowanie widza złowrogimi cieniami i niesamowitą poświatą bijącą od dłoni. Poświata mocno przestraszyła gospodynię, ale dzielnie piłowała dalej. Dłoń pochowała obok parkowej ławki, dość głęboko, by nie wykopały jej skunksy. W miejscu pochówku kończyny zostawiła noszony na szyi krzyżyk, ponieważ, jako osoba pochodząca ze starego kontynentu, była przesądna.

Violet, suka bez serca, nie raczyła przyjść na pogrzeb, toteż nic nie wiedziała o odciętej dłoni. Wiedziała o niej jedynie gospodyni, która wkrótce potem wyjechała do Chorwacji, gdzie została zakonnica, aby oczyścić duszę po potencjalnie szatańskim czynie.



Czas mijał. Violet zaręczyła się z Alfem. Planowano wystawny ślub. Violet czuła się trochę winna z powodu Williama, było go jej nawet odrobinę żal, ale w sumie rzadko gościł w jej myślach. Zbyt zajmowało ją przymierzanie kosztownych strojów i popisywanie się najróżniejszymi diamentami oraz szafirami, którymi zasypywał ją pozbawiony gustu Alf. Zgodnie z jego mottem droga do serca dziewczyny wiodła przez biżuterię, co w przypadku Violet było czystą prawdą.

Jack długo wahał się nad kolejną częścią historii. Czy powinien trzymać Dłoń w ukryciu aż do ślubu? Czy należało ją schować w długim satynowym trenie, aby towarzyszyła Violet w drodze do ołtarza i wyskoczyła, gdy panna młoda miała wypowiedzieć sakramentalne „tak”? Nie, zbyt wielu świadków. Rzuciliby się za Dłonią jak za zbiegłą małpką, przez co groza zamieniłaby się w farsę. Najlepiej pozwolić, by Dłoń przyłapała Violet samą, a także, jeśli to możliwe, rozebraną.



Na kilka tygodni przed ślubem bawiąca się w parku dziewczynka zauważyła połyskujący w słońcu krzyżyk gospodyni i zabrała go do domu, niwelując tym samym jego ochronną moc. (W oryginalnym filmie scenie tej towarzyszy złowroga muzyka retro. W remake'u dziewczynkę zastępuje pies, który przynosi krzyżyk panu, ten zaś, nie mając pojęcia o roli przedmiotów religijnych, ciska go w zarośla).

Podczas kolejnej pełni księżyca z ziemi przy ławce dłoni Williama wyłoniła się niczym krab lub okaleczony pęd żonkila. Wyraźnie naznaczona zębem czasu –

brunatna, pomarszczona, z długimi paznokciami – wypełzła z parku, ukryła się w przepuście i wychynęła ponownie ze wzgardzoną złotą obrączką zaręczynową na małym palcu.

Powędrowała po omacku do domu Violet, wdrapała się po bluszczu przez okno do jej sypialni, gdzie ukryła się pod toaletką przykrytą materiałem w kwiaty, i wyszczerzyła się w uśmiechu, gdy Violet się rozbierała. Czy Dłoń widziała? Nie, ponieważ nie posiadała oczu. Została za to obdarzona swego rodzaju wzrokiem bez wzroku, bo ożywił ją duch Williama. Czy raczej część tego ducha, w dodatku nie najmiłsza.

(Podczas specjalnej sesji Modern Language Association poświęconej *Martwej dłoni*, która odbyła się trzynaście, czy może piętnaście lat temu, sędziwy krytyk freudowski stwierdził, że Dłoń oznacza powrót tego, co stłumione. Krytyczka jungowska nie zgodziła się z tą interpretacją, przywołując liczne przykłady odciętych dłoni w mitach i magii. Stwierdziła, że Dłoń jest echem Ręki Chwały obcinanej powieszonemu złoczyńcy. W zamarynowanej dłoni umieszczano zapalone świece, a całości używano do zaklęć stosowanych przy włamaniach. We Francji znano ją jako *main de glorie*, inaczej mandragora. Specjalista freudowski oświadczył, że tego typu uwagi są zarazem zbędne, jak i chybione. Podniosły się głosy sprzeciwu. Jack, gość honorowy, przeprosił zebranych i wyszedł zapalić; działo się to w czasach, gdy jeszcze palił, zanim kardiolog ostrzegł go, że jeśli nie rzuci papierosów, umrze).

Podczas gdy Dłoń podglądała spod toaletki, Violet zrzuciła szatki, po czym weszła pod prysznic, zostawiając drzwi łazienki uchylone, dzięki czemu zarówno Dłoń, jak i czytelnik mogli się sycić ponętnym widokiem. Dalej następuje opis soczystych różowych krągłości. Dzisiaj Jack wie, że w tym fragmencie przedobrzył, ale to typowe dla dwudziestodwulatków. (Reżyser pierwszego filmu nakręcił scenę pod prysznicem jako hołd dla *Psychozy* Alfreda Hitchcocka – stylistyka jak najbardziej na miejscu, skoro pierwszą Violet grała SueEllen Blake, jasnowłosa półbogini, połączenie Janet Leigh z Tippi Hedren. Jack uganiał się za SueEllen bez wytchnienia, ale spotkał go zawód. Aktorka okazała się na tyle narcystyczna, że w ramach gry wstępnej przyjmowała dary i akty uwielbienia, jednakowoż nie lubiła seksu i wprost nie cierpiała, gdy rozmazywał się jej makijaż.

W czasach studenckich Irena nigdy nie stosowała makijażu, pewnie z powodu braku pieniędzy, ale dzięki temu zachowywała świeżą delikatność; wolna od

upiększeń była naprawdę sobą, niczym wyluskana z muszli ostryga. Poza tym nie zostawiała beżowych i czerwonych smug na poszewkach poduszek. (Z perspektywy czasu Jack zaczął to doceniać).

Obserwując, jak Violet namydła rozmaite części ciała, Dłoń z trudem panowała nad sobą, ale mimo to nie zdradziła swojej obecności. Cierpliwie czekała, podczas gdy Violet wzbogacano o kolejne przymiotniki. Dłoń, czytelnik oraz Violet podziwiali ciało tej ostatniej, gdy wycierała się i kusząco nakładała aromatyczny balsam na nieskazitelne kremowe krągłości. Następnie wślizgnęła się w obcisłą suknię ze złotymi cekinami, podkreśliła pełne usta rubinową szminką, zapięła migotliwy naszyjnik na łabędziej szyi podatnej na duszenie, zarzuciła bezcenne białe futro na miękkie, zapraszające ramiona, wreszcie wyszła, kołysząc biodrami tak, że szczęka opadała. Dłoń, rzecz jasna, nie miała szczęki, która mogłaby opaść, ale i tak cierpiała erotyczne katusze, sugerowane w obu filmach przez wprost odrażające węzowe ruchy.

Po wyjściu Violet z pokoju Dłoń poszperała w jej biurczku, w którym znalazła różowy papier listowy z inicjałami Violet. Srebrnym piórem wiecznym napisała wiadomość pismem zmarłego Williama, które oczywiście pamiętała.

„Zawsze będę cię kochał, droga Violet. Nawet po śmierci. Na wieki twój, William”.

Dłoń położyła liścik na poduszce, dołączając czerwoną różę z bukietu na toaletce. Bukiet był świeży, ponieważ Alf od alfa romeo codziennie przysyłał Violet tuzin czerwonych róż.

Następnie Dłoń smyrnęła do szafy Violet i ukryła się w pudle z butami w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń. W pudle znajdowały się te same wyzywające czerwone buty, które Violet miała na nogach, kiedy bezlitośnie odrzuciła Williama, a symbol ów nie umknął uwadze Dłoni. Triumfalnie przesunęła długimi paznokciami uschniętych palców po czerwonej skórze jak po fetyszu. (Scena ta była dogłębnie analizowana w artykułach, głównie francuskich i hiszpańskich, których autorzy widzieli w filmie – oryginalnym, nie lekceważonym przez europejskich kinomanów remake’u – późny przykład purytańskiego amerykańskiego neosurrelizmu. Jack miał to wszystko gdzieś: zależało mu jedynie na scenie orgazmu martwej dłoni i pary ostrych butów).

Dłoń czekała w pudle całymi godzinami. Nie miała zresztą nic przeciwko temu, żadna inna czynność poza czekaniem jej nie nęciła. W oryginalnym filmie, nie

remake'u, co pewien czas bębniła palcami, sugerując zniecierpliwienie, ale dodano to później, na polecenie reżysera. Stanislaus Ludz, ekscentryk uważający się za kogoś w rodzaju Mozarta horroru, który później skoczył do morza z holownika, był zdania, że dłoń leżąca beczynnym w pudle nie ma w sobie niezbędnego napięcia.

W obu filmach akcja przenosiła się tam i z powrotem, od Dłoni w pudle z butami do Violet i Alfa, którzy tańczyli w nocnym klubie policzek przy policzku, udo przy udzie; Alf muskał palcami ozdobioną biżuterią szyję Violet, szepcząc: „Wkrótce będziesz moja”. Jack nie zamieścił w książce sceny w nocnym klubie, ale zrobiłby to, gdyby mu przyszła do głowy. Przyszła mu, gdy pracował nad scenariuszem – oboma scenariuszami – więc w zasadzie na jedno wychodzi.

Po tańcach, muskaniu palcami i oczekiwaniu Violet wróciła do pokoju. Wcześniej wychyliła kilka kieliszków szampana – ze zbliżeniami na przetyk – i rzuciła się na łóżko, nie zważając na liścik Dłoni i różę na poduszce. Violet miała dwie poduszki, a liścik i róża leżały na drugiej, co tłumaczyło, dlaczego nie zauważyła kartki ani nie ukłuła się cierniami.

Jakie emocje targają Dłonią, którą ponownie wzgardzono? Smutek czy gniew? A może jedno i drugie? Trudno to stwierdzić w przypadku dłoni.

Wychynęła z szafy i po niedbale rzuconej kapie podpełzła do Violet, która spała w koronkowym negliżu. Czyżby zamierzała ją udusić? Upiorne palce zawisły nad szyją – krzyki na widowni – ale nie, wciąż ją kochała. Dłoń zaczęła czule, z tęsknotą gładzić włosy Violet, wreszcie, nie mogąc się powstrzymać, pogłaskała policzek śpiącej.

Violet obudziła się i w świetle księżyca dostrzegła na poduszce coś na kształt wielkiego pięcionogiego pająka. Kolejne krzyki, tym razem Violet. Zanim dygocząca ze strachu Violet zdołała zapalić nocną lampkę, Dłoń zdążyła się ukryć pod łóżkiem.

Zaplakana Violet zadzwoniła do Alfa, bełkocząc w słuchawkę, jak to mają w zwyczaju dziewczyny w podobnych okolicznościach, Alf zaś po męsku pocieszył ukochaną, wyjaśniając, że musiał się jej przyśnić koszmar. Uspokojona odłożyła słuchawkę i już miała zgasić lampkę, gdy jej wzrok padł na różę, a zaraz potem na kartkę z tak jej niegdyś drogim pismem Williama.

Szeroko otwarte oczy. Zduszony krzyk. To nie mogło dziać się naprawdę! Zbyt przestraszona, żeby zostać w sypialni dość długo, by ponownie zadzwonić do Alfa,

zamknęła się w łazience, gdzie spędziła bezsenną noc w wannie niedostatecznie przykryta ręcznikami. (W książce Violet dręczą wspomnienia o Williamie, jednak w obu filmach zrezygnowano z nich na rzecz obgryzanych paznokci i tłumionego szlochu).

Rankiem ostrożnie weszła do sypialni zalanej radosnym światłem słonecznym. Ani śladu różowego liściku, Dłoń dopilnowała, by znikł. Róża ponownie tkwiła w wazonie.

Głęboki wdech. Westchnienie ulgi. Mimo wszystko był to tylko koszmar. Violet kilkakrotnie nerwowo obejrzała się za siebie, oblekła pośladki w drogą wąską spódnicę i poszła na lunch z Alfem.

Dłoń ponownie zabrała się do pracy. Wertując dziennik Violet, nauczyła się podrabiać jej pismo. Wykrađa kilka różowych kartek i napisała gorący, wyuzdany list miłosny do innego mężczyzny, proponując kolejną schadzke w zwykłym miejscu, odwiedzanym przez prostytutki tanim motelu za miastem, obok outletu z dywanami. „Kochanie, wiem, że to ryzykowne, ale muszę cię zobaczyć”, pisała. Dalej padały lekceważące uwagi na temat Alfa i jego nieudolności w łóżku, ze szczególnym uwzględnieniem rozmiarów fiutka. Liścik kończyły wizje rozkosznego życia po tym, jak zamożny Alf poślubi Violet, a następnie usuną go ze sceny. Wystarczy odrobina antymonu w drinku. W ostatnim akapicie domniemana Violet wyznaje, że nie może się doczekać chwili, gdy węgorz elektryczny (zmyślonego) kochanka ponownie wślizgnie się do jej wilgotnego, pulsującego gniazda wodorostów.

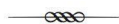
(Obecnie nie używałoby się takich eufemizmów, tylko nazywało rzeczy po imieniu. W tamtych czasach istniały jednak granice słów dopuszczalnych w druku. Jack ubolewa nad zniesieniem dawnych tabu, ponieważ skłaniały autorów do sięgania po oryginalne metafory. Dzisiejsi pisarze na okrągło używają słów na CH i P, co go śmiertelnie nudzi. Czyżby stał się starym pierdzielem? Nie, obiektywnie rzecz biorąc, to jest nudne).

Zmyślony kochanek miał na imię Roland. W prawdziwym życiu istniał Roland, dawny wielbiciel Violet, który niczego jednak nie wskórał. Violet wołała przystojnego Williama, czemu trudno się dziwić, bo Roland był nie tylko nudnym jak flaki z olejem ekonomistą, ale także wrednym, małostkowym dupkiem, nieco przypominającym Roda z tym jego zielono-brązowym notesikiem. Fiut, fujara, frajer.



Inwektywy brzmiały zbyt muzycznie, więc Jack je wykreślił. Potem utonął w napędzanych kofeiną rozmyślaniach: czemu męski członek miałby stanowić inwektywę? Żaden mężczyzna nie darzył nienawiścią swego ptaka, wprost przeciwnie. Może afrontem był fakt, że inni mężczyźni również je posiadali. Tak, to musiało być to. Jack postanowił wyszlifować swoją tezę i popisać się nią na kolejnym przyjęciu, kiedy szermierka intelektualna za bardzo da mu się we znaki.

Koniec z odkładaniem pracy na później. Przed snem Jack musiał napisać jeszcze kilka stron. Musiał rozlać krew.



– Przyniosłam ci zupę – oznajmiła Irena, która bezszelestnie weszła po schodach do dziupli Jacka. Talerz i miskę postawiła na stoliku brydżowym, używanym przez Jacka jako biurko. Oprócz zupy grzybowej dostał krakersy.

– Dzięki – powiedział Jack. Taką opiekę rozumiał. Zapragnął chwycić odzianą w fartuch talię, obezwładnić Irenę nieposkromioną siłą życiową i przygwoździć do podłogi, gdzie omdlałaby i uległa. Ale nie czas na to. Należało zmasakrować Rolanda, zniszczyć Alfa i śmiertelnie przerazić Violet. Najpierw to, co najważniejsze.

W ciągu kolejnych dni Jack musiał się cofnąć do początku powieści i umieścić tam Rolanda, skoro okazał się niezbędny dla przebiegu akcji. Poproszona o nożyczki i taśmę klejącą Irena błyskawicznie je dostarczyła: wszystko, co wskazywało na postęp w pracy, sprawiało, że dwoiła się i troiła, by pomóc.

Dłoń ukryła liścik do Rolanda w koronkowej bieliźnie Violet. Na innej różowej kartce napisała anonimową wiadomość następującej treści: „Głupiec z ciebie, Alf. Ona cię zdradza. Zajrzyj pod łaszki w drugiej szufladzie komody”, potem zbiegła po bluszczu, przemknęła przez miasto do luksusowego apartamentu Alfa i wspięła się szybem windy na dach, trzymając anonimowy liścik między małym palcem a serdecznym. Demaskatorski liścik wsunęła pod drzwi, smyrnęła z powrotem do domu Violet, gdzie ukryła się w filodendronie.

Po powrocie z lunchu – Jack uznał, że to zręczny zabieg – Violet zaczęła przymierzać suknię ślubną przy pomocy pulchnej oddanej krawcowej, wzbogacającej powieść o akcenty komiczne. Właśnie wtedy Alf, czerwony jak burak, wpadł, rzucając szalone oskarżenia, i zaczął wyrzucać z szuflad komody

majteczki Violet. Czyżby postradał zmysły? Nic podobnego: oto płomienny list napisany ręką Violet na jej własnej papeterii!

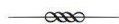
Łkając poruszająco, Violet – która zdążyła podbić serca widzów – zapewniła, że nigdy nie napisała niczego podobnego ani nie widziała Rolanda od, cóż, od bardzo dawna. Potem opowiedziała Alfowi o wydarzeniach minionej nocy oraz o przerażającym liście znalezionym na poduszce.

Stało się jasne, że ktoś spletał kochankom paskudnego psikusa, a tym kimś musiał być ten zazdrosny szczur Roland, mający nadzieję zasiać między nimi ziarno niezgody i zgarnąć Violet dla siebie. Alf przysiągł, że wyjaśni całą sprawę, skonfrontuje się z Rolandem i wycisnie z niego prawdę, a im wcześniej się to stanie, tym lepiej.

Violet błagała go, by nie postępował pochopnie, ale to jedynie wzbudziło jego podejrzenia. Dlaczego chroniła Rolanda przed jego słusznym gniewem? Jeżeli nie mówiła prawdy, skręci jej ten śliczny kark, warknął, a w ogóle co się stało z listem, który jakoby znalazła na poduszce? Kłamała? Alf chwycił zapłakaną Violet za gardło, wściekle pocałował, po czym rzucił na biurko. Na tym etapie zarówno czytelnik, jak i Violet zaczęli się obawiać, że Alf jest nieźrównoważony. Szkarłatnoskrzydły anioł gwałtu unosił się w pokoju, jednak Alf zadowolił się przekleństwami. Świeży bukiet róż cisnął na podłogę, wazon się roztrzaskał, co dało później bogaty materiał do przemyśleń zarówno freudystom, jak i zwolennikom Junga.

Gdy tylko Alf wypadł z pokoju, Violet znalazła kolejny list na toaletce, na której jeszcze przed chwilą go nie było. „Nie powinnaś należeć do nikogo poza mną. Śmierć nie może nas rozłączyć. Uważaj na szyję. Twój na wieki, William”.

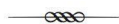
Violet otwierała i zamykała usta jak ryba wyrzucona na brzeg. Krzyk uwiązał jej w gardle. Ktokolwiek pisał te liściki, przebywał w tej chwili w domu razem z nią! Po wyjściu krawcowej Violet została sama. To było zbyt straszne!



Im straszniejsze stawały się wypadki, tym szybciej Jack pisał. Wlewał w siebie morze kawy rozpuszczalnej, jadł fistaszki i zadowalał się zaledwie kilkoma godzinami snu. Irena, zafascynowana rozpierającą go energią, przynosiła mu zapiekanekę z makaronu, by wspierać wysiłki twórcze. Posunęła się nawet do prania ubrań Jacka, sprzątnięcia jego pokoju i zmieniania mu pościeli.

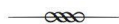
Właśnie po zmianie pościeli Jackowi udało się zaciągnąć Irenę do łóżka. Czy może to ona go zaciągnęła? Nigdy nie miał pewności. Tak czy inaczej wylądowali w łóżku, a Jacka mało obchodziło, jak do tego doszło.

Od bardzo dawna marzył o podobnym wydarzeniu, fantazjował na jego temat, snuł plany, teraz jednak, gdy nadarzyła się sposobność, załatwił sprawy raz-dwa i nie okazał czułości, kiedy było po wszystkim. Niemal natychmiast zapadł w sen. Przyznaje, że nie zachował się zbyt szarmancko, ale nie stało się tak bez powodu: był młody, przemęczony, miał sporo na głowie. Musiał oszczędzać energię, ponieważ zbliżał się do sceny finałowej.



Alf miał stłuc Rolanda na miazgę w ataku szału. Następnie, brocząc krwią, miał wsiąść do alfa romeo, gdzie na obitym skórą siedzeniu czaiła się Dłoń, która próbowała udusić go od tyłu. Z tego powodu Alf miał stracić panowanie nad kierownicą, uderzyć w wiadukt i spłonąć. Ciężko poparzona Dłoń miała wypełznąć ze zniszczonego samochodu i pokuśtykać do domu Violet.

Nieszczęsna dziewczyna dowiedziałyby się od policji o zamordowaniu Rolanda oraz śmiertelnym wypadku i całkowicie rozsypała psychicznie. Lekarz przepisałby jej środki uspokajające. Zapadając w sen, zobaczyłaby pokrytą pęcherzami, zwęgloną, niepohamowaną Dłoń, która mimo bólu wytrwale pełzaby ku niej po poduszce...

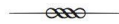


– O czym piszesz? – spytała Irena leżąc na poduszce Jacka lub na jednej z poduszek. Obecnie posiadał dwie: drugą przyniosła sama Irena. Regularnie odwiedzała jego klitkę na strychu. Czasem przynosiła kakao i coraz częściej zostawała na noc, chociaż jej pupy nie dało się nazwać kościstą, a w staromodnym podwójnym łóżku Jacka brakowało miejsca. Dotychczas Irena zadowalała się rolą służącej geniusza. Ponieważ, w przeciwieństwie do Jacka, szybko i sprawnie pisała na maszynie, zaproponowała, że przepisze rękopis, ale autor odmówił. Po raz pierwszy okazała zainteresowanie treścią powstającego dzieła, choć zakładała, że Jack tworzy Literaturę. Nie miała pojęcia, że klepie tani horror o zaschniętej dłoni.

– Piszę o materializmie naszych czasów z perspektywy egzystencjalnej – wyjaśnił Jack. – Inspirowałem się *Wilkiem stepowym*. (*Wilk stepowy*, jak śmiał, myśli

teraz Jack. W sumie to jednak wybaczalne. *Wilk stepowy* nie zyskał jeszcze wulgarnej popularności, jaka czekała na niego za rogiem). Odpowiedź nie mijała się całkowicie z prawdą, ale należało ją uznać za mocno naciąganą.

Irena wyglądała na zadowoloną. Lekko pocałowała Jacka, założyła czarną, pozwalającą oszczędzać na praniu bieliznę, po czym zeszła na dół odgrzać klopsy na wspólny posiłek.



Jack ukończył wreszcie ostatni rozdział i spał dwanaście godzin. Nic mu się nie śniło. Potem skoncentrował się na sprzedaży dzieła, ponieważ, jeśli nie pokaże, że stara się zdobyć pieniądze na zaległy i przyszły czynsz, może zostać haniebnie wykopany na bruk. Nikt nie mógł mu zarzucić beczynności. Nie żałował sił, przepisując powieść na maszynie – Irena świadkiem: zapisał gruby plik kartek – może więc współlokatorzy dadzą mu punkty za to, że próbował.

W Nowym Jorku działało kilka wydawnictw specjalizujących się w horrorach i powieściach grozy, więc Jack zaopatrzył się w brązowe koperty i wysłał powieść do trzech. Wcześniej, niż się spodziewał – w zasadzie nie spodziewał się niczego – otrzymał krótką odpowiedź. Powieść została przyjęta. Jackowi zaproponowano zaliczkę, może niezbyt wysoką, ale wystarczyło na opłacenie zaległego czynszu i na to, żeby nie martwił się nim do końca semestru.

Pieniądzy starczyło nawet na przyjęcie, które wydał przy pomocy Ireny. Wszyscy mu gratulowali, pytali o datę publikacji arcydzieła i wydawcę. Jack uchylał się od odpowiedzi, palił trawę, wypił za dużo porto Old Sailor i grogu, a potem wyrzygał kulki serowe przygotowane przez Irenę w uznaniu dla jego talentu. Bynajmniej nie myślał z utęsknieniem o ukazaniu się książki. Szydło wyjdzie z worka, a jego współlokatorzy z pewnością rozpoznają własne karykatury. Prawdę mówiąc, Jack nie wierzył, że powieść ujrzy światło dzienne.

Doszedł do siebie po przyjęciu, pozdawał egzaminy, uzyskał dyplom (bez wyróżnienia), po czym okazało się, że treścią jego życia ma być reklama. Mówiono mu, że łatwo mu przychodzą przymiotniki i przysłówki, co może się okazać pomocne, kiedy nauczy się tajników zawodu. Co prawda czworo współlokatorów zrezygnowało z wynajmowania domu, ale Jack znalazł własny kąt. Nadal obsługiwał Irenę, która postanowiła studiować prawo. Seks z nią stanowił nieustanne objawienie. Pierwszy raz był pełen zapału, a kolejne w niczym mu nie

ustępowały, chociaż Irena kategorycznie opowiadała się za tradycyjną pozycją na misjonarza. Nie była zbyt rozmowna, co Jack doceniał – tym więcej mógł mówić sam – ale nie miałby nic przeciwko temu, by czasem rzuciła uwagę na temat jego dokonań. Ponieważ sypiał tylko z nią, z niczym nie mógł tego porównać. Czy nie powinna więcej jęczeć? Jack musiał się zadowolić niezgłębionym spojrzeniem jej niebieskich oczu. Wielbiły go? Taką miał nadzieję.

Łóżkowa zręczność Ireny nie pozostawiała wątpliwości, że ona miała materiał do porównań, choć taktownie o tym nie wspominała – kolejna rzecz, którą Jack doceniał. Nie była jego pierwszą miłością – tu palma należy się Lindzie, brunetce z kucykami w drugiej klasie podstawówki – ale to z Ireną po raz pierwszy uprawiał seks. Na dobre i na złe Irena okazała się kamieniem milowym. Bez względu na inne okoliczności zajmuje specjalne, uświęcone miejsce w umyśle Jacka: Święta Irena od Orgazmu. Jak się okazało, gipsowa święta, ale wciąż obecna: zdejmuje praktyczne czarne majteczki, jej uda bieleją jak rozświetlone od wewnątrz, wzrok ma spuszczone, lecz przebiegły, lekko uchylone usta uśmiechają się tajemniczo. Ten obraz różni się diametralnie od nieprzejednanej, chciwej jędzy, która dwa razy do roku spienięża jego czeki. Jack nie potrafi pogodzić ze sobą tych dwóch wizerunków.

W ciągu następnych kilku miesięcy Irena kupiła mu komplet misek kuchennych oraz kosz na odpadki, ponieważ ich potrzebował – czytaj: ona ich potrzebowała, jeśli miała przygotowywać dla nich posiłki – co więcej, kilkakrotnie wysprzątała łazienkę. Nie tylko wprowadzała się do Jacka w sensie fizycznym, ale zaczynała rządzić. Nie aprobowała jego pracy w reklamie. Jej zdaniem powinien zacząć tworzyć kolejne dzieło, a tak przy okazji, czy przypadkiem jego debiutancka powieść – Irena marzyła o jej przeczytaniu – nie miała się wkrótce ukazać? O *Martwej dłoni* nie było żadnych wieści, a Jack liczył na to, że wydawca zostawił rękopis w taksówce.

Aż tak mu się jednak nie poszczęściło. Podobnie jak tytułowa odcięta dłoń powieść wypełzła na powierzchnię i zadebiutowała na półkach sklepowych w całym kraju. Jack miał już u siebie sporo mebli, w tym puf oraz przyzwoity system nagłaśniający, posiadał też trzy garnitury z dopasowanymi krawatami. Żałował, że podpisał książkę własnym nazwiskiem zamiast użyć pseudonimu: czy nowi pracodawcy na wieść o tym, że napisał coś takiego, nie uznają go za zbrojeńca? Mógł się jedynie przyczaić w nadziei, że nikt nie zauważy.

I tym razem szczęście mu nie dopisało. Kiedy Irena odkryła, że arcydzieło Jacka ukazało się drukiem, a on jej nie powiadomił, wybuchła nieprzyjemna kłótnia. Kolejne ostre słowa padły, gdy przeczytała powieść i zobaczyła, z jakim arcydziełem ma do czynienia: Jack bezwstydnie rozmienił się na drobne, to było poniżej jego godności, w dodatku w postaciach bohaterów bez trudu można było rozpoznać jego dawnych współlokatorów, w tym samą Irenę.

– Czyli to właśnie o nas myślisz! – wybuchła.

– Przecież Violet jest piękna – protestował Jack. – Bohater ją kocha!

Argument nie zdołał jej przekonać. Według Ireny miłość zaschniętej dłoni, nawet bezgranicznie oddanej, nie była powodem do dumy.

Ostateczny cios padł po tym, jak Irena przewertowała korespondencję Jacka – nigdy nie powinien był jej dawać kluczy do mieszkania – i odkryła, że zamiast dzielić się z udziałowcami, sam zagarniał honorarium. Nie szanował zawartej umowy! Był gównianym pisarzem, gównianym kochankiem i w dodatku oszustem, oświadczyła Irena. Zamierzała niezwłocznie skontaktować się z Jaffreyem i Rodem i wyobrażała sobie, co na ten temat powiedzą.

– Całkowicie zapomniałem o tej umowie – wyjaśnił Jack. – Zresztą ona nie jest prawdziwa, to tylko żart...

– To jest prawdziwa umowa – powiedziała lodowato Irena, która zdążyła osiąść na ten temat sporą wiedzę. – Została zawarta ze stosownym zamiarem.

– Dobra. Zamierzałem się z wami podzielić. Po prostu nie zdążyłem.

– Dobrze wiesz, że to bzdury.

– Odkąd to potrafisz czytać w moich myślach? Sądzisz, że wszystko o mnie wiesz. Tylko dlatego, że cię pieprzę...

– Nie życzę sobie takiego języka – oświadczyła Irena pruderyjna w kwestii słownictwa i żadnej innej.

– Jak mam to nazwać? Kiedy to robię, całkiem ci się podoba. Dobrze, tylko dlatego, że wtykam swoją marchewkę w twoją często odwiedzaną...

Tup, tup, tup. Po podłodze i za drzwi. Trzask. Czy Jacka to uradowało, czy zasmuciło?

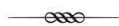
Potem przyszedł list od prawnika reprezentującego troje rozgniewanych udziałowców. Żądania. Groźby. Kapitulacja Jacka. Mieli go w garści. Zgodnie z tym, co twierdziła Irena, umowa została zawarta ze stosownym zamiarem.

Odejście Ireny zmartwiło Jacka bardziej, niż był gotów przyznać. Próbował naprawić szkody. Co takiego zrobił, pytał. Dlaczego spisała go na straty?

Bez skutku. Irena podsumowała go i stwierdziła, że czegoś mu brakuje, nie chciała o tym rozmawiać, nie było nikogo innego, nie zamierzała dać im jeszcze jednej szansy. Owszem, Jack mógł coś zrobić – już wcześniej powinien był – ale fakt, że nie miał pojęcia, o co chodzi, stanowił kolejny dowód, że miała rację, odchodząc.

Czego chciała, pytał bez przekonania. Czemu nie chciała mu powiedzieć? Irena milczała. Jack nie krył zdumienia.

Topił swoje smutki, ale te, podobnie jak inne utopione rzeczy, miały zwyczaj wypływania na powierzchnię w najmniej spodziewanym momencie.



W zaistniałej sytuacji nie brakowało jasnych stron. *Martwa dłoń cię kocha* stała się przebojem w swoim gatunku, jakkolwiek pogardzanym przez poważnych znawców literatury. Jak to ujął redaktor Jacka: „Zgadza się, ta powieść to gówno, ale dobre gówno”. Jeszcze lepsza była umowa na ekranizację, a czy można sobie wyobrazić lepszego scenarzystę niż Jack? Któż lepiej niż on nadawał się do napisania kontynuacji *Martwej dłoni* lub innego dobrego gówna? Jack porzucił pracę w reklamie i zaczął żyć z pióra. Dokładnie rzecz biorąc, z remingtona, wkrótce zastąpionego przez IBM Selectric, z głowicą pozwalającą na zmianę fontów. Czadowo, co?

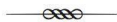
Życie literata miało swoje wzloty i upadki. Prawdę mówiąc, Jack nigdy nie powtórzył sukcesu debiutanckiej powieści, nadal stanowiącej jego główny asumpt do sławy i przynoszącej lwią część zysków. Z powodu umowy zawartej w czasach studenckich zyski te są czterokrotnie niższe, niż powinny być. Ta świadomość uwiera Jacka jak zadra. W miarę upływu czasu coraz trudniej kleić mu słowa, a świadomość uwiera coraz bardziej. *Martwa dłoń* była jego *opus magnum*, nigdy nie zdoła powtórzyć tego sukcesu. Co gorsza, Jack jest w wieku, kiedy młodszy, bardziej perwersyjni pisarze traktują go protekcjonalnie i lekceważąco. *Martwa dłoń*, no tak, to był kamień milowy, ale jak na dzisiejsze standardy to powieść ugrzeczniona.

Violet nie wypruto wnętrzości. Nie było scen tortur, niczyjej wątroby nie usmażono na patelni, nie doszło do żadnego zbiorowego gwałtu. Gdzie tu zabawa?

Młodzi, z irokezami i kolczykami w nosie, są skłonni rezerwować swój podziw dla filmu, zamiast dla książki, oczywiście oryginalnego, nie remake'u. Zgoda, remake był bardziej dopracowany, jeśli komuś na tym zależy. Bardziej wartościowy pod względem technicznym, owszem, miał lepsze efekty, ale brakowało mu świeżości, tej surowej, prymitywnej energii. Remake był zbyt uładzony, nieśmiały, brakowało mu...

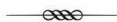
*Oto nasz dzisiejszy gość, Jack Dace, nestor horroru. Co pan sądzi na temat filmu, panie Dace? Tego drugiego, nieudanego. Ach tak, to pański scenariusz? Kurczę, kto by przypuszczał. W tamtych czasach nikt z nas się jeszcze nie urodził, prawda, chłopaki? Chacha, Marsha, wiem, że nie jesteś facetem, ale jesteś facetem honorowym. Masz większe jaja niż połowa facetów na widowni. Mam rację? Głupawe chichoty.*

Czy Jack też kiedyś był równie grubiański i pozbawiony hamulców? Owszem.



W zeszłym tygodniu otrzymał propozycję napisania miniserialu telewizyjnego powiązanego z grą wideo. Zdaniem jego prawnika zarówno serial, jak i gra podlegały dawnej czterostronnej umowie. W Austin w Teksasie, gdzie wprost roi się od czadowych nerdów, ma się odbyć sympozjum poświęcone Jackowi Dace'owi i jego twórczości, ze szczególnym uwzględnieniem powieści *Martwa dłoń cię kocha*. Cała ta wzmożona aktywność oraz towarzyszący jej szum w mediach społecznościowych doprowadzą do zwiększenia sprzedaży książek, więcej będzie różnorodnych zysków, te zaś – kurwa! – trzeba będzie podzielić na cztery. To jego ostatnie tchnienie, ostatni triumf, ale nie będzie mu dane się nim nacieszyć, nacieszy się tylko jedną czwartą. Ten podział na cztery woła o pomstę do nieba, trwa już stanowczo za długo. Coś musi się zmienić, ktoś musi zniknąć. A może kilka osób.

Jak sprawić, by wyglądało to naturalnie?



Jack wiedział, co się działo z tamtą trójką, nie miał wyjścia, musiał wiedzieć. Ich prawnicy nie pozwolili, by zapomniał o dawnych przyjaciółach.



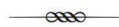
Rod był przez krótki czas mężem Ireny, ale rozstali się dawno temu. Po wielu latach pracy w międzynarodowej firmie brokerskiej przeszedł na emeryturę i zamieszkał w Sarasota na Florydzie, gdzie ochotniczo służy doradztwem finansowym w środowiskach baletowych i teatralnych.

Jaffrey – który również był krótko mężem Ireny, ale po Rodzie – mieszkał w Chicago, gdzie oddał swój talent dyskusyjny na usługi polityki municypalnej. Czternaście lat temu o mały włos nie skazano go za łapówkarstwo, ale się wywinął i działał dalej jako szara eminencja, spin doktor i konsultant kandydatów.

Irena nadal mieszka w Toronto, gdzie kieruje firmą zbierającą fundusze na szczytne, niedochodowe cele, na przykład na nerki. Jako wdowa po człowieku, który zbił fortunę na potażu, wydaje liczne ekskluzywne przyjęcia. Co roku przysyła Jackowi życzenia na Boże Narodzenie, dołączając szablonowe sprawozdanie ze swej banalnej działalności społecznej.

Jack nie jest w złych stosunkach z żadnym z trojga dawnych przyjaciół, już dawno temu dał im do zrozumienia, że pogodził się z sytuacją. Mimo to nie widział ich od lat. W zasadzie od dziesięcioleci. Niby po co? Nie chciał, żeby przeszłość odbijała mu się czkawką.

Aż do teraz.



Postanawia zacząć od Roda, mieszkającego najdalej. Zamiast pisać e-mail, zostawia wiadomość głosową: będzie przejeżdżał przez Sarasotę w związku z filmem, który rozważa – szukał odpowiednich plenerów – może więc Rod miałby ochotę spotkać się i nadrobić zaległości? Jack jest przygotowany na odmowę, ale ku jego zaskoczeniu Rod wyraża zgodę.

Nie spotykają się w restauracji ani nawet w domu Roda. Spotykają się w przygnębiającej kawiarni buddyjskiego ośrodka opieki paliatywnej, gdzie Rod aktualnie mieszka. Wszędzie suną biali w szafranowych szatach, uśmiechając się dobrotliwie, w oddali rozbrzmiewają dzwonki, słysząc mantry.

Dawniej korpulentny Rod wychudł, cerę ma żółtoszarą, przypomina pustą rękawiczkę.

– Rak trzustki – informuje Jacka. – To wyrok śmierci.

Jack zgodnie z prawdą mówi, że o niczym nie wiedział. Mówi też – skąd człowiek bierze te wyświechtane banały? – że ma nadzieję, iż Rod otrzymuje

należyta opiekę duchową. Rod odpowiada, że nie jest buddystą, ale oni znają się na śmierci, a ponieważ nie ma rodziny, równie dobrze może mieszkać tutaj.

Jack zapewnia, że jest mu przykro. Rod na to, że mogło być gorzej, wcale nie narzeka. W sumie mu się poszczęściło, częściowo dzięki Jackowi – jakież to łaskawe ze strony Roda – ponieważ zyski z *Martwej dłoni* pozwoliły mu stanąć na nogi.

Siedzą tak, wpatrzeni w wegetariańskie potrawy ze świątyni. Niewiele pozostało do omówienia.

Jack z ulgą przyjmuje wiadomość, że jednak nie będzie musiał zabić Roda. Naprawdę posunąłby się tak daleko? Odważyłby się? Najpewniej nie. Nie darzył Roda wystarczającą antypatią. To kłamstwo: nie lubił Roda, ale nie na tyle, żeby go zabić, wtedy czy teraz.

– Tak naprawdę nie byłeś Rolandem – mówi Jack. Cierpiącemu małemu draniowi należy się przynajmniej takie kłamstwo.

– Wiem – mówi Rod i posyła Jackowi wodnisty uśmiech. Odziana w pomarańczową szatę kobieta w średnim wieku przynosi im zieloną herbatę. – Dobrze się bawiliśmy, prawda? W tamtym starym domu. Żyliśmy w bardziej niewinnych czasach.

– Tak, dobrze się bawiliśmy – przyznaje Jack. Z perspektywy lat tak to właśnie wygląda. Zabawa polega na tym, że człowiek nie wie, że się skończy.

– Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć – mówi w końcu Rod. – O tej twojej książce i umowie.

– Nie przejmuj się tym – mówi Jack.

– Nie, posłuchaj – przerywa mu Rod. – Jest umowa na boku.

– Jak to na boku? – pyta Jack.

– My troje zawarliśmy umowę na boku. Jeśli któreś z nas umrze, udziały tej osoby przechodzą na pozostałą dwójkę. To był pomysł Ireny.

Nic dziwnego, myśli Jack. Irena nigdy nie przepuszczała okazji.

– Rozumiem – mówi Jack.

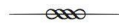
– Wiem, że to nieuczciwe – przyznaje Rod. – Te pieniądze powinny trafić do ciebie. Ale Irena się wściekła z powodu portretu Violet w książce. Uznała, że to złośliwość z twojej strony. Po tym jak była, cóż, taka dobra dla ciebie.

– To nie była żadna złośliwość – prostuje Jack. Kolejne kłamstewko. – A gdybyście umarli wszyscy troje?

– Wtedy nasze udziały wracają do ciebie – mówi Rod. – Irena chciała, żeby wszystko poszło na jej nerki, ale powiedziałem: stop.

– Dzięki – mówi Jack. Zatem ostatni gasi światło. Przynajmniej teraz ma pełen obraz sytuacji. – Dzięki, że mi powiedziałeś. – Ścisła omdlałą dłoń Roda.

– To tylko pieniądze, Jack – mówi Rod. – Wierz mi, kiedy jest po wszystkim, forsa nie ma znaczenia. Opuść.



Kiedy Jack kontaktuje się z Jaffreyem, ten jest zachwycony, przynajmniej tak twierdzi. Ech, gdzie te czasy bujnej młodości?! Człowiek oddychał pełną piersią! Jaffrey najwyraźniej zapomniał, że tamte wspaniałe czasy poświęcał między innymi na oskubywanie Jacka, ale ponieważ całe swoje życie poświęcił oskubywaniu ludzi na masową skalę, tamten pojedynczy kant niewątpliwie wypadł mu z głowy. Co nie znaczy, że nie umościł sobie miłego gniazodka dzięki zyskom Jacka.

Zgodnie z sugestią Jaffreya spotykają się na polu golfowym. Rozegrać rundkę, wypić kilka browarów – czy może być coś lepszego? Jack nie cierpi golfa, ale umie przegrywać, ma wprawę: przegrywanie z producentami filmowymi sprzyja projektom.

Chytrus z tego Jaffreya: pole golfowe to idealna kryjówka. Umożliwia poufną rozmowę, ale cały czas na widoku innych ludzi – Jack nie może niepostrzeżenie stuknąć starego gadatliwego oszusta. O, tak, Jaffrey naprawdę się postarzał: resztki włosów posiwiały, kręgosłup ma wygięty, brzuch obwisły. Jack nie jest może młodzikiem, ale przynajmniej zachował lepszą kondycję.

Jaffrey nadaje o tamtej ceglanej ruderze, w której setnie się bawili. Czy Jack słyszał, że na domu umieszczono tablicę upamiętniającą jego i *Martwą dłoń*? Kto by pomyślał, że wybiorą właśnie tę powieść? Zdumiewające, że ludzie błędnie uważają tę nieporadną książkę, pełną wytartych banałów, za jego dokonanie artystyczne! To typowe dla Francuzów. Według nich Jerry Lewis jest geniuszem, ale inni? Jaffrey zawsze uważał, że *Martwa dłoń* jest przekomiczna, może tylko przypuszczać, że Jack pisał ją z taką właśnie intencją. Oczywiście świetnie, że stała się taką żyłą złota, co? Dla wszystkich zainteresowanych. Chichot, mrugnięcie.

– Według Ireny książka wcale nie była zabawna – mówi Jack. – Była na mnie wściekła. Uważała, że ją oszukałem. Chciała, żebym pisał *Wojnę i pokój*, podczas gdy...

– Irena doskonale wiedziała, o czym jest – mówi Jaffrey z tym swoim przemądrzałym uśmiechem studenta filozofii. – Wtedy, kiedy nad nią pracowałeś.

– Jak to? – pyta Jack. – Co masz na myśli? Nigdy jej nie mówiłem...

– Irena to najbardziej wścibska kobieta, jaką znam – wyjaśnia Jaffrey. – Chyba wiem, co mówię, byłem jej mężem. Zdradziłem ją tylko siedem czy osiem razy, no, góra dziesięć, a ona za każdym razem natychmiast się dowiadywała. Okropnie gra się z nią w golfa. Nie podkradniesz jej nawet centymetra.

– Skąd niby miałyby wiedzieć? – pyta Jack. – Nikomu nie zdradziłem treści.

– Myślisz, że nie zaglądała do rękopisu przy każdej nadarzającej się sposobności? – pyta Jack. – Wystarczyło, że wyszedłeś do kibla, a Irenka wertowała kartki. Czytała zafascynowana. Pragnęła się dowiedzieć, czy uśmiercisz Violet. Poza tym potrafiła rozpoznać hit popkultury.

– Ale przecież potem zrobiła mi piekło – mówi Jack. – Nie rozumiem. – Odrobinę kręci mu się w głowie. Może dlatego, że nie przywykł do długiego przebywania na słońcu. – Irena zerwała ze mną z powodu tej książki. Twierdziła, że rozmieniam talent na drobne, nie przestawała gdakać.

– Nie to było powodem – mówi Jaffrey. – Irena była w tobie zakochana. Chciała, żebyś poprosił ją o rękę, chciała za ciebie wyjść. Nie zrobiłeś tego. Poczula się odrzucona.

– Przecież studiowała prawo! – wykrzykuje zdumiony Jack, co Jaffrey kwituje śmiechem.

– To nie jest żadna wymówka.

– Skoro tego właśnie chciała, czemu nie powiedziała? – mówi posepnie Jack.

– Żebyś ją odtrącił? – pyta Jaffrey. – Znasz ją. Nigdy nie postawiłaby się w tak niepewnym położeniu.

– Przecież mógłbym się zgodzić – zauważa Jack. Całe jego życie potoczyłoby się inaczej, gdyby się domyślił i zaryzykował. Lepiej czy gorzej? Nie ma pojęcia. Z pewnością inaczej. Na przykład teraz nie czułby się tak straszliwie osamotniony.

Jack nigdy się nie ożenił – ani z żadną z fanek, ani aktorek poznanych w trakcie pracy nad filmami. Podejrzewał, że wszystkie kochały jego książkę i/lub pieniądze

bardziej niż samego Jacka. Teraz jednak uzmysławia sobie, że Irena pojawiła się, zanim *Martwa dłoń* zalała półki księgarni, zanim osiągnął sukces. Niezależnie od wszystkiego nie mógł jej posądzać o niskie motywacje.

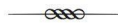
– Ona chyba nadal do ciebie wzdycha – mówi Jaffrey.

– Irena robiła mi piekło całymimi latami – zwraca mu uwagę Jack. – Nie odpuszczała w kwestii honorariów. Jeśli tak bardzo nienawidziła tej książki, nie powinna czerpać z niej zysków.

– W ten sposób utrzymywała z tobą kontakt – mówi Jaffrey. – Przyszło ci to kiedyś do głowy? – Potem opowiedział Jackowi o bardzo osobliwych warunkach rozvodu z Ireną: zażądała należnych mu zysków z powieści. Jaffrey przekazuje je Irenie, niemal natychmiast po tym, jak je dostaje. – Ona uważa, że cię zainspirowała – mówi. – Z tego tytułu pieniądze jej się należą.

– Może faktycznie mnie zainspirowała – przyznaje Jack.

Wcześniej rozważał rozmaite metody wysłania Jaffreya na tamten świat. Szpikulec do lodu w męskiej toalecie, pył radioaktywny dosypany do piwa? Rzecz wymagała planu, ponieważ po latach funkcjonowania jako szara eminencja Jaffrey z pewnością narobił sobie potężnych wrogów, a zarazem był wyczulony na niebezpieczeństwo. Jak się jednak okazuje, Jack mógł poniechać morderczych zamiarów. Jeśli chodzi o *Martwą dłoń*, Jaffrey przestał się liczyć: nie czerpie już z powieści żadnych zysków.

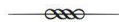


Jack pisze do Ireny list. Nie e-mail, ale list, ze znaczkiem i całą resztą. Chce stworzyć romantyczną atmosferę, uspić jej czujność, dzięki czemu będzie mógł zwabić ją w odludne miejsce i, metaforycznie rzecz ujmując, zepchnąć ze skały. Może zjedzą razem obiad, proponuje. Ma nowiny dotyczące ich wspólnej książki i chciałby się nimi podzielić. Prosi, żeby Irena wybrała restaurację, pieniądze nie grają roli. Naprawdę chciałby się z nią spotkać po latach. Irena zawsze była dla niego kimś wyjątkowym, nadal tak jest.

Irena nie odzywa się, potem jednak Jack otrzymuje odpowiedź. „Tak, spotkanie to dobry pomysł. Poza tym miło będzie wspominać długą, skomplikowaną podróż, którą odbywaliśmy zarówno razem, jak i oddzielnie, krocząc równoległymi, odmiennymi, a przecież tak podobnymi drogami. Musisz zdawać sobie sprawę z istnienia niewidzialnych wibracji, które połączyły nas ze sobą.

Z najserdeczniejszymi pozdrowieniami Twoja bardzo stara przyjaciółka Irena. PS: Nasze horoskopy przewidziały to spotkanie po latach”.

Jak ma rozumieć ten list? Czy wyraża miłość, nienawiść, obojętność, jest kamuflażem? A może Irenie najzwyczajniej w świecie odbiło?



Spotykają się w ekskluzywnej restauracji Canoe, którą lata świetlne dzielą od zapiekank z makaronem i tuńczykiem z czasów studenckich. Miejsce wybrała Irena. Dostali jeden z najlepszych stolików, z widokiem na rozświetlone miasto, przyprawiającym Jacka o zawrót głowy.

Jack odwraca wzrok od okna i przygląda się Irenie. Owszem, ma trochę zmarszczek, znacznie schudła, ale w sumie czas obszedł się z nią łaskawie. Wyraziste kości policzkowe nadają jej szacowny, wytworny wygląd. Zdumiewająco niebieskie oczy pozostają nieprzeniknione. Irena jest znacznie lepiej ubrana niż w czasach, gdy wynajmowali pokoje w tym samym domu, ale to samo da się powiedzieć o Jacku.

Kelner podaje im białe wino, cabernet sauvignon. Irena i Jack unoszą kieliszki.

– Zaczynamy od nowa – mówi Irena, a na jej ustach drży delikatny uśmiech. Czyżby się denerwowała? Jack nie pamięta, by kiedykolwiek tak było.

– Cudownie cię widzieć – mówi Jack, o dziwo zresztą nie kłamie.

– Mają tu wyjątkowo dobre foie gras – zapewnia Irena. – Wiem, że będzie ci smakować. Właśnie dlatego wybrałam to miejsce: zawsze wiedziałam, co ci przypadnie do gustu. – Oblizuje wargi.

– Byłaś moim natchnieniem. – Jack słyszy własne słowa i karci się w myślach: Jack, ty bezwstydnym, sentymentalnym dupku. Mimo wszystko pragnie, by Irenie było przyjemnie. Co właściwie wyprawia? Musi przejść do sedna, zrzucić ją z balkonu albo ze schodów.

– Wiem. – Irena uśmiecha się melancholijnie. – Byłam Violet, prawda? Z tym że ona przewyższała mnie urodą, a ja nigdy nie byłam taką egoistką.

– Dla mnie byłaś piękna – zapewnia Jack.

Czy to łza? Czy Irena ulega emocjom? Jacka oblatuje strach. Dociera do niego, że zawsze liczył na to, że zachowa panowanie nad sobą. Nie zdoła zamordować pochlipującej Ireny; jeśli ma zginąć, musi być bez serca.

– Kupiłam czerwone buty – mówi Irena. – Takie jak w książce.

– To jest... – Jackowi brakuje słów. – Niezłe szaleństwo.

– Przez te wszystkie lata trzymałam je w pudełku.

– Aha – mówi Jack.

Sytuacja zaczyna go przerastać. Irena ma świra jak niektóre jego gotyckie wielbicielki, uczyniła z niego fetysz. Może powinien zapomnieć o tym, że zamierzał ją zabić. Może lepiej wziąć nogi za pas, wymówić się niestrawnością.

– Ta książka otworzyła mi oczy – ciągnie Irena. – Dała mi pewność siebie.

– Zyskałaś pewność siebie dzięki temu, że tropiła cię martwa dłoń? – pyta Jack, usilnie próbując się skupić. Czy naprawdę zamierzał zaprowadzić Irenę w ciemny zaułek i walnąć ją cegłą? Na pewno śnił na jawie.

– Przez te wszystkie lata musiałeś mnie nienawidzić z powodu pieniędzy – mówi Irena.

– Właściwie to nie – odpowiada Jack, mijając się z prawdą. Istotnie jej nienawidził. Tak już jednak nie jest.

– Nie chodziło o pieniądze – ciągnie Irena. – Nie chciałam cię zranić. Chciałam tylko pozostać w kontakcie. Nie chciałam, żebyś o mnie zapomniał, prowadząc wspaniałe, wystawne życie.

– Wcale nie jest takie wspaniałe – mówi Jack. – Nigdy bym o tobie nie zapomniał, nie mógłbym.

Wstawia kit czy mówi prawdę? Sam tak długo wstawiał kit, że już trudno mu rozróżnić.

– Podobało mi się, że nie uśmierciłeś Violet – oznajmia Irena. – To znaczy, że Dłoń jej nie zabiła. Zakończenie było takie poruszające i piękne. Rozpłakałam się.

Jack chciał pozwolić, by Dłoń udusiła Violet: takie rozwiązanie wydawało się właściwe, stosowne. Dłoń miała zasłonić Violet nos, usta, potem opleść się wokół szyi; miała zacisnąć wysuszone, martwe palce, Violet uniosłaby w górę oczy jak święta w ekstazie.

Jednak w ostatniej chwili Violet pokonała odrazę i przerażenie, przejęła inicjatywę. Wyciągnęła rękę i pogłaskała Dłoń, wiedziała bowiem, że to William, czy raczej jego część. Następnie Dłoń rozwiła się w srebrzystej mgiełce. Jack skradł pomysł z *Nosferatu*: miłość czystej kobiety jest zdolna pokonać siły

ciemności. Niewykluczone, że rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty czwarty był ostatnim, kiedy człowiekowi mogło to ująć na sucho: gdyby spróbować dziś napisać coś podobnego, wzbudziłoby to jedynie śmiech.

– Zawsze uważałam, że to zakończenie jest przekazem – mówi Irena. – Skierowanym do mnie.

– Przekazem? – powtarza Jack.

Czy ona nie ma piątej klepki? A może ma rację? Freudyści i zwolennicy Junga przyznaliby Irenie rację. Chociaż był to przekaz, Jack ni cholery nie wiedział, co niesie.

– Ty się bałeś – mówi Irena takim tonem, jakby odpowiadała na pytanie. – Bałeś się, że jeśli naprawdę cię dotknę, jeśli wyciągnę rękę i dotknę twego serca, jeżeli dopuścisz mnie zbyt blisko tej dobrej, uduchowionej osoby, którą w sobie skrywasz, wtedy znikniesz. Właśnie dlatego nie mogłeś, nie zrobiłeś tego... Dlatego wszystko się rozpadło. Ale teraz już możesz.

– Chyba się przekonamy – odpowiada Jack i posyła jej, przynajmniej taką ma nadzieję, chłopięcy uśmiech.

Czy faktycznie skrywa w sobie dobrą, uduchowioną osobę? Jeśli tak, to Irena jest jedynym człowiekiem, który w nią wierzył.

– Chyba tak – odpowiada Irena z uśmiechem i kładzie dłoń na dłoni Jacka, który czuje jej kości. Jack zakrywa ich splecione dłonie i ściska.

– Jutro przyślę ci bukiet róż – mówi. – Czerwonych. Uznaj to za oświadczyzny – dodaje, patrząc Irenie w oczy.

Proszę. Odważył się skoczyć. Ale właściwie w co? Nie trać zwinności, Jack, upomina się w myślach. Unikaj zasadzek. Związek z tą kobietą może cię przerosnąć, pomijając fakt, że jest szalona. Nie popełnij błędu. Ale ile czasu zostało mu w tym życiu, żeby martwić się błędami?



## Kamienne posłanie

---

Na początku Verna nie zamierzała nikogo zabijać. Zależało jej wyłącznie na prostych, nieskomplikowanych wakacjach. Odetchnąć świeżym powietrzem, rozliczyć się z sobą, zrzucić starą skórę. Arktyka jej odpowiada: jest coś głęboko uspokajającego w rozległych połaciach lodu i skał, niezakłóconych przez miasta, autostrady, drzewa oraz inne rozpraszające rzeczy, które zagracają południe.

Do rzeczy tych Verna zalicza innych ludzi, a przez innych ludzi rozumie mężczyzn. Na pewien czas skończyła z mężczyznami. Obiecała sobie zrezygnować z flirtów oraz ich ewentualnych konsekwencji. Verna nie potrzebuje już pieniędzy. Mówi sobie, że nie jest rozrzutna ani chciwa: zawsze pragnęła tylko, by osłaniały ją warstwy miłych, mięciutkich, izolujących pieniędzy, aby nikt nie mógł się zbliżyć na tyle, by ją zranić. Ten skromny cel z pewnością osiągnęła.

Mimo to czym skorupka za młodu nasiąknie... Wkrótce Verna taksuje wzrokiem okutanych w puch współpasażerów wciągających torby na kółkach do lotniskowego hotelu, w którym mają spędzić pierwszą noc. Pomija kobiety i znakuje męskich członków. Obok niektórych widzi kobiety, eliminuje ich więc zgodnie z przyjętą zasadą: po co pracować ciężiej, niż potrzeba? Oderwanie żony wiąże się czasem z olbrzymim wysiłkiem, o czym przekonała się przy pierwszym mężu: porzucone żony trzymają się jak rzepy.

Interesują ją samotnicy, ci, którzy pozostają na obrzeżach. Niektórzy są dla niej za starzy: unika kontaktu wzrokowego z takimi mężczyznami. Vernę przyciągają tacy, którzy wierzą, że w starym piecu diabeł pali. Zresztą nie zamierza nic z tym robić, powtarza sobie, ale nie ma nic złego w rozgrzewce, choćby po to by zademonstrować samej sobie, że jeśli tylko zechce, wciąż może ustrzelić faceta.

Na wieczorek zapoznawczy wybiera kremowy bezrękawnik, a plaketkę z imieniem i napisem Magnetic Northward mocuje odrobinę za nisko na lewej piersi. Dzięki aqua aerobikowi i wizytom na siłowni utrzymuje świetną sylwetkę jak na swój wiek, właściwie na każdy wiek, w każdym razie kiedy jest całkowicie

ubrana i wsparta dopasowanym rusztowaniem. Verna nie chciałaby się opalać w bikini na leżaku – pomimo wysiłków zaczął się wkradać cellulit, co jest jednym z powodów, dla których wybrała Arktykę, a nie na przykład Karaiby. Twarz ma taką, jaką ma, z pewnością najlepszą, jaką w tym wieku można uzyskać za pieniądze: za pomocą odrobiny podkładu brązującego, jasnego cienia do powiek, tuszu i pudru rozświetlającego może odjąć sobie dziesięć lat.

– Choć dużo szeszło, sporo pozostało<sup>[12]</sup> – mówi cicho do swego odbicia w lustrze. Trzeci mąż Verny był seryjnym maniakiem cytatów, ze szczególnym upodobaniem do Tennysona. „Wejź do ogrodu, Maud” – zwykł mawiać tuż przed pójściem do łóżka. Wtedy doprowadzało ją to szału.

Verna spryskuje się odrobiną perfum – stonowany, kwiatowy, nostalgiczny aromat – potem ściera, pozostawiając zaledwie cień zapachu. Nadmierne perfumowanie się to błąd: chociaż wiekowe nosy nie są już tak czułe jak dawniej, należy brać pod uwagę ewentualność alergii. Mężczyzna kichający nie jest mężczyzną uważnym.

Verna decyduje się na wejście z małym opóźnieniem, uśmiecha się radośnie, acz z dystansem – samotna kobieta nie powinna wydawać się zbyt gorliwa – przyjmuje kieliszek znośnego białego wina, którym częstują goście, następnie sunie między zgromadzonymi przeżuwaczami i tymi, co sączą. Mężczyźni to z pewnością emerytowani lekarze, prawnicy, inżynierowie, maklerzy interesujący się wyprawami arktycznymi, niedźwiedziami polarnymi, archeologią, ptakami, rzemiosłem inuickim, może nawet wikingami, życiem roślin czy geologią. Magnetic Northward przyciąga poważnych klientów i zatrudnia ekspertów, którzy oprowadzają ich i raczą wykładami. Verna sprawdziła jeszcze dwa biura organizujące wycieczki w tym regionie, ale żadne nie przypadło jej do gustu. Pierwsze promuje intensywny trekking i przyciąga ludzi przed pięćdziesiątką – nie jej grupa docelowa – drugie specjalizuje się w grupowych śpiewach i przebieraniu się w głupawe kostiumy, dlatego wybór Verny padł na Magnetic Northward. Już raz podróżowała z tym biurem – pięć lat wcześniej, tuż po śmierci trzeciego męża – dlatego wie, czego się spodziewać.

W sali widać sporo odzieży sportowej, wśród mężczyzn dominuje beż, sporo jest kraciastych koszul, kamizelek z licznymi kieszeniami. Verna czyta imiona na plakietkach: Fred, Dan, Rick, Norm, Bob. Jeszcze jeden Bob i kolejny: na wycieczce jest całkiem sporo Bobów. Kilku podróżuje chyba samotnie. Bob: kiedyś to imię

było dla niej brzemiennie w znaczenia, ale przecież zdołała się już uwolnić od tego ciężaru. Wybiera jednego ze szczuplejszych, choć i tak solidnie zbudowanego Boba, sunie ku niemu, podnosi i opuszcza powieki. Bob spogląda na jej pierś.

– Verna – mówi. – Urocze imię.

– Staroświeckie – odpowiada. – Pochodzi od łacińskiego słowa oznaczającego wiosnę. Porę roku, kiedy wszystko na nowo budzi się do życia.

Ta kwestia, niosąca obietnicę fallicznego odrodzenia, pomogła Vernie złowić drugiego męża. Trzeciemu powiedziała, że na jej matce odcisnął piętno James Thomson, szkocki poeta z osiemnastego wieku piszący o wiosennych wietrzykach. Było to niedorzeczne, choć urocze kłamstwo: w istocie otrzymała imię na cześć zmarłej beczkowatej ciotki o twarzy jak pączek w maśle. Matka Verny, surowa prezbiterianka z ustami jak imadło, gardziła poezją i nie odcisnęłoby na niej piętna nic miększego niż granitowy mur.

W początkowej fazie połowu czwartego męża, którego uznała za zboczeńca, Verna posunęła się jeszcze dalej. Oznajmiła mu, że otrzymała imię na cześć *Święta wiosny*, ociekającego seksem baletu, który kończył się torturami i ofiarą z człowieka. Kandydat na czwartego męża śmiał się, ale także wił: nieomylny znak, że połknął haczyk.

Teraz Verna mówi:

– A ty jesteś... Bob.

Latami doskonaliła ledwie zauważalny wdech, od którego słuchaczowi miękły kolana.

– Tak – potwierdza tamten. – Bob Goreham – dodaje z nieśmiałością, którą z pewnością uważa za pełną wdzięku.

Aby ukryć szok, Verna uśmiecha się szeroko. Czuje, że rumieni się z gniewu oraz niemal szalonej wesołości. Patrzy mu prosto w twarz: tak, pod rzednącymi włosami, zmarszczkami oraz wybielonymi zębami, może nawet implantami, kryje się ten sam Bob, Bob sprzed pięćdziesięciu kilku lat. Pan Skryte Marzenie, pan Gwiazdor Piłkarski, pan Fantastyczna Partia z dzielnicy, gdzie grube ryby z firmy węglowej jeździły cadillacami. Pan Dupek o posturze szarżującego byka, z tym swoim krzywym uśmieszkiem jokera.

Jakież to było zdumiewające dla wszystkich – nie tylko w szkole, ale wszędzie, ponieważ na tym zadupiu dokładnie wiedziano, kto pił, a kto nie, która kobieta się

puszcza, ile drobnych nosi się w kieszeni – jakież to więc było zdumiewające, że w czepku urodzony Bob zaprosił nic nieznaczącą Vernę na zimowy bal w Pałacu Królowej Śniegu. Śliczna, niewinna, o trzy lata młodsza Verna, świetna uczennica przeskakująca klasy, tolerowana, lecz nie przyjmowana do grupy, marząca o stypendium, które pozwoli jej wyjechać z miasta. Łatwowierna Verna, która sądziła, że jest zakochana.

A może była. Kiedy w grę wchodziła miłość, czy wiara nie była jednoznaczna ze stanem faktycznym? Takie przekonania wysysają z człowieka siły i mącą jasność widzenia. Nigdy więcej nie dała się zwabić w te wnyki.

Co tańczyli tamtej nocy? *Rock Around the Clock. Hearts Made of Stone. The Great Pretender.* Bob sunął z Verną po obrzeżach sali gimnastycznej, przyciskając ją mocno do goździków w butonierce, ponieważ ówczesna nieporadna Verna nigdy wcześniej nie była na tańcach i nie mogła sprostać zamaszystym ruchom Boba. Dla cichej, potulnej Verny życie sprowadzało się do kościoła, nauki, obowiązków domowych oraz weekendowej pracy w aptece. Ponura matka kierowała każdym jej ruchem. Nie pozwoliłaby córce chodzić na randki, choć i tak nikt jej nie zapraszał. Mimo to zgodziła się, aby Bob Goreham, z szanowanej rodziny, zabrał Vernę na szkolną potańcówkę pod czujnym okiem dorosłych, bo czyż Bob nie był jasnym światłem? Matka pozwoliła sobie nawet na okazanie zadowolenia, choć nie padły żadne słowa. Po ulotnieniu się ojca Verny trzymanie głowy wysoko stało się pełnoetatową pracą. W efekcie matka miała bardzo sztywną szyję, co z perspektywy czasu wydawało się Vernie zrozumiałe.

Tak więc Verna, robiąc maślane oczy do swego bohatera, wyszła z domu, kołysząc się niepewnie na pierwszych w życiu wysokich obcasach. Bob szarmancko umieścił ją w błyszczącym czerwonym kabriolecie, gdzie ze schowka lypała zdradziecko małpka żytniówki. Verna, z powodu nieśmiałości bliska katatonii, siedziała wyprostowana, jakby połknęła kij, pachniała szamponem Prell i balsamem Jergens. Otulona pożyczoną od matki staromodną etolą z królików, wydzielającą woń naftaliny, miała na sobie jasnoniebieską tiulową sukienkę, która wyglądała tanio i taka też była.

Tania. Po użyciu wyrzucić. Tak właśnie Bob myślał o niej od samego początku.

Teraz Bob nieznacznie się uśmiecha. Zadowolony z siebie myśli może, że Verna rumieni się z pożądania. Ale jej nie poznaje! Naprawdę! Ile pieprzonych Vern mógł poznać w życiu?

Weź się w garść, upomina się Verna. Jak się okazuje, jednak można ją zranić. Dygocze z wściekłości, a może to udręka? Aby ukryć zdenerwowanie, bierze łyk wina i natychmiast się krztusi. Bob przystępuje do działania, kilka razy klepie ją w plecy – energicznie, ale z czułością.

– Przepraszam – udaje jej się powiedzieć, choć brak jej tchu. Spowija ją orzeźwiająca, chłodna woń goździków, ale Verna czuje, że musi się oddalić od Boba; zbiera jej się na mdłości. Pędzi do damskiej toalety, na szczęście wolnej, wymiotuje do klozetu białym winem oraz kanapką z serkiem śmietankowym i oliwkami. Zastanawia się, czy mogłaby jeszcze odwołać wycieczkę. Ale właściwie czemu miałyby ponownie uciekać przed Bobem?

Wtedy nie miała wyjścia. Pod koniec tygodnia wiadomość obiegnęła całe miasteczko. Rozprzestrzenił ją sam Bob, choć jego farsowa wersja bardzo różniła się od tego, co zapamiętała Verna. Puszczalska, zapijaczona, chętna Verna, niezły kawał. W drodze powrotnej ze szkoły do domu towarzyszyły jej grupki gwizdzących chłopaków. „Panienko z okienka, mogę się przejechać? Cukierki są smaczne, ale gorzała jeszcze lepsza!”. To przykłady łagodniejszych nawoływań. Dziewczyny unikały towarzystwa Verny w obawie, że zarażą się hańbą, komiczną wulgarnością całej historii.

Do tego wszystkiego dochodziła matka Verny. Skandal szybko przeniknął do kręgów kościelnych. Nieliczne słowa, jakie dobyły się z jej zaciśniętych ust, sprowadzały się do następującej lekcji: Verna nawarzyła sobie piwa, więc teraz musiała je wypić. Żadnego uzalania się nad sobą, musi stawić czoło rzeczywistości. Już nigdy nie zdoła zatuszować tej sprawy, bo wystarczył jeden fałszywy krok i człowiek upadał, na tym polegało życie. Kiedy nikt już nie miał wątpliwości, że najgorsze się stało, matka kupiła córce bilet autobusowy i wyekspediowała ją do prowadzonego przez kościół domu samotnych matek na peryferiach Toronto.

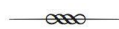
Razem z innymi przestępczyniami Verna obierała kartofle, szorowała podłogi i toalety. Młode kobiety nosiły szare sukienki ciężowe, szare wełniane rajstopy oraz kłocowate brązowe buty – wszystko, jak je poinformowano, kupiono dzięki hojnym datkom. Oprócz obierania i szorowania mieszkanek wysłuchiwały modlitw, częstowano je pogadankami umoralniającymi. Mogły się dowiedzieć, że w pełni zasłużyły na to, co je spotkało, z powodu zdeprawowanego zachowania, ale nigdy nie było za późno na odkupienie win dzięki pracy i samokontroli. Kobiety

przestrzegano przed używaniem alkoholu, tytoniu i gumy do żucia, powinny też uznać za cud boski, jeżeli przyzwoity mężczyzna zechce się z nimi ożenić.

Verna rodziła długo i z trudem. Dziecko natychmiast jej odebrano, by nie zdążyła się do niego przywiązać. Wdało się zakażenie z powikłaniami i bliznami, ale tym lepiej, mówiła jedna pielęgniarka drugiej (Verna podsłuchiwała rozmowę), bo tego rodzaju dziewczyny i tak nie nadawały się na matki. Verna otrzymała pięć dolarów i bilet autobusowy, po czym kazano jej wracać do matki, jako że wciąż nie była pełnoletnia.

Nie mogła się zdobyć na powrót do domu, nie mogła znieść miasteczka, dlatego ruszyła do centrum Toronto. O czym myślała? W zasadzie o niczym konkretnym, lecz nie opuszczało jej uczucie żalu, smutku, w końcu też rozbłysnął gniew. Skoro faktycznie była bezwartościową wywłoką, za jaką najwyraźniej wszyscy ją uważali, równie dobrze mogła zacząć tak żyć. Kiedy nie pracowała w hotelu jako kelnerka i sprzątaczką, robiła to, czego się po niej spodziewano.

Wyłącznie szczęśliwemu zrządzeniu losu zawdzięczała spotkanie starszego żonatego mężczyzny, który się nią zainteresował. Trzy lata seksu w południe zamieniła na wyższe wykształcenie. Jej zdaniem zawarła uczciwą transakcję – nie życzyła mu źle. Sporo się od niego nauczyła – chodzenie na wysokich obcasach to akurat najbardziej błahy szczegół – i w końcu stanęła na nogach. Stopniowo udało się pozbyć rozbitego wizerunku Boba, który – wprost niewiarygodne! – wciąż nosiła pod sercem niczym zasuszony kwiat.



Doprowadza twarz do porządku, ponownie maluje rzęsy tuszem, który spłynął po policzkach jak krew, choć zapewniano, że jest wodoodporny. Odwagi, mówi do siebie. Drugi raz nie pozwoli się odpędzić. Da radę, dzisiaj może stawić czoło pięciu Bobom. W dodatku ma przewagę, ponieważ Bob nie wie, kim jest. Czy naprawdę tak bardzo się zmieniła? Owszem. Wygląda lepiej. Atuty Verny to srebrzyste blond włosy oraz, rzecz jasna, kilka poprawek chirurgicznych. Największa zmiana zaszła jednak w jej nastawieniu – Verny nie opuszcza pewność siebie. Bobowi trudno byłoby przeniknąć wzrokiem tę fasadę i dostrzec nieśmiałą, pochlipującą idiotkę o mysich włosach, jaką była w wieku czternastu lat.

Po nałożeniu ostatniej warstwy pudru dołącza do pozostałych i staje w kolejce do bufetu, gdzie serwują wołowinę i łososia. Verna nie zamierza dużo jeść, zresztą

nigdy tego nie robi: otyła kobieta opychająca się jedzeniem raczej nie jest tajemniczo pociągająca. Nie lustruje wzrokiem wycieczkowiczów w poszukiwaniu Boba – mógłby do niej pomachać, a Verna potrzebuje czasu do namysłu – i wybiera stolik w głębi sali. Proszę bardzo, oto i Bob: przysiada się do Verny, nawet nie pytając o pozwolenie. Zakłada, że już obsikał ten hydrant, myśli Verna. Zakłada, że już pomalował sprayem tę ścianę. Już odciął głowę upolowanej ofierze i sfotografował się z nogą na zdobyczy. Jak to kiedyś raz zrobił, chociaż nie zdaje sobie z tego sprawy. Verna się uśmiecha.

Bob jest troskliwy. Czy Verna dobrze się czuje? O, tak, odpowiada. Po prostu coś trafiło w niewłaściwą dziurkę. Bob nie marnuje czasu i zadaje wstępne pytania. Czym zajmuje się Verna? Na emeryturze, odpowiada, choć ma za sobą satysfakcjonującą karierę fizjoterapeutki specjalizującej się w rehabilitacji ofiar zawałów i wylewów.

– To musiało być interesujące – mówi Bob.

O, tak, zapewnia Verna. Pomaganie ludziom daje ogromną satysfakcję.

Kariera była więcej niż interesująca. Zamożni mężczyźni dochodzący do zdrowia po epizodach zagrażających życiu zrozumieli, jakim skarbem może być młodsza kobieta o sprawnych dłoniach, która zachęca ich samym zachowaniem, a w dodatku wie, kiedy trzymać buzię na kłódkę. Albo, jak to ujmował jej trzeci mąż, kiedy ogarniał go nastrój keatsowski: „Słodka jest pieśń słyszalna, ale słodsza odeń jest niesłyszalna”<sup>[13]</sup>. W intymności relacji – tak bardzo fizycznej – było coś, co prowadziło do innych form intymności, chociaż Verna zatrzymywała się tuż przed seksem, tłumacząc, że dla niej ma on wymiar religijny. Jeśli pacjent nie zamierzał się jej oświadczyć, wypłatywała się z takiej relacji, powołując się na obowiązki wobec ludzi, którzy bardziej jej potrzebowali. Takie podejście dwukrotnie doprowadziło do zamążpójścia.

W wyborze kandydatów kierowała się stanem ich zdrowia, a po ślubie robiła wszystko, by dostawali należyte usługi za włożone pieniądze. Każdy z mężów odchodził nie tylko szczęśliwy, ale także wdzięczny, może nieco wcześniej, niż można było oczekiwać. Mimo to każdy umierał z przyczyn naturalnych, mianowicie z powodu kolejnego zawału lub wylewu. Verna dawała im tylko ciche przyzwolenie na spełnianie wszystkich zakazanych zachcianek: jedli potrawy blokujące tętnice, pili do woli, po przebytej chorobie za wcześnie wracali do golfa. Verna powstrzymywała się od komentarzy, że, dokładnie rzecz biorąc, byli



mężowie przyjmowali za dużo leków. Po fakcie mówiła, że owszem, zastanawiała się nad dawkami, ale kim była, żeby kwestionować zalecenia lekarza?

A jeśli człowiek akurat zapomniał, że już zażył leki przeznaczone na wieczór, i znalazł je starannie ułożone na zwykłym miejscu, czy nie należało się tego spodziewać? Środki rozrzedzające krew przyjmowane w nadmiarze mogły się okazać zabójcze. Człowiek mógł dostać krwotoku mózgowego.

I wreszcie seks: terminator, dobiecie z litości. Sama Verna nieszczególnie interesowała się seksem, wiedziała jednak, co ma szansę przynieść skutek.

– Raz się żyje – zwykła mawiać, unosząc kieliszek szampana podczas kolacji przy świecach, a następnie wyjmując viagrę, środek przełomowy, lecz negatywnie wpływający na krążenie.

Pogotowie należało wezwać szybko, jednak nie zbyt szybko.

– Był w takim stanie, kiedy się obudziłam – brzmiała akceptowalna kwestia. Albo: – Usłyszałam dziwny odgłos w łazience, a kiedy poszłam sprawdzić...

Verna nie żałuje. Wyświadczyła tym mężczyznom przysługę: przecież lepiej szybko opuścić ten padół, niż wegetować całymi latami.

W przypadku dwóch mężów doszło do komplikacji w związku z testamentem, bo wmieszały się w to ich dorosłe dzieci. Verna uprzejmie stwierdziła, że wie, jak muszą się czuć. Następnie spłaciła je, wynagradzając sówiciej, niż się należało, jeśli wziąć pod uwagę włożony przez nią wysiłek. Jej poczucie sprawiedliwości pozostało prezbiteriańskie: nie chce dużo więcej, niż się jej należy, ale nie chce też dużo mniej. Verna lubi, kiedy rachunki się zgadzają.

Bob pochyła się ku Vernie, zakładając rękę za oparcie jej krzesła. Czy jej mąż bierze udział w rejsie, pyta z ustami tuż przy jej uchu, czuje jego oddech. Nie, odpowiada, niedawno owdowiała – spuszcza wzrok na stół z nadzieją, że wyraża tłumiony żal – ten rejs ma uleczyć rany. Bob odpowiada, że bardzo przykro mu to słyszeć, ale cóż za zbieg okoliczności, jego żona odeszła zaledwie pół roku wcześniej. A tak się cieszyli na wspólną jesień życia. Żona była ukochaną ze studiów, miłością od pierwszego wejrzenia. Czy Verna wierzy w miłość od pierwszego wejrzenia? O, tak, zapewnia Verna.

Bob zwierza się dalej: odczekali ze ślubem, aż zrobi dyplom, potem przyszło na świat troje dzieci, dziś Bob ma pięcioro wnuków, jest z nich bardzo dumny. Jeżeli pokaże mi zdjęcia dzieci, to go walnę, myśli Verna.

– Kiedy partner czy partnerka odchodzą, zostaje po nich ziejąca pustka, prawda? – mówi Bob, a Verna przyznaje mu rację. Czy zechciałyby wypić z nim butelkę wina, pyta Bob.

Ty marny gnoju, myśli Verna. Czyli ożeniłeś się, wychowałeś dzieci, wiodłeś normalne życie, jakby nic się nie stało. Podczas gdy ja... Zbiera się jej na mdłości.

– Z przyjemnością – odpowiada. – Ale poczekajmy, aż znajdziemy się na statku. Wtedy będziemy mogli poleniuchować. – Znów częstuje Boba trzepotaniem powiek. – Teraz idę uciąć drzemkę dla urody. – Z uśmiechem wstaje od stołu.

– Och, z pewnością nie jest ci potrzebna – odpowiada szarmancko Bob.

Dupek odsuwa nawet Vernie krzesło. Wtedy nie miał takich manier. Samotny, biedny i krótki, mawiał jej trzeci mąż, cytując Hobbesa opisującego naturalnego człowieka<sup>[14]</sup>. Dzisiaj dziewczyna miałaby dość rozumu, żeby wezwać policję. Dziś Bob poszedłby do więzienia niezależnie od opowiadanych kłamstw, ponieważ Verna nie była pełnoletnia. W tamtych czasach nie funkcjonowały jednak żadne słowa opisujące ów akt: gwałt odnosił się do sytuacji, gdy zboczeniec wyskakiwał na ciebie z krzaków, nie zaś do takiej, gdy chłopak, z którym wybrałaś się na tańce, wywiózł cię na boczną drogę w mizernym lasku pod miasteczkiem górniczym, powiedział, żebyś się napiła jak grzeczna dziewczynka, a potem rozerwał cię na strzępy, warstwa po warstwie. Co gorsza, najlepszy przyjaciel Boba, Ken, przyjechał swoim wozem, żeby pomóc. Obaj się śmiali. Pas do pończoch Verny zatrzymali na pamiątkę.

Potem, w połowie drogi powrotnej do domu Bob wypchnął Vernę z samochodu, z pewnością dlatego, że płakała.

– Zamknij się albo wracasz na piechotę – zapowiedział.

Verna ma w pamięci obraz siebie kuśtykającej oblodzonym poboczem, z gołymi nogami, w butach na wysokim obcasie ufarbowanych na niebiesko, żeby pasowały do sukienki. Kręciło jej się w głowie, dygotała oraz – co tylko pogłębiało upokorzenie – miała czkawkę. Myśli Verny zaprzętały wówczas nylonowe pończochy – gdzie się podziały? Kupiła je za własne oszczędności, z pieniędzy zarobionych w sklepie. Musiała doznać szoku.

Czy pamięć jej nie myliła? Czy Bob nałożył sobie na głowę jej pas do pończoch do góry nogami i tańczył w śniegu z klamerkami furkoczącymi jak błazeńskie dzwoneczki?

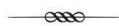
Pas do pończoch, myśli Verna. Co za prehistoria. Pas oraz wszystkie te starocie, które dawno zginęły w pomroce dziejów. Dziś dziewczyna brałaby pigułki antykoncepcyjne albo bez zmrużenia oka zrobiłaby aborcję. Jakież to paleolityczne, że wciąż czuje się zraniona.

Nie Bob, ale Ken wrócił po Verne, szorstko kazał jej wsiąść i odwiózł ją do domu. Ken miał przynajmniej tyle przyzwoitości, by okazać wstyd.

– Nie mów nikomu – mruknął.

Verna posłuchała, lecz milczenie nie przyniosło jej nic dobrego.

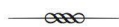
Dlaczego tylko ona ma cierpieć z powodu tamtej nocy? Owszem, postąpiła niemądrze, ale Bob zachował się niktzemnie. W dodatku nie poniósł żadnych konsekwencji, podczas gdy całe życie Verny zostało zwichnięte. Verna dnia poprzedniego umarła, a jej miejsce zajęła inna: struchlała, wypaczona, okaleczona. To nie kto inny jak Bob nauczył ją, że tylko silni wygrywają, a słabość zasługuje na bezlitosne wykorzystywanie. To nie kto inny jak Bob uczynił z niej – czemu nie nazwać rzeczy po imieniu – morderczynię.



Nazajutrz podczas lotu na północ, gdzie na falach Morza Beauforta kołysze się statek, Verna rozważa możliwości. Mogłaby igrać z Bobem do ostatniej chwili, a potem zostawić go z opuszczonymi spodniami: owszem, dałoby to jej satysfakcję, choć niewielką. Mogłaby unikać go przez resztę rejsu, pozostawiając równanie w takim samym stanie, w jakim trwało przez ostatek pięćdziesiąt lat: nierozwiązane. Mogłaby też go zabić. Chłodno, spokojnie analizuje tę ewentualność. Jeśli miałyby zabić Boba w trakcie rejsu, jak to zrobić, aby uszło jej na sucho? Metoda związana z lekami i seksem mogłaby się okazać zbyt powolna albo w ogóle nie przynieść skutku, skoro Bobowi najwyraźniej nic nie dolegało. Zepchnięcie go do morza nie wchodziło w grę. Bob jest zbyt rośły, relingi są zbyt wysokie, a z poprzednich rejsów Verna wie, że na pokładzie zawsze będą ludzie rozkoszujący się widokiem i robiący zdjęcia. Trup w kajucie zwabiłby policję, wszczęto by poszukiwania DNA i strzępków tkanin, jak w telewizji. Nie, będzie musiała zorganizować zabójstwo podczas jednej z wizyt na lądzie. Ale jak? Gdzie? Verna zagląda do planu wycieczki, studiuje mapę. Osada Inuitów się nie nadaje: za ujadającymi psami będą biegały dzieci. Jeśli chodzi o inne postoje, to tereny, jakie mieli odwiedzić, były pozbawione elementów krajobrazu pozwalających się ukryć.

Wycieczkowiczom będą towarzyszyć uzbrojeni członkowie załogi, aby chronić ich przed niedźwiedziami polarnymi. Może wypadek z bronią? Ale w tym celu musiałyby zaplanować wszystko co do sekundy.

Niezależnie od metody będzie musiała to zrobić na wczesnym etapie, zanim Bob zawrze nowe znajomości i ludzie zauważą jego zniknięcie. W dodatku należy stale liczyć się z ewentualnością, że Bob ją rozpozna. Wtedy będzie po zabawie. Tymczasem lepiej zbyt dużo się z nim nie pokazywać. Wystarczająco, żeby podtrzymać jego zainteresowanie, lecz nie na tyle, by wszcząć plotki o, na przykład, rozkwitającym romansie. Podczas rejsu plotki rozprzestrzeniają się jak grypa.



Po wejściu na pokład statku – Resolute II, znanego Vernie z poprzedniej wycieczki – pasażerowie ustawiają się w kolejce do recepcji, aby zdeponować paszporty. Następnie zbierają się w salonie na dziobie, gdzie trójka zniechęcająco sprawnych członków załogi przedstawia procedury rejsu. Pierwszy, surowo marszcząc brwi jak wiking, upomina ich, że schodząc na ląd, muszą zamienić zielone plakietki na czerwone. Po powrocie na statek należy ponownie przyczepić zieloną plakietkę. Płynąc na brzeg pontonem motorowym Zodiac, muszą mieć na sobie kamizelki ratunkowe, nowoczesne i cienkie, pompujące się samoistnie w kontakcie z wodą. Po dotarciu na ląd mają zdeponować kamizelki w białych płóciennych workach i założyć je ponownie, gdy będą odpływać. Niezwrócone plakietki lub kamizelki pozostawione w torbach powiedzą załodze, że ktoś został na lądzie. Chyba nie chcą, żeby ich porzucono, prawda? A teraz garść szczegółów dotyczących życia podczas rejsu. W kajutach znajdują torby na pranie. Rachunki z baru zostaną przesłane na ich konta, kwestie napiwków załatwi się na koniec. Na statku panuje zwyczaj zostawiania otwartych drzwi, by ułatwić pracę ekipie sprzątającej, ale jeśli chcą, oczywiście mogą się zamykać w kajutach. Przy recepcji działa biuro rzeczy znalezionych. Wszystko jasne? Świetnie.

Druga mówi archeolożka, która zdaniem Verny ma około dwunastu lat. W planie rejsu jest zwiedzanie najróżniejszych miejsc, w tym Independence I, Dorset i Thule, ale nigdy, pod żadnym pozorem, nie wolno im niczego zabierać. Żadnych wyrobów rękodzielniczych, a przede wszystkim żadnych kości. Mogą to być kości ludzkie i należy je uszanować. Nawet kości zwierzęce są ważnym

źródłem wapnia dla kruków, lemingów, lisów oraz całego łańcucha pokarmowego, ponieważ Arktyka przetworzy każdą rzecz. Wszystko jasne? Świetnie.

A teraz, mówi trzeci, modnie łysy jegomość o wyglądzie osobistego trenera, słowo na temat broni palnej. Broń jest niezbędna, ponieważ niedźwiedzie polarne nie znają strachu. Zastrzelenie niedźwiedzia to ostateczność, ale zwierzęta te potrafią być groźne, a bezpieczeństwo pasażerów stanowi priorytet. Nie trzeba obawiać się broni, podczas wypraw na ląd i z powrotem naboje zostaną wyjęte, więc nikomu nie grozi postrzelenie. Wszystko jasne? Świetnie.

Wypadek z bronią najwyraźniej nie wchodzi w grę, myśli Verna. Żaden z pasażerów nawet nie zbliżył się do strzelb.

Po lunchu jest wykład o morsach. Krążą pogłoski o samotnych osobnikach, które polują na fok, przebijają im skórę kłami, a następnie wysysają tłuszcz. Po obu stronach Verny siedzą kobiety robiące na drutach.

– Liposukcja – komentuje jedna z nich, na co druga wybucha śmiechem.

Po wykładach Verna wychodzi na pokład. Na czystym niebie unoszą się soczewkowate chmury podobne do statków kosmicznych; powietrze jest ciepłe; morze ma kolor akwamaryny. Po lewej widać klasyczną górę lodową z wnętrzem tak niebieskim, że sprawia wrażenie sztucznie barwionego, przed sobą mają miraż, fatamorganę wznoszącą się na horyzoncie niczym zamek lodowy, całkowicie rzeczywisty, jeśli pominąć lekkie migotanie krawędzi. Żeglarze mamieni przez takie obiekty przyplacali swą wiarę życiem, rysowali na mapach góry, choć wcale ich tam nie było.

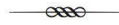
– Piękne, prawda? – pyta Bob, materializując się obok Verny. – Co powiesz na tę butelkę wina dziś wieczorem?

– Olśniewające – odpowiada Verna z uśmiechem. – Może nie dzisiaj, umówiłam się z dziewczynami. – Nie kłamie, ma się spotkać z kobietami od robótek.

– To może jutro. – Z szerokim uśmiechem Bob informuje Vernę, że ma jednoosobową kajutę. – Numer 222, jak środek przeciwbólowy – żartuje. Kajuta znajduje się w połowie statku. – Prawie wcale nie kołysze – dodaje.

Verna mówi, że też ma jednoosobową kajutę. Warto dopłacić, bo dzięki temu człowiek może się naprawdę zrelaksować. To ostatnie słowo przeciąga tak, że sugeruje lubieżny szelest atlasowej pościeli.

Po kolacji, przechadzając się po statku, Verna zauważa, że klucz Boba wisi tuż obok jej własnego. W sklepie z pamiątkami kupuje tanie rękawiczki. Naczytała się sporo powieści kryminalnych.



Następny dzień zaczyna się od wykładu z geologii wygłoszonego przez energicznego młodego naukowca, który zdążył wzbudzić spore zainteresowanie wśród pasażerów, zwłaszcza kobiecej części. Dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu, mówi geolog, a także z uwagi na zbity lód, czeka ich niezaplanowany postój, podczas którego będą mogli podziwiać cud geologii, widok dostępny tylko nielicznym. Otóż będą mieli szansę zobaczyć najdawniejsze skamieniałe stromatolity, liczące aż miliard dziewięćset milionów lat – starsze niż ryby, dinozaury i ssaki – najdawniejszą zachowaną formę życia na tej planecie. Czym jest stromatolit, pyta retorycznie geolog, a oczy mu błyszczą. Słowo pochodzi od greckiego *stroma*, posłanie, połączonego z rdzeniem słowa oznaczającego kamień. Kamienne posłanie: skamieniała poduszka utworzona przez liczne warstwy niebieskozielonych alg spiętrzonych w kopiec lub kopułę. Właśnie te niebieskozielone algi wytworzyły tlen, którym dziś oddychamy. Czyż to nie zdumiewające?

Podczas lunchu przy stole Verny siedzi pomarszczony, podobny do elfa mężczyzna, który mówi zrzędlwym tonem, że ma nadzieję, iż zobaczą coś oprócz skał. To jeden z Bobów, których Verna wprowadziła do inwentarza. Dodatkowy Bob może się jeszcze przydać.

– Ja bardzo się cieszę, że je zobaczę – mówi Verna. – Kamienne posłania.

Słowu „posłanie” nadaje lekko aluzyjny ton, co Bob Drugi nagradza błyskiem w oku. Oni naprawdę nigdy nie są zbyt starzy, żeby flirtować.

Po kawie Verna wychodzi na pokład i przez lornetkę obserwuje zbliżający się ląd. Jesień: liście karłowatych, wijących się przy ziemi jak winorośl drzew są czerwone, pomarańczowe, żółte i purpurowe. Wśród listowia wznoszą się fale i fałdy skał. Widać grzbiet, za nim wyższy, potem jeszcze wyższy. Geolog poinformował ich, że najlepsze stromatolity można znaleźć właśnie na drugim grzbiecie.

Czy człowiek, który znajdzie się za trzecim grzbietem, będzie widoczny z drugiego? Verna sądzi, że nie.

Pasażerowie wciągają wodoodporne spodnie i gumiaki; w zapiętych na suwaki i klamerki kamizelkach ratunkowych przypominają przerośniętych przedszkolaków; zmieniają plakietki z zielonych na czerwone; schodzą po trapie i wsiadają do czarnych pontonów motorowych Zodiac. Bob zajmuje miejsce w pontonie Verny. Unosi aparat i robi jej zdjęcie.

Serce Verny przyspiesza. Jeśli pozna mnie sam z siebie, nie zabiję go, myśli. Jeśli wyjawię mu, kim jestem, a on rozpozna mnie i przeprosi, również go nie zabiję. Dwie dodatkowe szanse na ucieczkę więcej niż te, które dostała od Boba. Wiązałyby się z utratą przewagi, jaką dawało jej zaskoczenie, co mogłoby się okazać ryzykowne – Bob jest o wiele masywniejszy niż ona – ale Verna pragnie postępować uczciwie.

Po dotarciu na ląd zdejmują kamizelki ratunkowe i gumiaki, potem zaczynają zakładać sznurowane buty turystyczne. Verna podchodzi do Boba i widzi, że nie zawraca sobie głowy butami. Na głowie ma czerwoną czapkę baseballową, a gdy Verna na niego patrzy, odwraca ją daszkiem do tyłu.

Wycieczkowicze rozchodzą się. Niektórzy zostają przy brzegu, inni ruszają w stronę pierwszego grzbietu. Wokół geologa z młotkiem zebrała się rozplotkowana grupka. Geolog jest w trybie wykładowym: proszę nie zbierać stromatolitów, statek posiada zezwolenie na pobranie próbek, dlatego jeśli ktoś natrafi na szczególnie atrakcyjny okaz, zwłaszcza w przekroju, powinien skonsultować się z geologiem, potem położą znalezisko na specjalnym stole na statku, by wszyscy mogli je podziwiać. Oto garść przykładów dla tych, którzy nie czują się na siłach, by zdobyć drugi grzbiet.

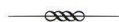
Głowy się pochylają, pojawiają się aparaty. Idealnie, myśli Verna. Im więcej rozpraszających szczegółów, tym lepiej. Nie musi się oglądać, by wyczuć bliskość Boba. Wreszcie znaleźli się na drugim grzbiecie, na który jednym wchodzi się łatwiej niż innym. Przed oczami wycieczkowiczów rozpościera się całe pole stromatolitów. Są tu niepopękane, jak pęcherze czy narośle, małe i duże, wielkości połowy piłki nożnej. Niektóre straciły szczyty niczym jajka w procesie wykluwania. Jeszcze inne uległy zmiążdżeniu – zostały tylko koncentryczne owale, jak drożdżówki czy słoje w drzewie.

Jeden ze stromatolitów rozpadł się na cztery części jak pokrojony ser holenderski. Verna podnosi jedną z ćwiartek, uważnie przygląda się warstwom; kolejne lata są czarne, szare, czarne, szare, czarne, na spodzie widnieje

bezkształtny rdzeń. Ciężki fragment z ostrymi krawędziami Verna chowa do plecaka.

Oto i Bob, jak na zawołanie. Niczym zombie wspina się powoli na wzniesienie w kierunku Verny. Zdjął kurtkę i wepchnął pod paski plecaka. Brak mu tchu. Verna czuje skrupuły: przecież Bob jest już jedną nogą na tamtym świecie, słabnie z każdym dniem. Czy nie powinna zapomnieć o całej sprawie? Chłopcy pozostaną chłopcami. Czy w tym wieku oni wszyscy nie byli bezwolnymi kukiełkami rządzonymi przez hormony? Czemu sądzić człowieka za coś, co zrobił wiele lat temu, wydaje się, że wręcz całe wieki?

Nad głową Verny zaczyna krążyć kruk. Czy on wie? Czeka? Verna patrzy w dół jego oczami i widzi starą kobietę – bo, spójrzmy prawdzie w oczy, jest już starą kobietą – która za chwilę zabije jeszcze starszego mężczyznę z powodu gniewu, który znika w oddali zużytego czasu. Jakież to miałkie. Jakie nikczemne. Zupełnie normalna rzecz. Takie jest życie.



– Świetny dzień – mówi Bob. – Dobra okazja, żeby rozprostować nogi.

– Prawda? – odpowiada Verna, przesuając się ku dalszej części drugiego grzbietu. – Może tam jest coś lepszego? Ale czy nie uprzedzali, żeby nie znikać im z oczu?

Bob śmieje się, dając do zrozumienia, że gwizdże na wszelkie zasady.

– Przecież za to płacimy – mówi.

Zaczyna prowadzić, choć nie wspina się na trzeci grzbiet, ale go okrąża. Najwyraźniej chce zniknąć z oczu.

Uzbrojony w strzelbę przewodnik na drugim zboczu krzyczy na ludzi, którzy zapuścili się za daleko w lewo. Stoi odwrócony do nich plecami. Jeszcze kilka kroków, Verna ogląda się przez ramię i nie widzi nikogo, co oznacza, że nikt nie widzi Verny. Oboje z Bobem idą po rozmięklej, mlaskającej ziemi. Verna wyjmuje z kieszeni cienkie rękawiczki, nakłada. Znajdują się po dalszej stronie trzeciego grzbietu, u pochyłego podnóża.

– Chodź tutaj – mówi Bob, poklepując skałę. Jego plecak leży tuż obok. – Przyniosłem nam coś do picia.

Wszędzie wokół Boba rozpościera się poszarpana warstwa czarnych porostów.



– Wspaniale – mówi Verna, siada i rozpiną plecak. – Spójrz, znalazłam idealny okaz. – Odwraca się, kładzie stromatolit między nimi, podtrzymuje go oburącz. Bierze głęboki wdech. – Chyba się już kiedyś poznaliśmy – mówi. – Jestem Verna Pritchard. Z liceum.

Bob ani drgnie.

– Tak mi się wydawało, że jest w tobie coś znajomego – stwierdza z uśmiechem.

Verna pamięta ten uśmiezek. Ma przed oczami wyraźny obraz Boba wyglupiającego się w śniegu, chichoczącego jak dziesięciolatek. Ona leżała wtedy złamana i do głębi zraniona.

Verna ma dość rozumu, by nie brać dużego zamachu. Krótkim, raptownym ruchem uderza Boba stromatolitem w podbródek. Słychać jedynie chrupnięcie. Głowa Boba odskakuje w tył. Leży rozciągnięty na skale. Verna unosi stromatolit nad jego głowę i pozwala mu opaść. Jeszcze raz. I znowu. Chyba wystarczy.

Z otwartymi, utkwionymi w jeden punkt oczami, ze zmiażdżonym czołem i krwią spływającą po obu stronach twarzy Bob prezentuje się komicznie.

– Aleś się zapuścił – mówi Verna. Bob wygląda śmiesznie i Verna się śmieje. Zgodnie z jej przypuszczeniem przednie zęby to implanty.

Uspokaja oddech. Bierze stromatolit, uważając, by krew nie zetknęła się z jej ciałem ani nawet z rękawiczkami, i wkłada do błotnistej kałuży. Czapka baseballowa spadła Bobowi z głowy – wpycha ją do swego plecaka razem z jego kurtką. Następnie opróżnia plecak Boba: tylko aparat fotograficzny, wełniane rękawiczki, szalik oraz sześć miniaturowych buteleczek szkockiej. Facet miał taką nadzieję – naprawdę żałosne. Po zrolowaniu wsuwa plecak Boba do własnego, dokłada aparat, który później ciśnie do morza. W końcu wyciera stromatolit szalikiem, upewnia się, że nie widać krwi, i chowa do plecaka. Samego Boba zostawia na pastwę kruków, lemingów oraz reszty łańcucha pokarmowego.

Wraca, okrążając podnóża trzeciego grzbiecu, poprawia kurtkę. Jeśli ktokolwiek ją zauważy, pomyśli, że poszła się wysikać. Podczas wizyt na lądzie ludzie często odłączają się od grupy. Nikt jednak na nią nie patrzy.

Verna odnajduje geologa – nadal stoi na drugim grzbiecie w otoczeniu wielbicieli – pokazuje stromatolit.

– Czy mogę go zabrać na statek? – pyta słodko. – Do wspólnych zbiorów?

– Wspaniały okaz! – chwali geolog.

Wycieczkowicze ruszają w stronę brzegu, gdzie czekają pontony motorowe. Gdy Verna dociera do worka z kamizelkami ratunkowymi, zaczyna majstrować przy sznurowadłach, aż wszyscy skierują oczy w inną stronę i będzie mogła wepchnąć dodatkową kamizelkę do plecaka. Jest znacznie bardziej napakowany niż poprzednio, ale byłoby dziwne, gdyby ktokolwiek zwrócił na to uwagę.

Po wejściu na trap mitręży czas przy plecaku, aż wszyscy miną tablicę z plakietkami; wtedy zmienia plakietkę Boba z czerwonej na zieloną. Ze swoją robi oczywiście to samo.

Odczekuje, aż korytarz opustoszeje, po czym wślizguje się do kajuty Boba, która nie jest zamknięta na klucz. Klucz leży na toaletce i Verna tam też go zostawia. Wieszka kamizelkę ratunkową, kurtkę wodoodporną i czapkę Boba, puszcza wodę do zlewu, porusza ręcznikiem. Pustym korytarzem idzie do swojej kajuty, ściąga rękawiczki, pierze i wieszka, żeby wyschły. Niestety złamała sobie paznokiec, później się tym zajmie. Przegląda się w lustrze: twarz trochę spalona słońcem, ale nic poważnego. Na kolację ubiera się na różowo, flirtuje z Bobem Drugim, który szarmancko odpowiada na zaloty, ale jest najwyraźniej zbyt zgrzybiały, by dało się z niego coś wykrzesać. Tym lepiej – Verna czuje, jak poziom adrenaliny jej opada. Organizatorzy informują, że w razie pojawienia się zorzy polarnej pasażerowie zostaną powiadomieni, lecz Verna nie zamierza wstawać.

Na razie wszystko idzie jak z płatka. Teraz wystarczy, że Verna podtrzyma iluzję Boba, który skwapliwie zmienia plakietkę z zielonej na czerwoną i z powrotem. Będzie przesuwiał przedmioty w kajucie, zakładał kraciaste ubrania z utrzymanej w beżowej tonacji garderoby, spał w łóżku, prysznicował się, zostawiał ręczniki na podłodze. Imienne (bez nazwiska) zaproszenie na kolację przy stole załogi znajdzie się pod drzwiami innego Boba, ale nikt nie zauważy różnicy. Nadal będzie mył zęby. Nastawiał budzik. Będzie przekazywał rzeczy do prania, jednak bez wypełniania formularza, ponieważ to wiązałoby się ze zbyt dużym ryzykiem. Pracownicy pralni nie będą mieli nic przeciwko temu – starsze osoby często zapominają wypełniać formularze.

Stromatolit będzie leżał na stole wśród próbek, ludzie będą go podnosili, oglądali, rozmawiali na jego temat, zostawiając wiele odcisków palców. Pod koniec rejsu zostanie wyrzucony za burtę. Statek Resolute II będzie płynął czternaście dni, osiemnaście razy zawijając do portu. Będzie mijał góry lodowe, strome

urwiska, a także złote, miedziane, hebanowe i srebrzystoszare zbocza; będzie sunął przez zbity lód; rzucą kotwicę nieopodal długich, niedostępnych plaż; zwiedzą fiordy od milionów lat strzeżone przez lodowce. Pośród takich absorbujących wspaniałości któż będzie pamiętał o Bobie?

Pod koniec rejsu nastąpi chwila prawdy, kiedy Bob się nie pojawi, by uregulować rachunek i odebrać paszport, nie spakuje też bagaży. Po krótkim zamieszaniu odbędzie się narada załogi – za zamkniętymi drzwiami, aby nie wzbudzać niepokoju wśród pasażerów. Wydadzą oświadczenie: tragicznym zrzędzeniem losu Bob musiał wypaść za burtę ostatniej nocy, gdy usiłował uzyskać lepsze ujęcie zorzy polarnej. Żadne inne wytłumaczenie nie jest możliwe.

Pasażerowie rozpierzchną się na cztery strony, a wśród nich Verna. Oczywiście zakładając, że jej się uda. Uda się czy nie? Powinno ją to bardziej obchodzić – powinna widzieć w tym ekscytujące wyzwanie – teraz jednak czuje się znużona i nieco pusta.

Mimo to ogarnia ją spokój, jest bezpieczna. „Z sercem ściszonym, wśród ognia zgasłego”<sup>[15]</sup>, jak mawiał jej trzeci mąż po sesji z viagrą, budząc irytację Verny. Ci wiktorianie zawsze łączyli seks ze śmiercią. A tak w ogóle, który poeta to powiedział? Keats? Tennyson. Pamięć zawodzi już Verne. Później przypomni sobie szczegóły.

## Wypalanie kotów z kurzu

---

Ludziki wdrapują się na stolik nocny. Dziś są ubrane na zielono: kobiety w spódnicach z fiszbinami, szerokich aksamitnych kapeluszach i stanikach połyskujących od paciorków, mężczyźni w atlasowych pumpach, z wstążkami furkoczącymi na ramionach i wielkimi ptasimi piórami zdobiącymi trójgraniaste kapelusze. Nie mają szacunku dla wiarygodności historycznej. Zupełnie jakby teatralny kostiumolog upił się za kulisami i dokonał nalotu na magazyn: tu dekolto karo w stylu wczesnych Tudorów, tam pasiasta koszula gondoliera, jeszcze gdzie indziej strój Arlekina. Wilma mimowolnie podziwia artystyczny nieład.

Oto ręka w rękę wspinają się na stolik. Gdy znajdują się na wysokości oczu Wilmy, opasują się ramionami i tańczą, całkiem zgrabnie, jeśli wziąć pod uwagę przeszkody: nocną lampkę, lupę jubilerską przyslaną przez jej wnuczkę Alyson – miły gest, choć z lupy marny pożytek – czytnik elektroniczny powiększający czcionkę. Aktualnie Wilma brnie przez *Przeminęło z wiatrem*. Przeczytanie strony w kwadrans uznaje za sukces, choć na szczęście pamięta główne fragmenty z ostatniej lektury. Może stąd właśnie wzięły się zielone stroje ludzików: ze słynnych aksamitnych zasłon, z których dumna Scarlett uszyła sobie suknię, by uchodzić za wielką damę.

Ludziki wirują, spódnice kobiet powiewają. Dzisiaj są w dobrym humorze: pozdrawiają się skinieniami głowy, uśmiechają, otwierają i zamykają usta, jakby mówiły.

Wilma w pełni zdaje sobie sprawę, że te zjawy nie są realne. To tylko objaw zespołu Charlesa Bonneta, dość częstego w jej wieku, zwłaszcza u osób z dolegliwościami wzrokowymi. Wilma ma szczęście, ponieważ jej zwidy – doktor Prasad nazywa je lolkami – są zazwyczaj dobroduszne. Ludziki bardzo rzadko robią groźne miny, pęcznieją ponad miarę lub rozpadają się na kawałki. Nawet kiedy są wkurzone lub napęczniałe, ich napady złego humoru nie mogą mieć nic

wspólnego z Wilmą, skoro nawet jej nie zauważają. Zdaniem lekarza to również jest typowe.

Wilma lubi małych lolków, najczęściej marzy o tym, żeby się do niej odezwały. Uważaj, o co prosisz, uprzedził ją Tobias, kiedy podzieliła się z nim myślami. Po pierwsze, kiedy zaczną mówić, mogą już nigdy się nie zamknąć; po drugie, któż wie, co mogłaby od nich usłyszeć? Następnie Tobias rozwlekłe opowiedział Wilmie o jednym ze swoich, rzecz jasna dawno już zakończonych, romansów. Kobieta była olśniewająca, z biustem hinduskiej bogini i udami podobnymi do marmurowego greckiego posągu – Tobias ma skłonność do archaicznych, wybujałych porównań – ale ilekroć otwierała usta, płynęły z nich takie banały, że Tobias z trudem powstrzymywał się od wybuchu. Zaciągnięcie tej damy do łóżka było długą, wyczerpującą kampanią: Tobias kusił czekoladkami w złotym pudełku w kształcie serca, najwyższa jakość, nie szczędził pieniędzy. Do tego szampan – nie sprawiało to jednak, że kobieta stawała się bardziej chętna, lecz jedynie pogłębiało jej tępotę.

Według Tobiasa trudniej jest uwieść kobietę głupią niż inteligentną, ponieważ ta pierwsza nie pojmuje aluzji, nie potrafi nawet połączyć przyczyny ze skutkiem. Głupie kobiety nie rozumiały, że tak jak noc następuje po dniu, po drogiej kolacji powinny rozłożyć swoje niezrównane nogi. Wilma okazała dość taktu, by nie wspominać, że puste, nierozumiejące spojrzenia mogły być zwykłą grą ze strony tych piękności, które nie miały nic przeciwko posiłkowi, skoro jego cena sprowadzała się do szerszego otwarcia wielkich, tępych, obficie okolonych rzęsami oczu. Wilma przypomina sobie poufne rozmowy w damskich toaletach, pamięta konspiracyjne chichoty i porady dotyczące obsługi łatwowiernych mężczyzn udzielane pomiędzy szminkowaniem ust a rysowaniem brwi. Po co martwić Tobiasa takimi rewelacjami? Podobne informacje na nic by już mu się nie przydały, a tylko rzuciłyby cień na słodkie wspomnienia.

– Szkoda, że wtedy cię nie znałem – mówi Tobias do Wilmy podczas tych czekoladowo-szampańskich recitali. – Ależ krzesalibyśmy iskry!

Wilma zbywa to milczeniem. Czy Tobias sugeruje, że jest inteligentna, a zatem łatwa? Czy że taka byłaby wtedy? Czy Tobias zdaje sobie sprawę, że bardziej drażliwa kobieta mogłaby uznać jego słowa za obraźliwe?

Nie, nie zdaje sobie sprawy. W jego mniemaniu takie odzywki są przejawem galanterii. Biedak nic nie może na to poradzić, skoro, jak twierdzi, ma częściowo węgierskie korzenie; dlatego Wilma pozwala mu paplać – tu boskie piersi, tam

marmurowe uda – nie zwraca szorstko uwagi na liczne powtórzenia, kiedy Tobias opowiada w kółko o tym samym romansie. Musimy być dla siebie dobrzy, upomina się w duchu Wilma. Mamy już tylko siebie.

Sedno sprawy tkwi w tym, że Tobias nadal widzi. Wilma nie może sobie pozwolić na irytację z powodu pociągających piękności sprzed lat, dopóki Tobias może wyjrzeć za okno i opowiedzieć jej, co się dzieje za imponującymi frontowymi drzwiami dworu Ambrozja. Wilma lubi pozostawać w kontakcie, póki jeszcze z czymkolwiek może go mieć.

Mrużąc oczy, patrzy na zegar z dużymi cyframi, potem przesuwając go tak, by lepiej widzieć. Jak zwykle jest później, niż przypuszczała. Maca na stoliku nocnym, znajduje sztuczną szczękę i wsuwa do ust.

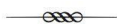
Tańczące walca ludziki ani na chwilę nie zwalniają, zupełnie nie interesują się sztucznymi zębami Wilmy. Właściwie nikt się nimi nie interesuje – poza samą Wilmą i może jeszcze doktorem Stittem, gdziekolwiek teraz jest. Czternaście czy piętnaście lat temu to właśnie doktor Stitt przekonał ją, aby usunęła korzenie kilku zębów trzonowych, w każdej chwili mogących się rozkruszyć, a następnie wszczepiła implanty, aby miała do czego przymocować mostek, na wypadek gdyby w przyszłości okazał się potrzebny. Doktor Stitt przewidywał, że będzie taka potrzeba, ponieważ dzieciństwo Wilmy przypadło na czasy przed fluoryzacją i jej zęby wkrótce zaczną się kruszyć jak mokry gips.

– Później mi podziękujesz – powiedział.

– Jeżeli pożyję tak długo – odparła ze śmiechem. Wtedy jeszcze Wilma była w wieku, kiedy lubiła wspominać o śmierci lekkim tonem, pokazując ją jako równą babka.

– Będziesz żyła wiecznie – stwierdził lekarz, co zabrzmiało nie tyle jak zapewnienie, ile jak przestroga. A może po prostu liczył na to, że nadal będzie ją leczył.

Zapowiadane później już nadeszło, a Wilma każdego ranka bezgłośnie dziękuje doktorowi Stittowi. Brak zębów byłby koszmarem.



Po zainstalowaniu gładkiego białego uśmiechu Wilma wyslizguje się z łóżka, palcami stóp wyczuwa pantofle frotté i sunie do łazienki. Wciąż sobie radzi w tym pomieszczeniu: wie, co gdzie jest, zresztą nadal trochę widzi. Kątem oka nadal

dostrzega zarysy, chociaż, jak ją ostrzegano, pustka w centrum pola widzenia się rozszerza. Za dużo golfa bez okularów przeciwsłonecznych, do tego żeglowanie – z powodu odbicia w wodzie człowiek otrzymuje podwójną dawkę promieniowania – ale kto wtedy o tym wiedział? Mówiło się, że słońce jest korzystne. Zdrowa opalenizna. Nasmarowani oliwką dla niemowląt smażyli się jak naleśniki. Ciemna, gładka opalenizna na nogach, jak skórka podpieczonego kurczaka, świetnie kontrastowała z białymi szortami.

*Macular degeneration.* Zwyródnienie plamki żółtej. Słowo *macular* brzmi tak niemoralnie, to przeciwieństwo *immaculate*, czyli niepokalanego.

– Jestem zdegenerowana – żartowała Wilma po uzyskaniu diagnozy. Kiedyś pozwalała sobie na tyle śmiałych żartów.

Nadal potrafi się ubrać, pod warunkiem że nie ma guzików: dwa lata temu, czy może już więcej, wyplenila guziki z szafy. Obecnie używa wyłącznie rzepów oraz suwaków, o ile są to suwaki z autoblokadą. Wilma nie potrafi już wkładać jednego małego dinka do drugiego.

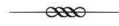
Przygląda włosy, szuka palcami luźnych kosmyków. Szczęśliwym zrządzeniem losu dwór Ambrozja posiada własny salon urody i fryzjera, pracujący tam Sasha regularnie podcina Wilmie włosy. Podczas porannych przygotowań najczęściej kłopotów przysparza Wilmie twarz. Już prawie nie dostrzega jej w lustrze – przypomina awatar, który pojawia się na profilu internetowym, jeśli się nie zamieści zdjęcia. Stąd nie ma szans na kredkę do brwi czy tusz do rzęs i nikłe szanse na szminkę, chociaż w optymistyczne dni udaje przed sobą, że potrafi nałożyć szminkę po omacku. Czy zaryzykować dzisiaj? A jeśli będzie wyglądać jak kłown? Kogo to obejdzie?

Obejdzie to Wilmę. Może również Tobiasa. A także, choć inaczej, obejdzie personel. Kiedy wyglądasz na osobę z demencją, tak właśnie są skłonni cię traktować. Dlatego lepiej unikać szminki.

Flakonik z perfumami znajduje tam, gdzie zawsze – sprzątaczkom nie wolno niczego przekładać – więc spryskuje się za uszami. Olejek różany z domieszką cytrusów. Wilma bierze głęboki wdech: dzięki Bogu nadal czuje zapachy, w przeciwieństwie do kilku innych rezydentów. Kiedy człowiek traci zmysł powonienia, zanika apetyt i usychasz na wiór.



Odwracając się, jednak dostrzega odbicie w lustrze: to ona lub kobieta niepokojąco podobna do jej matki na starość. Siwe włosy, skóra jak zmięta bibułka, ale z uwagi na oczy zwrócone w bok osoba ta ma bardziej psotny wygląd. Może jest wręcz złowieszcza, niczym elf, który zszedł na złą drogę. Temu spojrzeniu z ukosa brak szczerości spojrzenia prosto w oczy, które jest już dla niej niedostępne.



Oto i Tobias, jak zwykle punktualny. Zawsze jedzą razem śniadanie.

Najpierw puka niczym dżentelmen, za którego się podaje. Według Tobiasa przed wejściem do komnaty damy należy odczekać tyle czasu, ile inny mężczyzna potrzebuje, żeby się schować pod łóżkiem. W przypadku żon, których Tobias miał za sobą kilka, pozory należy zachowywać. Wszystkie one okazały się niewierne, ale Tobias nie ma im już tego za złe, albowiem trudno byłoby mu szanować kobietę niebudzącą pożądaną u innych mężczyzn. Tobias nigdy nie dał żonom poznać, że wie o ich zdradach, zawsze udawało mu się zwabić je z powrotem, sprawiał, że znów zaczynały go wielbić, a potem bez wyjaśnienia wyrzucał je za drzwi, bo czemu miałyby się zniżać do oskarżeń? Zatrzaśnięte drzwi miały w sobie więcej godności. Właśnie tak należy traktować żony.

W przypadku kochanek zachodzi spore prawdopodobieństwo, że spontaniczne emocje wezmą górę. Ogarnięty szałem zazdrości podejrzliwy kochanek czuje, że została ugodzona jego miłość własna, ulega pokusie, by wpaść bez pukania, a wtedy leje się krew. Rachunki zostają wyrównane od razu – nożem lub gołymi rękami – bądź później, podczas pojedynku.

– Czy kiedykolwiek kogoś zabiłeś? – spytała raz Wilma podczas enuncjacji Tobiasa.

– Ani pary z ust – odparł poważnie. – Ale butelka wina, pełna butelka wina, w zetknięciu ze skronią może zmiażdżyć czaszkę. Poza tym byłem doskonałym strzelcem.

Wilma zachowała milczenie. Co prawda nie może zobaczyć Tobiasa, ale on widzi ją, a uśmiezek mógłby go dotknąć. Detale w rodzaju zabójczych właściwości butelki wina Wilma uważa za rokokowe, podejrzewa też, że Tobias zmyśla. Nie czerpie ich z pojedynczego źródła, ale tworzy kolaż z fragmentów operetek trącających myszką, niegdyś poczytnych powieści europejskich oraz wspominków wujów dandysów. Uważa na pewno, że bezbarwna, naiwna, pochodząca z Ameryki

Północnej Wilma widzi w nim dekadenceckiego lubieżnika; sądzi, że wprost spija mu słowa z ust. Możliwe zresztą, że sam w nie wierzy.

– Wejdz – mówi Wilma.

W drzwiach pojawia się plama. Wilma zerka na nią z ukosa, wącha powietrze. Tak, to z całą pewnością Tobias. Jeśli Wilma się nie myli, użył płynu po goleniu Brut. Czy jej węch wyostrzył się wraz z postępującą ślepotą? Pewnie nie, choć taka myśl dodaje otuchy.

– Cudownie cię widzieć, Tobias – mówi.

– Droga pani, wprost pani promienieje – odpowiada Tobias, podchodzi i całuje ją w policzek wąskimi suchymi wargami. Trochę kłuje: jeszcze się nie ogolił, tylko ograniczył do spryskania Brutem. Podobnie jak Wilma musi się niepokoić wonią, jaką wydziela. Kiedy wszyscy ambrozjanie zbiorą się w jadalni, bucha kwaśny, stęchły odór starzejących się ciał, bazowe nuty powolnego rozkładu i mimowolnych popuszczeń, które rezydenci usiłują zatuszować perfumami – w przypadku kobiet są to aromaty kwiatowe, mężczyźni preferują orzeźwiające korzenne. Ambrozjanie czule hołubią w sobie wizerunki kwitnących róż i szorstkich piratów.

– Mam nadzieję, że dobrze spałeś – mówi Wilma.

– Cóż za sen mi się przyśnił! – woła Tobias. – Purpurowy, w tonacji lilaróż. Bardzo erotyczny i pełen muzyki.

Jego sny często są erotyczne i pełne muzyki.

– Mam nadzieję, że dobrze się skończył – mówi Wilma, która dzisiaj nadużywa słowa „nadzieja”.

– Niezbyt – przyznaje Tobias. – Popełniłem morderstwo. To mnie obudziło. Co dziś zjemy? Twory owsiane czy otrębowe?

Nigdy nie wymawia nazw firmowych płatków śniadaniowych serwowanych przez Wilmę, uważa je powiem za banalne. Wkrótce zrobi uwagę na temat braku dobrych croissantów w tym przybytku, w zasadzie jakichkolwiek croissantów.

– Wybieraj – mówi Wilma. – Ja zjem mieszankę.

Otręby na trawienie, płatki owsiane na cholesterol, choć specjaliści nieustannie zmieniają zdanie w tej kwestii. Wilma słyszy, jak Tobias krząta się po jej ciasnej kuchni: dobrze ją zna, wie, gdzie co leży. Tu, we dworze, lunch i kolację podaje się w jadalni, ale śniadania jedzą u siebie, to znaczy rezydenci oddziału wczesnego

wspomagania. Na oddziale wspomagania zaawansowanego sprawy przedstawiają się inaczej. Wilma nigdy nie chciała sobie wyobrazić, jak bardzo inaczej.

Brzękają talerze, dzwonią sztuce, Tobias nakrywa do śniadania mały stolik pod oknem. Jego ciemna sylwetka kontrastuje z jasnym kwadratem światła.

– Przyniosę mleko – proponuje Wilma. Przynajmniej tyle potrafi zrobić: otwiera minilodówkę, namierza chłodny owalny pojemnik z tektury powlekanej plastikiem i, nie roniąc ani kropli, zanosz do stołu.

– Gotowe – oznajmia Tobias i zabiera się do mielenia kawy w małym młynku elektrycznym. Akurat dzisiaj nie opowiada historii o tym, że lepiej mełłoby się kawę w ręcznym młynku, czerwonym, z mosiężną rączką, jak to robiono w czasach jego młodości czy może w czasach młodości jego matki. W czasach czyjejś młodości. Wilma dobrze zna ten czerwony młynek z mosiężną rączką, jakby kiedyś go miała, choć to nieprawda. Mimo to boleje nad jego stratą – dołączył do rzeczy, które faktycznie utraciła.

– Powinniśmy zjeść jajka – mówi Tobias.

Czasami raczą się nimi, chociaż ostatnia okazja zakończyła się małą katastrofą. Tobias nie dogotował jajek, przez co Wilma cała się opryskała. Zdjęcie czubka wymaga precyzji, a ona nie potrafi już dokładnie operować łyżeczką. Następnym razem zaproponuje omlet, choć może to przekraczać kulinarne zdolności Tobiasa. A gdyby nim pokierowała, krok po kroku? Nie, to zbyt ryzykowne: Wilma nie chce, żeby się poparzył. Może więc coś z kuchenki mikrofalowej, może tost francuski. Ale jak znaleźć przepis? I jak z niego skorzystać? Może są przepisy w wersji audio?

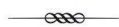
Oboje siedzą przy stole, mozolnie żują płatki podobne do żużlu. Odgłos w jej głowie, myśli Wilma, przypomina chrzęst śniegu pod nogami albo rozgniatanej folii bąbelkowej. Może powinna się przerwucić na miększe płatki, na przykład na owsiankę błyskawiczną. Jednak Tobias mógłby zacząć nią gardzić za samą sugestią, jak gardzi wszystkim co błyskawiczne. Banany, Wilma spróbuje bananów. Rosną na drzewach czy krzewach. Tobias nie może mieć nic przeciwko bananom.

– Dlaczego nadają im okrągły kształt? – pyta nie pierwszy już raz Tobias. – Tym płatkom?

– To kształt litery O – wyjaśnia Wilma. – O jak owies. Taka gra słowna.

Tobias potrząsa głową na tle światła podobną do rozmytej plamy.

– Wolalbym croissanta – stwierdza. – One też mają pewien kształt, mianowicie półksiężyc<sup>[16]</sup>. Pochodzą z czasów, kiedy Turcy o mały włos nie zdobyli Wiednia. Nie wiem dlaczego... – Przerzywa. – Coś się dzieje przy bramie.



Wilma ma lornetkę, która Alyson przysłała matce, żeby mogła oglądać ptaki, choć jak dotąd udało jej się namierzyć głównie szpaki i lornetka leży bezużyteczna. Druga córka przysyła przede wszystkim kaptcie. Wilma ma ich mnóstwo. Syn przysyła pocztówki, najwyraźniej nie pojmując, że Wilma nie potrafi już odczytać jego pisma.

Lornetkę przechowuje na parapecie, teraz Tobias kieruje ją na teren przed dworem: półkolisty podjazd, trawnik z przyszczyżonymi krzewami – Wilma pamięta je z dnia, gdy tu przyjechała przed trzema laty – na fontannę z repliką słynnego belgijskiego pomnika chłopca o twarzy cherubina oddającego mocz do kamiennej sadzawki. Jest też imponująca łukowata brama, przy której pełnią straż dwa kamienne lwy o przygnębionym wyrazie pysków. Dwór należał niegdyś do wiejskiej posiadłości – w czasach, gdy ludzie jeszcze budowali posiadłości i nie brakowało terenów wiejskich. Stąd najpewniej lwy.

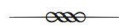
Niekiedy Tobias nie widzi nic prócz wchodzących i wychodzących ludzi. Dwór Ambrozja codziennie odwiedzają goście – Tobias nazywa ich „cywilami” – którzy energicznie maszerują z parkingu do głównego wejścia. Goście niosą doniczkowe begonie lub geranium, ciągną opornego wnuczka, układają twarz w uśmiech fałszywej wesołości, mając nadzieję, że jak najszybciej uporają się z wizytą u starego zamożnego krewnego. Także personel, zarówno medyczny, jak i kuchenno-sprzątający, wjeżdża przez bramę na parking służbowy, a potem wchodzi bocznymi drzwiami. Styłowo pomalowane furgonetki dostawcze przywożą produkty spożywcze i wypraną pościel, czasem także bukiety zamawiane przez dręczonych poczuciem winy krewnych. Mniej okazałe pojazdy, takie jak śmieciarki, mają własną, hańbiącą bramę boczną.

Co pewien czas rozgrywa się dramat. Pomimo środków ostrożności rezydentowi oddziału wspomaganego udaje się uciec. Wtedy można obserwować, jak delikwent, w piżamie lub odziany tylko częściowo, sika to tu, to tam – co jest akceptowalne w przypadku cherubinowej ozdoby fontanny, ale nie zniedołężniałego człowieka. Po dyskretnym, acz skutecznym pościgu

uciekinię zostaje osaczony i doprowadzony z powrotem do dworu. Czasem jest to uciekinię, chociaż jeśli idzie o ucieczki, inicjatywę chętniej podejmują mężczyźni.

Zdarza się też, że przyjeżdża karetka i do domu wpadają sanitariusze ze sprzętem – „jak na wojnie”, zauważył Tobias, choć musiał mieć na myśli filmy, ponieważ o ile Wilmie wiadomo, nie uczestniczył w żadnej wojnie – a po pewnym czasie wychodzą bardziej leniwym krokiem, wioząc coś na łóżku na kółkach. Z tego miejsca, mówi Tobias obserwujący przez lornetkę, nie sposób stwierdzić, czy ciało żyje, czy jest martwe.

– Niewykluczone, że nawet z bliska nie da się tego stwierdzić – zdarza mu się żartować wisielczo.



– Co to jest? – dopytuje się Wilma. – Karetka?

Jest pewna, że nie słyszała syren; nadal ma zaufanie do własnego słuchu. Właśnie w takich momentach ociemniałość najbardziej ją przygnębia. Wolalaby zobaczyć na własne oczy, nie ufa interpretacjom Tobiasa, podejrzewa, że coś przed nią ukrywa. Wyjaśniłby, że ją ochrania, ale Wilma nie chce być chroniona w ten sposób.

Może w odpowiedzi na jej frustrację na parapecie formuje się falanga ludzików. Tym razem nie ma kobiet, to raczej parada wojskowa. Społeczność ludzików jest konserwatywna: kobiet nie wpuszcza się na marsze. Ludziki nadal są ubrane na zielono, ale w ciemniejszym odcieniu, nie tak odświętnym. Maszerujący w pierwszych szeregach mają na głowach praktyczne metalowe hełmy. Ludziki na tyłach są odziane bardziej odświętnie – noszą pelerynki ze złotym rąbkiem i zielone futrzane czapy. Czy później na paradzie pojawią się miniaturowe koniki? Już tak bywało.

Tobias nie odpowiada natychmiast. W końcu mówi:

– To nie karetka, ale jakaś demonstracja. Wygląda na dobrze zorganizowaną.

– Może strajk – sugeruje Wilma.

Tylko kto z pracowników dworu Ambrozja chciałby strajkować? Najwięcej powodów miały sprzątaczkę z racji marnych pensji, ale były to zarazem najmniej prawdopodobne kandydatki. W najgorszym przypadku pracowały nielegalnie, w najlepszym – bardzo potrzebowały tych pieniędzy.

– Nie – mówi powoli Tobias. – To chyba nie jest strajk. Trzech ochroniarzy rozmawia z tymi ludźmi. Jest też gliniarz. Dwóch gliniarzy.

Ilekcio Tobias używa slangowego słowa takiego jak „gliniarz”, Wilma jest zaskoczona. Podobne określenia nie pasują do jego typowego słownictwa, bardziej oficjalnego i wyszukanego. Mimo to czasem pozwala sobie na „gliniarza”, ponieważ to dość archaiczne wyrażenie. Raz powiedział „w porządku”, przy innej okazji „spadaj”. Może czerpie te słowa z książek, zakurzonych powieści kryminalnych z drugiej ręki i tym podobnych. Ale kim jest Wilma, żeby się z niego naigrawać? Teraz, gdy nie może już surfować w internecie, utraciła kontakt z tym, jak mówią ludzie. Prawdziwi ludzie, młodszy. Co nie znaczy, że kiedykolwiek dużo surfowała. Nigdy nie była interaktywna, ograniczała się do podglądania i właśnie zaczynała nieźle sobie radzić, gdy oczy odmówiły posłuszeństwa.

Pewnego razu powiedziała mężowi – kiedy jeszcze żył, nie w rocznym okresie koszarnej żałoby, gdy zwracała się do zmarłego – że na jej nagrobku powinni napisać „podglądaczka”. Czy nie spędziła większości życia na samym podglądaniu? Obecnie tak właśnie czuje, choć wtedy było inaczej, wtedy zaprzętały ją najrozmaitsze sprawy. Ukończyła historię – bezpieczny kierunek dla kobiet czekających na zamążpójście – teraz jednak historia raczej nie przychodzi jej w sukurs, bo niemal wszystko wypadło Wilmie z głowy. Jej wiedza historyczna sprowadzała się do trzech przywódców politycznych, którzy zmarli, uprawiając seks. Czyngis-chan, Clemenceau i ten trzeci, jak mu tam? Później sobie przypomni.

– Co oni robią? – dopytuje się Wilma. Ludziki na parapecie maszerowały w prawo, ale nagle zawróciły i pędzą truchtem w lewo. Do uzbrojenia dodały lance z lśniącymi ostrzami, kilka niesie werble. Wilma stara się, by ludziki jej nie rozpraszały, ale ogromną przyjemność sprawia jej oglądanie czegoś tak drobiazgowego i konkretnego. Tobias jest jednak niezadowolony, gdy czuje, że Wilma nie poświęca mu pełnej uwagi. Z wysiłkiem wraca do solidnej, niewidocznej terażniejszości. – Idą tutaj?

– Po prostu stoją – odpowiada Tobias. – Wałęsają się – dodaje z dezaprobatą. – Młodzi ludzie.

Tobias jest zdania, że wszyscy młodzi to darmozjady i powinni znaleźć pracę. Nie łączy tego z faktem, że niewiele posad jest dostępnych dla młodych. Skoro brakuje miejsc pracy, powinni je stworzyć, mówi.

– Ilu ich jest? – pyta Wilma. Jeśli około tuzina, to chyba nic poważnego.

– Wydaje mi się, że około pięćdziesięciu – odpowiada Tobias. – Mają transparenty. Nie gliniarze, ale tamci. Teraz próbują zablokować furgonetkę firmy Linens for Life. Patrz, stoją tuż przed nią.

Tobias zapomniał, że Wilma nie widzi.

– Co jest na transparentach? – pyta.

Blokowanie furgonetki Linens for Life jest przejawem braku współczucia. Dziś wypada dzień zmiany pościeli u rezydentów, którzy nie potrzebują dodatkowych usług i gumowych prześcieradeł. Wilma słyszała, że na oddziale wspomaganego zaawansowanego pościel zmienia się częściej, dwa razy dziennie. Dwór Ambrozja nie jest tani, a krewni nie życzyliby sobie odleżyn u bliskich. Za swoje pieniądze chcą otrzymać należyte usługi, tak przynajmniej twierdzą. W rzeczywistości chodzi im o to, by stare dinozaury odeszły szybko i żeby nikt nie ponosił za to winy. Wtedy krewni będą mogli zgarnąć resztę majątku – spadek, zaskórniaki, pieniądze na czarną godzinę – i powiedzieć sobie, że im się należy.

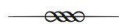
– Na niektórych transparentach są zdjęcia dzieci – mówi Tobias. – Pucowałowych, uśmiechniętych dzieci. Na innych widzę napis: „Czas odejść”.

– Czas odejść? – mówi Wilma. – Dzieci? Co to znaczy? To nie jest szpital położniczy.

Właściwie jego przeciwieństwo, myśli kostycznie: tu znajduje się wyjście z życia, nie wejście. Tobias nie odpowiada.

– Gliniarze przepuścili furgonetkę – mówi.

Świetnie, myśli Wilma. Zmiana pościeli dla wszystkich. Nie zaśmierdniemy.



Tobias udaje się na swoją przedpołudniową drzemkę – przyjdzie później i zaprowadzi ją do jadalni na lunch – a Wilmie po kilku falstartach oraz zrzuceniu deski do serów udaje się zlokalizować na kuchennym blacie radio, które włącza. Radio, wykonane z myślą o ludziach niedowidzących, posiada tylko dwa przyciski: włącznik oraz przycisk zmiany częstotliwości; seledynowa obudowa z wodoszczelnego plastiku dobrze leży w dłoni. Kolejny prezent od mieszkającej na zachodnim wybrzeżu Alyson, która zadręcza się, że nie dość robi dla Wilmy. Z pewnością odwiedzałyby matkę częściej, gdyby nie nastoletnie bliźniaki z bliżej

niesprecyzowanymi problemami i gdyby nie obowiązki służbowe samej Alyson w dużej międzynarodowej firmie zajmującej się księgowością. Wilma musi zadzwonić do niej później i zapewnić córkę, że nadal żyje; wtedy bliźniaki zostaną zmuszone do przywitania się z babcią. Te rozmowy telefoniczne pewnie bardzo im ciążyą, zresztą czemu się dziwić? Ciężą samej Wilmie.

Może w lokalnych wiadomościach powiedzą coś o strajku czy co tam się dzieje. Wilma jest w stanie słuchać wiadomości, zmywając naczynia, co nieźle jej wychodzi, pod warunkiem że się nie spieszy. W razie zbitej szklanki będzie musiała zadzwonić i poczekać, aż Katia, jej osobista sprzątaczką, przyjdzie i posprząta, nieustannie utyskując z tym swoim słowiańskim akcentem. Odłamki szkła potrafią być zdradliwie ostre, a Wilma nie powinna narażać się na ryzyko skaleczenia, tym bardziej że nie pamięta, w której szufladzie w łazience trzyma plastry.

Plamy krwi na podłodze zostałyby błędnie odczytane przez zarząd dworu Ambrozja. Ludzie ci tak naprawdę nie wierzą, że Wilma potrafi funkcjonować samodzielnie. Tylko czekają na wymówkę, która pozwoli im wcisnąć Wilmę na oddział wspomaganego zaawansowanego, zabrać resztkę jej mebli, porcelany i sreber, po czym sprzedać wszystko, by zwiększyć zyski. Na tym polega umowa, sama ją podpisała; to było wpisowe, cena wygody, bezpieczeństwa. Cena niebycia ciężarem. Wilma zachowała dwa piękne antyki, małą sekretkę oraz toaletkę – ostatnie relikty dawnego życia. Całą resztę posłała trójce dzieci, które tak naprawdę nie wiedziały, co począć z rzeczami po matce – nie były w ich guście – i na pewno wcisnęły je do piwnicy, choć okazały pełną szacunku wdzięczność.

Wesoła radiowa muzyka, serdeczna pogawędka prezentera i prezenterki, więcej muzyki, prognoza pogody. Fala upałów na północy, powódzie na zachodzie, tornada. Huragan ciągnie w stronę Nowego Orleanu, inny miażdży wschodnie wybrzeże, typowe zjawisko w czerwcu. Za to w Indiach wszystko na opak: monsuny zawiodły, ludzie obawiają się głodu. W Australii utrzymuje się susza, tylko w rejonie Cairns powódzie i krokodyle wdzierające się na ulice. Pożary lasów w Arizonie, Polsce oraz Grecji. U nas jednak wszystko w jak najlepszym porządku, świetna pora na plażę, złapcie trochę opalenizny, nie zapomnijcie o filtrze, ale uważajcie na burze, które mogą nadejść później. Miłego dnia!

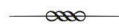
Oto główne wiadomości. Po pierwsze, w Uzbekistanie upadł reżim; po drugie strzelanina w Denver będąca dziełem szaleńca, którego następnie zlikwidował



snajper. Przy trzeciej wiadomości Wilma nadstawia uszu. Na przedmieściach Chicago spłonął dom starców podpalony przez napastników w dziecięcych maskach, drugi taki dom spłonął w Savannah, trzeci w Akron w stanie Ohio. Jeden z domów opieki miał status państwowy, ale dwa pozostałe były instytucjami prywatnymi, z własną ochroną, rezydenci zaś – niektórzy spalili się na węgiel – bynajmniej nie byli biedni.

Komentator radiowy mówi, że zbieg okoliczności jest wykluczony. Odpowiedzialność za podpalenia wzięła na siebie grupa o nazwie Kaszanolej – zamieściła informację na stronie internetowej, której właściciele władze usiłują namierzyć. Rodziny zmarłych są w szoku, co jest w pełni zrozumiałe, mówi prezenter radiowy. Potem następuje wywiad z zapłakany krewnym, którego nie da się zrozumieć. Wilma wyłącza radio. Nie wspomnieli o pikiecie przed dworem Ambrozja, ale pewnie jest za mała, a protestujący nie stosują przemocy, więc zdarzenie nie zasłużyło na wzmiankę.

Kaszanolej. Tak to brzmiało, nie powiedzieli, jak się pisze. Wilma poprosi Tobiasa, żeby obejrzał wiadomości w telewizji – twierdzi, że tego nie lubi, choć stale je ogląda – i powiedział jej więcej. Nie zwraca uwagi na festiwal ludzików w pobliżu kuchenki mikrofalowej – odziani w różowe i pomarańczowe stroje z licznymi falbankami noszą groteskowo wysokie peruki – i mości się do przedpołudniowej drzemki. Dawniej nie cierpiała drzemać, zresztą nadal nie cierpi, bo nie chce niczego przegapić. Jednak bez drzemki nie daje rady przeżyć dnia.



Tobias prowadzi ją przez hol do jadalni. Przychodzą na drugą turę, ponieważ zdaniem Tobiasa jedzenie lunchu przed trzynastą jest przejawem grubiaństwa. Idzie szybciej niż zazwyczaj, aż Wilma prosi, by zwolnił.

– Naturalnie, droga pani – mówi, ściskając jej łokieć; w ten sposób ją ponagla. Raz objął Wilmę w talię – w przeciwieństwie do innych rezydentów nadal posiada talię, mniej więcej – ale stracił równowagę i o mały włos nie runęli na ziemię. Tobias nie jest wysokim mężczyzną, w dodatku wymieniono mu staw biodrowy. Zachowanie równowagi to dla niego priorytet.

Wilma nie wie, jak wygląda Tobias, już nie. Prawdopodobnie go upiękaczyła, uczyniła młodszym, mniej pomarszczonym, czujniejszym. W jej wyobraźni ma na

głowie więcej włosów.

– Tyle mam ci do powiedzenia – mówi Tobias z ustami zbyt blisko jej ucha. Wilma chce mu powiedzieć, żeby nie krzyczał, przecież nie jest głucha. – Dowiedziałem się, że ci ludzie nie strajkują. Nie wycofują się, jest ich coraz więcej. – Taki obrót spraw niezmiernie go ożywił, niemal podśpiewuje.

W jadalni odsuwa krzesło Wilmy, pomaga jej usiąść, wsuwa krzesło z powrotem, w chwili gdy Wilma opuszcza pośladki. Pełne gracji wsuwanie krzesła kobiety jest sztuką niemal zapomnianą, myśli Wilma, jak podkuwanie koni czy wyposażanie strzał w lotki. Potem Tobias siada naprzeciwko niej, niewyraźny kształt na tle tapety w kolorze skorupki jajka. Wilma przekręca głowę w bok, widzi nieostrą impresję jego twarzy z ciemnymi, intensywnymi oczyma. Zapamiętała je jako intensywne.

– Co jest w karcie? – pyta Wilma. Przy każdym posiłku otrzymują wydrukowane menu, pojedynczą kartkę z wytłoczonym lipnym godłem. Gładki kremowy papier, jak programy teatralne z minionej epoki, zanim stały się byle jakimi świstkami pełnymi reklam.

– Zupa grzybowa – odpowiada Tobias. Zazwyczaj rozwodzi się na temat posiłków, łagodnie je krytykuje, wspominając jednocześnie wystawne uczyty z dawnych czasów. Jego zdaniem nikt już nie potrafi gotować, dotyczy to zwłaszcza przyrządzania cielęciny. Dziś jednak pomija te komentarze. – Dogłębnie zbadałem tę sprawę – mówi. – W świetlicy. Zajmowałem się trollowaniem.

Chce przez to powiedzieć, że za pomocą komputera szukał wskazówek w internecie. Rezydentom Ambrozji nie wolno używać komputerów. Zgodnie z oficjalną wersją system jest za mało wydajny. Wilma podejrzewa, że tak naprawdę zarząd obawia się, że kobiety padną ofiarą oszustów i zaczną romansować z niewłaściwymi osobami, które wyłudzą od nich pieniądze. Mężczyzn natomiast wciągnie pornografia, nadmiernie się podniecą, dostaną zawału, a oburzeni krewni wytoczą procesy, uważając, że zarząd dworu Ambrozja powinien dokładniej pilnować staruszków.

Rezydenci nie mają więc własnych komputerów, ale korzystają z tych, które stoją w świetlicy – dostęp do nich można kontrolować jak w przypadku dzieci w okresie dojrzewania. Zarząd namawia rezydentów, by unikali uzależniających stron; woli, żeby lepili z gliny, kleili geometryczne bryły z tektury albo grali

w brydża, co ma ponoć opóźnić demencję. Chociaż, jak mówi Tobias, w przypadku brydżystów ktoś może to stwierdzić? Wilma, która swego czasu sporo grała w brydża, nie komentuje.

W porze kolacji terapeutka zajęciowa Shoshanna robi obchód i wierci rezydentom dziurę w brzuchu, by wyrażali się poprzez sztukę. Namawiana do wzięcia udziału w malowaniu palcami, robieniu naszyjników z makaronu czy innym przedsięwzięciu wymyślonym przez genialną Shoshannę, by nakłonić rezydentów do pozostania na planecie do kolejnego wschodu słońca, Wilma wymawia się słabym wzrokiem. Pewnego razu Shoshanna podbiła stawkę, bajdurząc o niewidomych twórcach, którzy osiągnęli międzynarodową sławę dzięki pięknym wyrobom ceramicznym. Czy Wilma nie chciałaby poszerzyć swoich horyzontów i spróbować? Wilma nie dała się nabrać. Odsłaniając w uśmiechu twarde sztuczne zęby, powiedziała:

– Stary pies. Żadnych nowych sztuczek.

Co się tyczy pornografii internetowej, niektórzy zmyślni rozpustnicy posiadają telefony i za ich pomocą raczą się widokami parady dziwolągów. Tak twierdzi Tobias, który plotkuje z każdym, kto się nawinie, jeśli akurat nie plotkuje z Wilmą. Sam twierdzi, że nie zawraca sobie głowy marną, nieelegancką pornografią w telefonie, ponieważ kobiety są za małe. Zdaniem Tobiasa istnieją granice zmniejszania kobiecego ciała, po których przekroczeniu wygląda ono jak mrówka z sutkami. Wilma nie do końca wierzy w te opowieści abstynenta, chociaż może Tobias nie kłamie. Niewykluczone, że jego własne zmyślane sagi są bardziej erotyczne niż wszystko, co jest w stanie wyprodukować telefon; w dodatku sagi mają tę zaletę, że występuje w nich Tobias.

– Czego jeszcze się dowiedziałeś? – pyta Wilma. Wokół nich rozlega się pobrękiwanie łyżek o porcelanę, szum przyciszonych rozmów, bzyczenie owadów.

– Oni mówią, że teraz ich kolej – mówi Tobias. – Dlatego na transparentach mają wypisane: „Nasza kolej”.

– Ach, tak. – Wilma w końcu pojmuje. Kaszanolej. Nasza kolej. Przesłyszała się. – Ich kolej na co?

– Na życie, tak twierdzą. W telewizji widziałem wywiad z jednym z nich. Oczywiście wszędzie przeprowadzają z nimi wywiady. Mówią, że nasza kolej już

minęła, ich zdaniem ludzie w naszym wieku spieprzyli sprawę. Zabiliśmy planetę własną chciwością i tak dalej.

– Mają trochę racji – przyznaje Wilma. – Faktycznie spieprzyliśmy sprawę. Oczywiście nie celowo.

– To zwykli socjaliści – stwierdza Tobias. Jest niskiego mniemania o socjalistach. Każdy człowiek, którego Tobias nie lubi, jest socjalistą w takim czy innym przebraniu. – Zwykli leniwi socjaliści, którzy zawsze próbują zagarnąć owoce cudzej pracy.

Wilma nie była pewna, w jaki sposób Tobias zarobił pieniądze. Mógł sobie pozwolić nie tylko na wszystkie byłe żony, ale także na spory apartament we dworze Ambrozja. Sądzi, że Tobias robił podejrzane interesy w krajach, gdzie wszystkie interesy są podejrzane, ale jest skryty w kwestii swoich dawnych poczynań finansowych. Ogranicza się do stwierdzenia, że posiadał kilka firm zajmujących się handlem międzynarodowym, poczynił rozsądne inwestycje, choć nie nazywa siebie człowiekiem bogatym. Jednak bogaci ludzie nigdy tak siebie nie nazywają – mówią, że prowadzą wygodne życie.

Wilmie również żyło się wygodnie, dopóki jej mąż nie odszedł. Przypuszczalnie nadal żyje jej się wygodnie. Nie zwraca już specjalnej uwagi na oszczędności, tym zajmuje się firma zarządzająca jej majątkiem. Alyson patrzy jej na ręce, na ile może z zachodniego wybrzeża. Dwór Ambrozja nie wywalił Wilmy na bruk, więc rachunki są najpewniej płacone.

– Czego oni od nas chcą? – pyta Wilma, starając się, by nie wypadło to opryskliwie. – Ci ludzie z transparentami. Na miłość boską, przecież my nic nie możemy zrobić.

– Oni chcą, żebyśmy ustąpili im miejsca. Chcą, żebyśmy się posunęli. Niektóre transparenty głoszą: „Suńcie się”.

– Mają chyba na myśli: umrzyjcie – mówi Wilma. – Są dziś bułki?

Czasami podają przepyszne bułki Parker House, prosto z pieca. Dietetycy dworu Ambrozja, chcąc przyczynić się do stworzenia domowej atmosfery, starają się odtworzyć menu sprzed siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu lat. Makaron z serem, suflety, custard, pudding ryżowy, galaretki z bitą śmietaną. Dodatkową zaletą tych smakołyków jest miękkość, nie stanowią więc zagrożenia dla chwiejnych zębów.

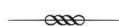
– Nie – mówi Tobias. – Nie ma bułek. Teraz podają potrawkę z kurczaka.

– Myślisz, że są niebezpieczni? – pyta Wilma.

– Nie tutaj – odpowiada Tobias. – Za to w innych krajach podkładają ogień. Ta grupa. Mówią, że mają zasięg międzynarodowy. Twierdzą, że powstają miliony.

– Och, w innych krajach stale coś podpalają – mówi lekko Wilma. „O ile pożyję tak długo”, słyszy, jak mówi do swego byłego dentysty. Ten sam nonszalancki ton: „Coś podobnego nigdy mi się nie przydarzy”.

Idiotka, mówi do siebie. Myślenie życzeniowe. Ale w najmniejszym stopniu nie potrafi poczuć, że coś jej zagraża, a już na pewno nie te bzdury pod bramą.



Po południu Tobias wprasza się na herbatę. Jego pokój znajduje się po drugiej stronie domu. Z okien widać tereny za dworem, żwirowe ścieżki, liczne ławki dla rezydentów, którym zabraknie tchu, ładne altany oferujące schronienie przed słońcem oraz trawniki do gier i zabaw. Tobias widzi to wszystko, opisał to Wilmie szczegółowo, nie kryjąc zadowolenia, nie widzi jednak frontowej bramy. Teraz przyszedł do niej bez lornetki skuszony rozległym widokiem.

– Jest ich więcej – informuje Wilmę. – Ponad stu. Niektórzy noszą maski.

– Maski? – pyta zaintrygowana Wilma. – Jak na Halloween? – Wyobraża sobie duszki, Drakulę, królowy-wrózki, czarownice i Elvisów Presleyów. – Sądziłam, że maski są zakazane. Podczas zgromadzeń.

– Niezupełnie jak na Halloween – prostuje Tobias. – To są maski niemowląt.

– Różowe? – pyta Wilma, czując lekki dreszcz lęku. Niemowlęce maski na twarzach wzburzonych demonstrantów. Horda potencjalnie groźnych niemowlaków wzrostu dorosłego człowieka. Nikt nad nimi nie panuje.

Dwudziestu czy trzydziestu ludzików trzymających się za ręce okrąża naczynie będące najpewniej cukiernicą. Tobias lubi słodzić herbatę. Kobiетки noszą spódnice uszyte chyba z nachodzących na siebie warstw płatków różanych, mężczyźni połyskują opalizującym niebieskim jak pawie pióra. Jacy są wymuskani, wycackani. Trudno uwierzyć, że nie są prawdziwi, tacy są materialni, a detale tak drobiazgowo.

– Niektórzy – odpowiada Tobias. – Inni są żółci. Jeszcze inni brązowi.

– Pewnie to próba sztuki, w której występują ludzie różnych ras – sugeruje Wilma. Ukradkiem przesuwa rękę po stole w stronę tańczących ludzików. Gdyby tylko zdołała jednego schwytać, złapać kciukiem i palcem wskazującym jak żuka. Może wtedy daliby po sobie poznać, że dostrzegają jej obecność, choćby kopaniem i gryzieniem. – Są też ubrani jak niemowlęta? – Na przykład pieluchy, śpiochy z hasłami lub śliniaki z niestosownie groźnymi piratami albo zombie. Takie śliniaki były kiedyś szalenie modne.

– Nie, tylko twarze – mówi Tobias.

Małeńcy tancerze nie dają Wilmie satysfakcji: jej palce nie muskają ich, przez co ludziki raz na zawsze dowodzą swej nierzeczywistości. Wykrzywiają szereg, by przed nią czmychnąć, więc może jednak są jej świadomi. Może się z nią droczyć, małe dranie.

Nie bądź niemądra, upomina się Wilma. To jest syndrom. Charlesa Bonnarda. Dobrze udokumentowany, inni ludzie też na niego cierpią. Nie, Bonneta: Bonnard był malarzem, jest niemal pewna. Czy może Bonnivert?

– Teraz blokują inną furgonetkę – mówi Tobias. – Tę, co przywozi kurczaki.

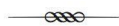
Kurczaki, podobnie jak jajka, pochodzą z pobliskiej fermy organicznej. Szczęśliwe Gdaczki Barneya i Dave’a. Zawsze dostarczają je w czwartki. Brak kurczaków i jajek – na dłuższą metę mógłby być kłopotliwy, myśli Wilma. We dworze Ambrozja podniosą się głosy niezadowolenia. „Nie za to płaciłem”.

– Są tam gliny? – pyta Wilma.

– Nie widzę żadnych – mówi Tobias.

– Musimy zapytać w recepcji – postanawia Wilma. – Musimy złożyć zażalenie! Tych ludzi powinno się usunąć albo coś w tym rodzaju.

– Już pytałem – odpowiada Tobias. – Nie wiedzą więcej niż my.



Kolacja przebiega w bardziej radosnym nastroju niż zwykle: więcej plotkowania, pobrękiwania, częściej wybucha przenikliwy śmiech. W jadalni chyba brakuje obsługi, co w zwykły wieczór mogłoby skutkować większą opryskliwością, teraz jednak panuje atmosfera z trudem powstrzymanego podniecenia. Ktoś upuszcza tacę, rozbija się szklanka, ktoś wiwatuje. Pensjonariuszy przestrzega się

przed rozrzuconymi kostkami lodu, ledwie widzialnymi i śliskimi. Chyba nie chcemy tu złamanych bioder, prawda, pyta Shoshanna dzierżąca mikrofon.

Tobias zamawia do stolika butelkę wina.

– Raz się żyje – mówi. – Patrzę na ciebie, kochana!

Brzękają kieliszki. Tego wieczoru Tobias i Wilma nie jedzą kolacji we dwoje. Tobias zaproponował stół dla czworga, a Wilma, ku własnemu zdziwieniu, wyraziła zgodę. Jeśli liczebność nie zapewnia bezpieczeństwa, to przynajmniej stwarza jego iluzję. Dopóki będą razem, zdołają utrzymać nieznane na dystans.

Pozostałe dwie osoby przy stole to Jo-Anne i Noreen. Szkoda, że nie udało się ściągnąć drugiego mężczyzny, myśli Wilma, ale w ich grupie wiekowej kobiet jest czterokrotnie więcej niż mężczyzn. Według Tobiasa kobiety żyją dłużej, ponieważ są mniej skore do oburzenia i bardziej zaprawione w upokorzeniach, bo czymże innym jest starość, jeśli nie długim ciągiem upokorzeń? Jaka uczciwa osoba mogłaby znieść coś takiego? Kiedy mdłe jedzenie daje się Tobiasowi we znaki albo gdy szczególnie dotkliwie doskwiera mu artretyzm, grozi, że strzeli sobie w łeb. Gdyby tylko zdołał zdobyć niezbędną broń. Mógłby też, wzorem szlachetnych Rzymian, przeciąć sobie żyły w wannie. Kiedy Wilma protestuje, Tobias uspokaja ją, że to tylko odzywa się w nim ponury Węgier; wszyscy Węgrzy mówią w ten sposób. Jeśli jesteś Węgrem, każdego dnia grozisz odebraniem sobie życia, chociaż – żartuje Tobias – stanowczo zbyt niewielu spełnia groźby.

Dlaczego nie Węgierki, kilkakrotnie pytała go Wilma. Dlaczego one nie podcinają sobie żył w wannie? Lubi zadawać te same pytania kilka razy, ponieważ czasem otrzymuje taką samą odpowiedź, czasem zaś nie. Tobias może się pochwalić co najmniej trzema miejscami urodzenia, uczęszczał na cztery uniwersytety, legitymuje się wieloma paszportami.

– Węgierki nie mogą się na to zdobyć – powiedział kiedyś. – One nigdy nie wiedzą, kiedy zabawa się kończy w miłości, życiu czy śmierci. Flirtują z grabarzem, flirtują z facetem, który sypie ziemię na ich trumnę. Nigdy nie rezygnują.

Jo-Anne i Noreen nie są Węgierkami, niemniej jednak przejawiają imponujące zdolności w dziedzinie flirtowania. Gdyby miały wachlarze z piór, uderzałyby nimi Tobiasa, gdyby miały bukiety, ciskałyby w niego pączkami róży, gdyby miały kostki u stóp, to by nimi błyskały. W rzeczywistości ograniczają się do chichotów. Wilma

pragnie zwrócić im uwagę, żeby zachowywały się stosownie do wieku, ale gdyby faktycznie tak się stało, co wtedy?

Wilma zna Jo-Anne z basenu. Kobieta dwa razy w tygodniu próbuje przepłynąć kilka długości; w sumie sobie radzi, pod warunkiem że ktoś pomoże jej wejść do wody, a potem wyjść i zaprowadzi do przebieralni. Noreen musiała spotkać na jakimś grupowym wydarzeniu, może na koncercie; poznaje jej śmiech podobny do gruchania gołębia. Wilma nie ma pojęcia, jak tamte wyglądają, choć kątem oka dostrzega, że obie używają szminki w kolorze magenty.

Tobias jest całkiem rad z nowej kobiecej publiczności. Zdążył już powiedzieć Noreen, że promienieje, a w rozmowie z Jo-Anne napomknął, że gdyby był mężczyzną takim jak dawniej, nie byłaby z nim bezpieczna w ciemności.

– Gdyby tylko młodość wiedziała, gdyby tylko starość mogła – mówi.

Czy to odgłos całowanej dłoni? Obie kobiety chichoczą, czy raczej wydają odgłosy, które dawniej dałoby się uznać za chichot. Jest to raczej gdakanie, gęganie, świszczący oddech: nagle podmuchy wiatru w suchych liściach. Struny głosowe ulegają skróceniu, myśli ze smutkiem Wilma. Płuca się zapadają. Wszystko wysycha.

Co czuje w związku z flirtem, jaki odbywa się nad zupą z małży? Czy jest zazdrosna, chce mieć Tobiasa na wyłączność? Nie całego, tak daleko by się nie posunęła. Nie ma w niej pragnienia, by, metaforycznie rzecz ujmując, tarzać się z nim na sianie, ponieważ nie ma w niej żadnych pragnień. Chce jednak jego uwagi. Czy raczej chce, aby Tobias chciał jej uwagi, mimo że świetnie zadowala się tymi dwoma marnymi substytutami jej samej. Wszyscy troje trajkoczą jak w romansie w stylu regencji, a Wilma musi słuchać, bo nie ma jak się rozerwać. Ludziki się nie pojawiają.

Wilma usiłuje je przywołać. Wyjdźcie, rozkazuje bezgłośnie, kierując wzrok w stronę sztucznych kwiatów na środku stołu, pierwszorzędnej jakości, zapewnia Tobias, nie widać różnicy. Kwiaty są żółte, i to właściwie wszystko, co Wilma może o nich powiedzieć.

Nic się nie dzieje. Małeńkie stworki się nie pojawiają. Wilma nie ma wpływu na ich zjawianie się czy znikanie, co uznaje za niesprawiedliwość, bo przecież są wyłącznie tworem jej mózgu.



Po zupie małżowej przychodzi kolej na zapiekankę z mieloną wołowiną i grzybami, po niej zaś czas na pudding ryżowy z rodzynkami. Wilma koncentruje się na jedzeniu: kątem oka musi zlokalizować talerz, operuje widelcem jak koparką parową: musi przybliżyć, przekręcić, nabrać ładunek, podnieść. Wszystko to wymaga wysiłku. W końcu na stole ląduje talerz ze słodyczami: jak zwykle ciasteczka maślane i batoniki. Na chwilę miga jej siedem czy osiem kobietek w halkach w kolorze przybrudzonej bieli, jak w kankanie ukazują się ich nogi w jedwabnych pończochach, ale niemal natychmiast znów przechodzą w ciasteczka maślane.

– Co się dzieje na dworze? – pyta Wilma, wykorzystując przerwę w sieci komplementów, którą splatają pozostali biesiadnicy. – Przy bramie?

– Och – mówi wesoło Noreen. – Próbujemy o tym zapomnieć!

– Tak – włącza się Jo-Anne. – To zbyt przygnębiające. Żyjemy chwilą, prawda, Tobias?

– Wino, kobiety i śpiew – oznajmia Noreen. – Wprowadzić tancerki brzucha! – Obie się śmieją, co przypomina gdakanie.

Tobias o dziwo się nie śmieje. Gdy bierze jej rękę, Wilma czuje jego suche, ciepłe, kościste palce zamykające się na jej dłoni.

– Zbiera się ich coraz więcej. Sytuacja jest znacznie poważniejsza, niż początkowo przypuszczaliśmy, droga pani – mówi. – Nierozsądnie byłoby ją lekceważyć.

– Och, my jej nie lekceważymy – zapewnia Jo-Anne, starając się, by jej wypowiedzi nadal tańczyły nad stołem wesolutko jak bańki mydlane. – My ją po prostu ignorujemy!

– Ignorancja to błogostan! – szczebiocze Noreen, ale ani ona, ani Jo-Anne nie robią już wrażenia na Tobiasie. Zrezygnował z pozy arystokratycznego fircyka w stylu *Szkarłatnego kwiatu* i przeszedł w tryb człowieka czynu.

– Musimy spodziewać się najgorszego – mówi Tobias. – Nie zaskoczą nas we śnie. Teraz, droga pani, odprowadzę panią do domu.

Wilma oddycha z ulgą: Tobias do niej wrócił. Jak co wieczór, regularnie jak w zegarku, odprowadzi ją aż do drzwi. Czego się właściwie obawiała? Że ją porzuci, a ona na oczach wszystkich będzie musiała niegodnie wymacywać sobie drogę powrotną, podczas gdy on da dyla w krzaki z Noreen i Joe-Anne, by mogli

we troje oddawać się rozpuście w altanie? Wykluczone. Ochroniarze natychmiast by ich nakryli i odprowadzili na oddział wspomaganego zaawansowanego. Cały teren patrolują w nocy z latarkami i psami rasy beagle.

– Jesteśmy gotowi? – pyta Tobias, a Wilma czuje, jak zalewa ją fala sympatii do tego człowieka. My. To tyle, jeśli idzie o Jo-Anne i Noreen, które znowu stają się tylko nimi. Tobias ujmuje ją pod łokieć, Wilma opiera się na nim i wychodzą, jak sobie wyobraża, z godnością.

– Ale czym jest to najgorsze? – pyta go Wilma w windzie. – I jak możemy się na to przygotować? Chyba nie sądzisz, że nas spalą! Przecież policja by im na to nie pozwoliła.

– Nie możemy liczyć na policję – stwierdza Tobias. – Już nie.

Wilma chce protestować – Ależ muszą nas chronić, to ich praca! – ale się powstrzymuje. Gdyby policja faktycznie chciała się włączyć, już by to zrobiła. Najwyraźniej powstrzymują się od działania.

– Ci ludzie będą początkowo ostrożni – mówi Tobias. – Będą się posuwać małymi krokami. Wciąż mamy trochę czasu. Nie powinnaś się zamartwiać, porządnie się wysypiaj, zbieraj siły. Muszę poczynić przygotowania. Nie zawiodę.

To dziwne, jak wielką otuchę Wilma czerpie z małego melodramatu: Tobias bierze sprawy w swoje ręce, opracowuje misterny plan, przechytrza Los. Przecież jest tylko słabowitym, artretycznym staruszką, upomina się Wilma. Mimo to czuje się pewniej i spokojniej.

Przed jej drzwiami tradycyjnie cmokają się w policzek, potem nasłuchuje, jak Tobias, kuśtykając, oddala się korytarzem. Czy Wilma czuje żal? Czy to trzepotanie zamierzchniego ciepła? Czy naprawdę chce, by objął ją chudymi ramionami, przekopał się przez rzepy i suwaki do jej skóry, żeby niczym dwa stawonogi wykonali upiorną, skrzypiącą powtórkę aktu, który musiał spełniać bez wysiłku setki, nawet tysiące razy w przeszłości? Nie, ciche porównania, jakie musiałyby temu towarzyszyć, sprawiłyby jej zbyt wielki ból: ponętne, delektujące się czekoladkami kochanki, boskie piersi, marmurowe uda. A potem tylko ona.

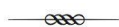
Wierzyłaś, że wraz z wiekiem zdołasz przekroczyć ciało, mówi do siebie Wilma. Wierzyłaś, że potrafisz wznieść się ponad nie ku pogodnej, spokojnej, niematerialnej sferze. Ale to można osiągnąć jedynie poprzez ekstazę, ekstazę zaś przeżywa się dzięki ciału. Bez ekstazy ciało jeszcze mocniej pociągnie cię w dół,

w głąb swego mechanizmu. Rdzewiejącego, skrzypiącego, mściwego, brutalnego mechanizmu.

Kiedy kroki Tobiasa cichną, Wilma zamyka drzwi i oddaje się rutynowym czynnościom przez senem. Buty zamienia na kapcie – najlepiej się nie spieszyć. Następnie należy zdjąć ubranie, jeden rzep po drugim, każdą część garderoby trzeba, mniej więcej, umieścić na wieszakach i schować do szafy. Bielizna do kosza na pranie, najwyższa pora: Katia zajmie się nią jutro. Sikanie odbywa się bez przesadnego wysiłku, woda spuszczone. Witaminy oraz inne pigułki popija sporą ilością wody, ponieważ rozpuszczanie się ich w przelyku bywa nieprzyjemne. Unika śmierci przez zadławienie.

Unika też upadku pod prysznicem. Chwyta się poręczy, nie używa za dużo śliskiego żelu. Wycieranie najlepiej udaje się w pozycji siedzącej: wiele osób spotkała przykra przygoda, kiedy próbowały wycierać sobie stopy na stojąco. Wilma karbuje sobie w pamięci, żeby zadzwonić do obsługi i umówić się na wizytę w salonie piękności w celu obcięcia paznokci u stóp. To kolejna rzecz, której nie potrafi już robić sama.

Czysta złożona koszula nocna leży na łóżku, umieszczona tam przez ciche dłonie pracujące za kulisami w porze kolacji; samo łóżko zostaje pościelone. Na poduszce zawsze leży czekoladka. Wilma maca, znajduje ją, odwija sreberko i łapczywie pochłania. Dwór Ambrozja różni się od konkurencji szczegółami, głosi broszura. Rozpieszczaj się. Zasługujesz na to.



Nazajutrz Tobias spóźnia się na śniadanie. Wilma wyczuwa, że się spóźnia, potem potwierdza to za pomocą mówiącego zegara w kuchni, kolejnego prezentu od Alyson. Naciskasz guzik – o ile zdołasz go znaleźć – a zegar oznajmia godzinę głosem protekcyjnej nauczycielki z drugiej klasy. „Jest ósma trzydzieści dwie. Ósma trzydzieści dwie”. Potem ósma trzydzieści trzy, ósma trzydzieści cztery, a z każdą mijającą minutą Wilma czuje, jak skacze jej w górę ciśnienie. Może coś mu się stało? Wylew, zawał? We dworze Ambrozja takie rzeczy zdarzają się co tydzień: to, że człowiek ma dużo pieniędzy na koncie, wcale go przed takimi wypadkami nie chroni.

W końcu Tobias się pojawia.

– Są nowiny – oznajmia Wilmie już na progu. – Poszedłem na poranne zajęcia jogi.

Wilma wybucha śmiechem. Nie może się powstrzymać. Śmieszy ją myśl, że Tobias ćwiczy jogę czy wręcz przebywa w tym samym pomieszczeniu co joga. Jak się ubrał na zajęcia? Tobias i dres do siebie nie pasują.

– Rozumiem twe rozbawienie, droga pani – mówi Tobias. – Gdybym miał inne możliwości, nie wybrałbym jogi, ale poświęciłem się w celu uzyskania informacji. Zresztą zajęcia się nie odbyły, ponieważ nie przyszedł instruktor. Dzięki temu panie i ja mogliśmy pogawędzić.

– Dlaczego instruktor nie przyszedł? – pyta Wilma, przytomniejąc.

– Zablokowali bramę – oznajmia Tobias. – Nie chcą nikogo wpuścić.

– Co się stało z policją? Z ochroną dworu? – Blokada to nie żarty. Blokady wymagają ciężkiego sprzętu.

– Ani widu, ani słyhu – odpowiada Tobias.

– Chodź, usiądź – mówi Wilma. – Napijmy się kawy.

– Masz rację – przyznaje Tobias. – Trzeba się zastanowić.

Oboje siadają przy stoliku, piją kawę, jedzą płatki owsiane. Tych z otrębami już nie ma, a Wilma zdaje sobie sprawę, że nikła jest nadzieja, by jeszcze je dostali. Muszę doceniać te płatki, myśli, kiedy chrzęszczą jej w głowie. Muszę smakować tę chwilę. Ludziki są dziś pobudzone, wirują w szybkim walcu, migoczą złotymi i srebrnymi cekinami, robią dla niej wspaniałe przedstawienie, ale Wilma nie może się teraz nimi zająć, bo są pilniejsze sprawy.

– Kogoś wypuszczają? – pyta Tobiasa. – Przez blokadę.

W której książce czytała o rewolucji francuskiej? Wersal zablokowany, rodzina królewska kisi się w środku we własnym sosie.

– Tylko personel – mówi Tobias. – Właściwie każą im odejść. Rezydentów nie wypuszczają. Musimy zostać. Najwyraźniej wydali takie rozporządzenie.

Wilma rozważa nowiny. Czyli personel może opuścić dwór, ale po wyjściu nie będzie już mógł wrócić.

– To znaczy, że koniec z furgonetkami dostawczymi – raczej stwierdza, niż pyta. – Na przykład z kurczakami.

– Naturalnie – przytakuje Tobias.

– W takim razie chcą nas zagłodzić na śmierć.

– Na to wygląda – mówi Tobias.

– Moglibyśmy się wymknąć w przebraniu – podsuwa Wilma. – Na przykład jako sprzątacze. Muzułmańscy sprzątacze, z owiniętymi głowami. Czy coś w tym guście.

– Szczerze wątpię, czy udałoby się nam przedostać – odpowiada Tobias. – To kwestia pokoleniowa. Czas zostawia swoje piętno.

– Przecież niektórzy sprzątacze mogą być całkiem starzy – mówi z nadzieją Wilma.

– Wszystko ma swoje granice – odpowiada Tobias i wzdycha, a może oddycha z trudem? – Ale nie wpadaj w rozpacz. Mam jeszcze coś w zanadrzu.

Wilma chce powiedzieć, że nie rozpacza, ale rezygnuje, bo mogłaby się zaplątać. Nie potrafi dokładnie wyrazić, co czuje. To wcale nie jest rozpacz. Nie jest to też nadzieja. Ona pragnie tylko dowiedzieć się, co się jeszcze wydarzy. Z pewnością nie będzie to utarta, codzienna rutyna.

Zanim cokolwiek zrobią, Tobias nalega, żeby na wszelki wypadek napełnić wannę Wilmy wodą. Jego wanna jest już pełna. Twierdzi, że wkrótce odetną prąd, potem przestanie płynąć woda, to tylko kwestia czasu.

Następnie robi inwentaryzację produktów w kuchni i minilodówce Wilmy. Nie ma tego wiele, ponieważ Wilma nie przechowuje produktów na lunch i kolację. Czemu ona lub ktokolwiek miałby to robić? Przecież nigdy nie przygotowują sobie posiłków.

– Mam trochę jogurtu z rodzynkami – mówi Wilma. – Jest też nieco oliwek.

– Nie możemy się tym odżywiać – prychnął Tobias i potrząsa pudełkiem z nieznaną zawartością, jakby je beształ. Mówi Wilmie, że wczoraj na wszelki wypadek wstąpił do sklepiku na parterze i kupił batony energetyczne, prażoną kukurydzę w karmelu oraz solone orzeszki.

– Jakże to rozsądne z twojej strony! – wykrzykuje Wilma.

Tak, przyznaje Tobias, to było rozsądne. Jednak te racje nie wystarczą im na długo.

– Muszę zejść na dół i sprawdzić zapasy w kuchni – mówi Tobias. – Zanim inni wpadną na podobny pomysł. Najpewniej zrobią nalot, traktując się nawzajem. Widywałem już takie rzeczy.

Wilma chce mu towarzyszyć, chce go uchronić przed stratowaniem, bo kto uznałby ją za zagrożenie? Gdyby faktycznie udało im się umknąć przed hordami, trochę produktów żywnościowych mogłaby zanieść w torebce do domu. Nie proponuje tego jednak, bo oczywiście stałaby się zawalidrogą: Tobias ma już dość na głowie bez konieczności prowadzenia jej tu i tam.

Tobias chyba wyczuwa, że Wilma pragnie się na coś przydać. Troskliwie zadbał o rolę dla niej: ma siedzieć u siebie i słuchać wiadomości. Tobias nazywa to gromadzeniem informacji.

Po jego wyjściu Wilma włącza radio w małej kuchni i zabiera się do gromadzenia informacji. Najnowsze doniesienia nie wzbogacają specjalnie ich wiedzy. Nasza Kolej jest międzynarodowym ruchem dążącym do, jak to ujął jeden z demonstrantów, oczyszczenia świata z „pasożytniczego próchna na szczycie”; inny określił ich mianem „kotów z kurzu pod łóżkiem”.

Władze działają sporadycznie, o ile w ogóle. Naprawdę mają ważniejsze sprawy na głowie: kolejne powodzie, niekontrolowane pożary lasów, tornada – wszystko to sprawia, że stąpają jak po rozżarzonych węglach. Radio nadaje wypowiedzi. Rezydenci domów opieki nie powinni ulegać panice, nie powinni też wałęsać się po ulicach, gdzie nie da się zapewnić im bezpieczeństwa. Kilka osób, które pochopnie postanowiły stawić czoło tłumowi, zostało rozszarpanych na kawałki gołymi rękami. Ludzie uwięzieni z powodu blokad powinni pozostać na miejscu, ponieważ wkrótce władze nad wszystkim zapanują. Nie wyklucza się użycia helikopterów. Krewni oblężonych nie powinni podejmować żadnych działań na własną rękę, ponieważ sytuacja jest niestabilna. Wszyscy powinni słuchać policji, wojska lub sił specjalnych. Powinni słuchać ludzi z megafonami. Przede wszystkim należy pamiętać, że pomoc jest w drodze.

Wilma wątpi w to, ale nie wyłącza radia, by wysłuchać dyskusji panelowej. Prowadzący proponuje, żeby każdy z uczestników podał wiek, zawód i stanowisko, tak też się dzieje: antropolog społeczny wykładający na uniwersytecie lat trzydzieści i pięć, inżynier energetyk lat czterdzieści dwa, finansista lat pięćdziesiąt sześć. Paneliści dyskutują, czy to, co się dzieje, to wybuch bandytyzmu, atak na rozumienie starości, rodziny i szacunku dla innych, czy też mamy do czynienia ze zjawiskiem całkiem uzasadnionym, jeśli wziąć pod uwagę wyzwania, prowokacje oraz, nazwijmy rzecz po imieniu, katastrofę ekonomiczną

i środowiskową, z jaką muszą sobie radzić ludzie, powiedzmy, poniżej dwudziestego piątego roku życia.

Tak, doszło do wybuchu gniewu, to smutne, że najbardziej bezbronni członkowie społeczeństwa zostali kozłami ofiarnymi, ale w historii nie brak podobnych precedensów, w licznych społeczeństwach – peroruje antropolog – ludzie starsi z godnością usuwali się w cień, by zrobić miejsce dla młodych gęb: szli w śnieg albo wynoszono ich w góry i tam zostawiano. Wszystko to działo się jednak w czasach, gdy dysponowano mniejszymi zasobami materialnymi, zauważa ekonomista, społeczeństwa o wyższej średniej wieku tworzą nowe miejsca pracy. Owszem, ale zjadają pieniądze z opieki zdrowotnej, które i tak w większości idą na chorych w ostatnim stadium... tak, wszystko świetnie, ale aktualnie giną niewinni ludzie, jeśli wolno się wtrącić, to zależy, kogo nazywa pan niewinnymi, niektórzy z tych ludzi, chyba nie broni pan, oczywiście, że nie, ale musi pani przyznać...

Prowadzący oznajmia, że teraz będą odbierać telefony od słuchaczy.

– Nie ufaj nikomu przed sześćdziesiątką – mówi pierwszy słuchacz, który się dodzwonił. Wszyscy się śmieją.

Drugi słuchacz mówi, że nie rozumie, jak mogą to tak lekko traktować. Ludzie w pewnym wieku ciężko pracowali przez całe życie, przez dziesięciolecia płacili podatki, najpewniej nadal to robią, i gdzie w tym wszystkim rząd, czy nie rozumieją, że młodzi nigdy nie głosują? Jeżeli wybrani przedstawiciele szybko nie uporają się z tym problemem, wyborcy zemszczą się przy urnach. Potrzebujemy więcej więzień.

Trzeci rozmówca zaczyna od stwierdzenia, że owszem, głosuje, ale nigdy na tym dobrze nie wyszedł. Potem mówi:

– Spalić koty z kurzu.

– Przepraszam, nie dosłyszałem – mówi prowadzący.

Trzeci rozmówca zaczyna wrzeszczeć:

– Słyszał pan! Spalić koty z kurzu! Dobrze pan słyszał!

Połączenie zostaje przerwane i radio zaczyna nadawać optymistyczną muzykę.

Wilma wyłącza odbiornik. Na dzisiaj wystarczy informacji.

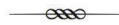
Kiedy maca wokół siebie w poszukiwaniu herbatki ekspresowej – parzenie herbaty to ryzykowne przedsięwzięcie, można się poparzyć, ale Wilma będzie

uważała – dzwoni jej telefon z dużymi cyframi. Staroświecki telefon ze słuchawką, Wilma nie radzi już sobie z komórkami. Kątem oka dostrzega aparat, ignoruje dziesięcioro czy dwanaścioro ludzików w długich atlasowych płaszczach obszytych futrem, ze srebrnymi mufkami, które ślizgają się na kuchennym blacie, i podnosi słuchawkę.

– Dzięki bogu – mówi Alyson. – Widziałam, co się dzieje, wasz dom pokazywali w telewizji, ludzie pod bramą, przewrócona furgonetka z pralni, tak się martwiłam. Natychmiast wsiadam do samolotu i...

– Nie – mówi Wilma. – Wszystko w porządku, nic mi nie jest. Panuję nad sytuacją. Zostań tam, gdzie... – Połączenie zostaje przerwane.

Czyli teraz przecinają przewody. Lada moment skończy się prąd. Jednak dwór Ambrozja posiada generator, co pozwoli przez pewien czas utrzymać porządek.



Kiedy Wilma pije herbatę, drzwi się otwierają, ale to nie Tobiasz, nie czuć zapachu wody Brut. Słychać pospieszne kroki, czuć woń soli i wilgotnego materiału, łkanie. Ktoś mocno obejmuje Wilnę, mierzwiąc jej włosy.

– Oni mówią, że muszę cię zostawić! Mówią, że muszę! Kazały nam opuścić budynek, wszyscy pracownicy, wszyscy ludzie ze służby zdrowia, my wszyscy albo...

– Katia, Katia, uspokój się – mówi Wilma i wyplątuje się z objęć, najpierw jedna ręka, potem druga.

– Jesteś dla mnie jak matka! – Wilma wie trochę za dużo o tyrańskiej matce Katii, by uznać to za komplement, ale rozumie, że tamta ma dobre intencje.

– Nic mi nie będzie – zapewnia.

– Ale kto będzie ci ścielił łóżko, kto przyniesie ci czyste ręczniki, kto posprząta rzeczy, które potłuczesz, kto położy ci wieczorem czekoladkę na poduszce... – Znowu łkanie.

– Dam sobie radę – zapewnia Wilma. – Teraz bądź grzeczną dziewczynką i nie rób kłopotów. Przyślą wojsko. Wojsko pomoże.

To kłamstwo, ale Katia musi sobie pójść. Dlaczego miałyby dać się uwięzić w miejscu, które coraz bardziej przypomina oblężoną twierdzę.



Wilma prosi Katię, żeby przyniosła jej torebkę, potem daje jej wszystkie drobne, które tam zostały. Niech ktoś zrobi z nich użytek, Wilma nie wybiera się w najbliższej przyszłości na zakupowe szaleństwo. Mówi Katii, żeby wzięła sobie z łazienki opakowane mydélka o kwiatowym zapachu, ale dwa, na wszelki wypadek, zostawiła Wilmie.

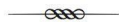
– Dlaczego w wannie jest woda? – pyta Katia. Przynajmniej przestała płakać. – To zimna woda! Napuszczę gorącej.

– Wszystko w porządku – mówi Wilma. – Zostaw to tam. Pospiesz się. Co będzie, jeśli zabarykadują drzwi? Lepiej, żebyś się nie spóźniła.

Po odejściu Katii Wilma, powłóczę nogami, idzie do salonu, po drodze strąca coś z półki – to słoik z ołówkami, słyhać odgłos drewnianych pałeczek – w końcu osuwa się na fotel. Zamierza dokonać oceny sytuacji, przeprowadzić bilans życia czy coś w tym rodzaju, ale najpierw spróbuje przebrnąć przez jedno czy dwa zdania *Przeminęło z wiatrem* na czytniku z dużą czcionką. Włącza czytnik i znajduje miejsce, od którego postanowiła czytać, co samo w sobie jest cudem. Czy już czas nauczyć się Braille'a? Owszem, ale teraz to mało prawdopodobne.

„Och, Ashleyu, Ashleyu – pomyślała z szybkim biciem serca”<sup>[17]</sup>... Idiotka, myśli Wilma. Zniszczenie tuż, tuż, a ty wzdychasz do tego wymoczka? Atlanta pójdzie z dymem. Tara zostanie obrócona w perzynę. Wszystko zdmuchnie wiatr.

Zanim się spostrzegła, zasnęła.



Budzi ją Tobias, delikatnie potrząsając jej ramieniem. Czyżby chrapała, miała otwarte usta, czy mostek tkwi na miejscu?

– Która godzina? – pyta.

– Czas na lunch – odpowiada Tobias.

– Udało ci się znaleźć coś do jedzenia? – Wilma siada prosto.

– Zdobyłem makaron oraz fasolę w puszcze. Ale kuchnia była zajęta.

– Ach tak? – mówi Wilma. – Czyli ktoś z personelu jednak został?

To byłaby pocieszająca wiadomość. Wilma uświadamia sobie, że jest głodna.

– Nie, cały personel odszedł – mówi Tobias. – Noreen, Jo-Anne i kilka innych osób ugotowało zupę. Zejdziemy?



Sądząc po hałasie, jadalnia imprezuje: wszyscy wczuwają się w atmosferę, czymkolwiek by była. Wilma przypuszcza, że jest to atmosfera hysterii. Na pewno noszą zupę z kuchni, bawiąc się w kelnerów. Brzęk, coś się stłukło, śmiechy.

Tuż za uchem Wilmy rozlega się głos Noreen.

– Nieźle, co? Wszyscy zakasują rękawy i włączają się do pracy! Jak na obozie letnim! Pewnie myśleli, że nie damy sobie rady!

– Co sądzisz o naszej zupie? – pyta tym razem Jo-Anne. Pytanie jest skierowane nie do Wilmy, ale do Tobiasa. – Ugotowaliśmy ją w kociołku!

– Jest pyszna, droga pani – odpowiada uprzejmie Tobias.

– Zrobiliśmy nalot na zamrażarkę! – mówi Jo-Anne. – Do naszej zupy wrzuciliśmy wszystko! Wszystko z wyjątkiem zlewu! Oko traszki! Łapkę żaby! Paluszek zaduszonego dzieciątka! – Chichocze.

Wilma usiłuje rozpoznać składniki zupy. Kawalek kielbasy, bób, grzyb?

– Kuchnia jest w opłakanym stanie – konstatuje Noreen. – Nie wiem, za co płaciliśmy tak zwanemu personelowi! Na pewno nie za sprzątanie! Widziałam szczura.

– Ćśśś – ucisza ją Jo-Anne. – To, czego nie wiedzą, nie może ich zranić! – Obie śmieją się radośnie.

– Zwykły szczur nie robi na mnie wrażenia – zapewnia Tobias. – Widywałem gorsze rzeczy!

– Okropna sprawa z oddziałem wspomaganego zaawansowanego – mówi Noreen. – Poszliśmy sprawdzić, czy dałoby się zanieść im trochę zupy, ale drzwi są zamknięte na klucz.

– Nie mogliśmy ich otworzyć – dodaje Jo-Anne. – Personel znikł, co oznacza...

– To straszne, straszne – mówi Noreen.

– Nic nie poradzimy – stwierdza Tobias. – Zresztą ludzie w tym pomieszczeniu nie mogą się zatroszczyć o innych. To przekracza nasze możliwości.

– Ale oni pewnie są tam tacy zagubieni – mówi cicho Noreen.

– Cóż – odzywa się Jo-Anne. – Myślę, że po lunchu wszyscy powinniśmy wziąć się w garść, uformować dwuszereg i wymaszerować stąd! Powiadomimy władze,

przyjadą, otworzą drzwi i przeniosą tych biedaków w inne miejsce. To wszystko woła o pomstę do nieba! Jeśli chodzi o te durne dziecięce maski...

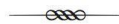
– Oni cię nie przepuszczą – informuje Tobias.

– Wszyscy ruszymy razem! Będą ludzie z prasy! Na oczach całego świata nie odważą się nas zatrzymać!

– Nie liczyłbym na to – studzi ją Tobias. – Kiedy dzieją się takie rzeczy, cały świat chce mieć najlepsze miejsce, żeby się gapić. Palenie czarownic i publiczne wieszanie ludzi zawsze cieszyły się wielką popularnością.

– Teraz to mnie wystraszyłeś! – stwierdza Joe-Anne, choć w jej głosie wcale nie słychać strachu.

– Najpierw zamierzam się zdrzemnąć – oznajmia Noreen. – Zbiorę siły. Przed wymarszem. Skoro długo tu nie zostaniemy, przynajmniej nie musimy zmywać naczyń w tej wstrętnej kuchni.



Tobias zrobił obchód terenu, mówi, że zgodnie z przewidywaniami przy tylnej bramie też stoją demonstranci. Resztę popołudnia spędza w apartamencie Wilmy, gdzie korzysta z lornetki. Przed bramą z lwami gromadzi się więcej ludzi, mówi, że wymachują starymi transparentami, jest też kilka nowych:

JUŻ PORA. SPALIĆ KOTY Z KURZU.

PROSIMY, TYM RAZEM SIĘ POSPIESZCIE.

Nikt nie zapuszcza się za mur, w każdym razie Tobias nikogo nie dostrzegł. Z powodu chmur widoczność jest ograniczona. Zapowiada się nadzwyczaj chłodny wieczór jak na tę porę roku, tak przynajmniej mówili w telewizji, zanim zgasła. Komórka Tobiasa nie działa, mówi Wilmie, że ci ludzie pod bramą, chociaż są bandą komunistycznych leni, znają się na technologii. Musieli zdobyć listę rezydentów Ambrozji i dokonali dezaktywacji ich komórek.

– Mają beczki po oleju napędowym – relacjonuje Tobias. – W środku pali się ogień. Robią hot dogi. Przypuszczam, że piją też piwo.

Wilma nie miałaby nic przeciwko hot dogowi. Wyobraża sobie, jak idzie do demonstrantów i uprzejmie pyta, czy mogliby ją poczęstować. Bez trudu wyobraża też sobie odpowiedź.

Około siedemnastej niewielka grupka rezydentów dworu Ambrozja wymaszerowuje frontowymi drzwiami. Jest ich zaledwie piętnastka. Ustawiają się w sześć par i jedną trójkę, jak na procesję: tłum przed bramą nieruchomieje, obserwują. Tobiasz donosi, że ktoś z ambrozjan znalazł megafon; to Jo-Anne. Padają rozkazy, ale okno tłumi słowa. Pary ruszają przed siebie, co pewien czas przystając.

– Dotarli do bramy? – pyta Wilma. Tak bardzo pragnęłaby to wszystko zobaczyć! Jak mecz piłkarski, kiedy jeszcze chodziła do liceum! Napięcie, rywalizujące drużyny, megafony. Wilma zawsze siedziała na widowni, nigdy nie uczestniczyła w grze, bo dziewczyny nie grały w piłkę, ich rola polegała na gapieniu się. Oraz na tym, by nie znać dokładnie reguł, jak ona teraz.

Napięcie sprawia, że serce bije jej szybciej. Jeżeli grupie Jo-Anne uda się przejść, pozostali mogą się zorganizować i zrobić to samo.

– Tak – potwierdza Tobiasz. – Ale coś się stało. Wydarzył się wypadek.

– Jak to? – pyta Wilma.

– Niedobrze. Wracają.

– Biegną – pyta Wilma.

– Na tyle, na ile mogą – odpowiada Tobiasz. – Poczekamy do zmierzchu. Potem musimy szybko stąd odejść.

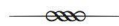
– Nie damy rady! – niemal zawodzi Wilma. – Nie przepuszczą nas!

– Możemy opuścić dom i poczekać na terenie ośrodka. Tamci w końcu sobie pójdą. Wtedy nic nas nie zatrzyma.

– Ale oni nie zamierzają odejść! – mówi Wilma.

– Odejdą, kiedy wszystko się skończy – mówi Tobiasz. – Teraz coś zjemy. Otworzę tę puszkę fasoli. Nigdy nie przestało mnie zdumiewać, że ludzkości nie udało się wynaleźć otwieracza do konserw, który by działał. Nikt go nie udoskonalił od czasów wojny.

Co masz na myśli, mówiąc, że się skończy, chce zapytać Wilma, lecz tego nie robi.



Wilma przygotowuje się do wycieczki. Tobiasz powiedział jej, że będą musieli spędzić na dworze kilka godzin, może nawet dni, to zależy. Wilma wkłada

zapinany sweter, sięga po szal i biszkopty; nie zapomina o lupie jubilerskiej oraz o czytniku, na tyle lekkim, że da się go nosić. Martwi się drobiazgami, wie, że to drobiazgi, ale co dziś w nocy ma począć z zębami, ze swymi drogimi zębami? Co z bielizną osobistą? Nie mogą wziąć ze sobą zbyt wiele, mówi Tobias.

Oto wyruszają – jak myszy w blasku księżyca. To dobra pora, mówi Tobias. Prowadzi Wilmę za rękę tylnymi schodami, potem korytarzem do kuchni, przez magazyn, obok pojemników na śmieci. Każdy etap podróży nazywa, żeby Wilma wiedziała, gdzie się znajdują; przystaje na każdym progu.

– Nie martw się – mówi. – Nikogo tu nie ma. Wszyscy odeszli.

– Ale ja coś słyszałam – szepcze Wilma zgodnie z prawdą. – Usłyszała szmer, krzątanie. Popiskiwanie jakby cichutkich, przenikliwych głosików: czyżby ludziki w końcu zaczęły do niej mówić? Serce bije jej drażniąco szybko. Czy to smród, zwierzęcy smród zgnilizny, jakby przegrzanej skóry na głowie, niemytych pach?

– To szczury – wyjaśnia Tobias. – W takich miejscach zawsze kryją się szczury. Wiedzą, kiedy bezpiecznie jest wyjść. Sądzę, że są sprytniejsze od nas. Weź mnie pod rękę, tu jest stopień.

Wyszli tylnym wyjściem, są na zewnątrz. W oddali słyhać głosy, skandowanie, musi dobiegać od tłumu przed frontową bramą. Co oni mówią? „Już pora. Szybko, nie powoli. Pal się, maleństwo, pal. Nasza kolej”. Złowrogi rytm.

Ale to wszystko dobiega z daleka, tu, na tyłach dworu, panuje cisza. Powietrze jest świeże, noc chłodna. Wilma niepokoi się, że ktoś ich zauważy, weźmie za uciekinierów z oddziału wspomaganego zaawansowanego, ale oczywiście nikogo nie ma. Żadnych ludzi z beagle'ami. Tobias oświetla sobie drogę latarką i tym samym pokazuje Wilmie, którądy ma iść; na przemian gasi i zapala światelko.

– Są świetliki? – pyta szeptem Wilma. Ma taką nadzieję, bo jeśli nie są to robaczki świętojańskie, to czym są punkciki światła na peryferiach jej widzenia pulsujące jak sygnałówki? Czy to nowa anomalia neurologiczna, czy w jej mózgu robią się zwarcia jak w tosterze upuszczonym do wanny?

– Mnóstwo świetlików – odpowiada szeptem Tobias.

– Dokąd idziemy?

– Zobacysz, jak dotrzemy na miejsce.

W głowie Wilmy kiełkuje niegodna, potem zaś przerażająca myśl. A jeśli Tobias to wszystko zmyślił? Jeśli przy bramach nie ma żadnych demonstrantów

z twarzami dzieci? Jeśli to wszystko jest zbiorową halucynacją, jak posągi płaczące krwią albo Najświętsza Panienka w chmurach. Albo jeszcze gorzej: co, jeśli to wszystko jest wyszukanym podstępem, żeby Tobias mógł ją udusić? Co, jeśli on jest zbrojnym zabójcą?

Tylko co w takim razie z audycjami w radiu? Bez trudu można je spreparować. A Noreen i Jo-Anne, kuchnia, w której gotowały zupę? To mogli być opłaceni aktorzy. A skandowanie, która Wilma teraz słyszy? Nagranie. Albo grupa studentów – chętnie by skandowali za najniższą stawkę. Dobrze zorganizowany szaleniec z pieniędzmi bez trudu mógłby to wszystko urządzić.

Za dużo kryminałów, mówi sobie Wilma. Gdyby chciał cię zabić, mógł to zrobić już wcześniej. Zresztą nawet jeśli Wilma się nie myli, nie może wrócić: nie miałaby zielonego pojęcia dokąd.

– Jesteśmy – mówi Tobias. – Pierwszorzędne miejsca. Tu będzie nam całkiem wygodnie.

Znajdują się w jednej z altan, tej najbardziej po lewej. Z altany stojącej nad ozdobnym stawem według Tobiasa widać część głównego wejścia do dworu Ambrozja. Przyniósł lornetkę.

– Poczęstuj się orzeszkami – mówi.

Słysząc szelest opakowania, Tobias sypie jej na dłoń garstkę jajowatych drobin. Napawają taką otuchą! Panika ustępuje. Wcześniej Tobias schował w altanie koc oraz dwa termosy z kawą. Teraz je wyjmuje i robią sobie tradycyjny piknik. I tak jak podczas dawniejszych, ledwo pamiętanych pikników, na które jeździła z młodymi mężczyznami – wieczory przy ognisku z hot dogami i piwem – w ciemności formuje się ręka, która ukradkiem, lecz pewnie obejmuje ramiona Wilmy. Czy ta ręka naprawdę tam jest, czy sobie ją wyobraża?

– Ze mną jesteś bezpieczna, droga pani – mówi Tobias.

Wszystko jest względne, myśli Wilma.

– Co oni teraz robią? – pyta i przechodzi ją lekki dreszcz.

– Przewalają się – odpowiada Tobias. – Najpierw jest przewalanie, potem wynoszenie ludzi. – Troskliwie otula ją kocem.

Na poręczy altany, której Wilma nie widzi, stoją w rzędzie ludziki, mężczyźni i kobiety w wyblakłych kostiumach z czerwonego aksamitu o przepysznej, złoczonej fakturze. Ludziki przechadzają się szacownie parami, ramię w ramię, przystają,

odwracają się, kłaniają i dygają, znowu ruszają przed siebie, złote paluszki u stóp sterczą. Kobiетки mają na głowach korony z motyli skrzydełek, mali panowie noszą mitry biskupie. Na pewno słyszą muzykę niesłyszalną dla ludzkiego ucha.

– Zaczyna się – informuje Tobias. – Pierwsze płomienie. Mają pochodnie, niewątpliwie także materiały wybuchowe.

– Ale inni... – mówi Wilma.

– Innym w żaden sposób nie mogę pomóc – odpowiada Tobias.

– A co z Noreen, co z Jo-Anne. One nadal są w środku. One... – Wilma spostrzega, że kurczowo ściska własne dłonie. Wydaje jej się, że należą do kogoś innego.

– Tak było zawsze – mówi Tobias z żalem. Czy może chłodno? Wilma nie potrafi powiedzieć.

Pomruk tłumu narasta.

– Weszli do środka – informuje Tobias. – Pod drzwiami wznoszą sterty z różnych rzeczy. To chyba boczne drzwi. Nie chcą dopuścić, by ktokolwiek wyszedł z domu ani ktokolwiek do niego wszedł. Wtaczają przez bramę beczki po oleju, zaparkowali samochód na frontowych schodach, żeby uniemożliwić wszelkie próby ucieczki.

– To mi się nie podoba – mówi Wilma.

Nagły łoskot. Gdyby tylko to były fajerwerki.

– Dwór płonie – oznajmia Tobias.

Słyszą wysokie przenikliwe wrzaski. Wilma zasłania dłońmi uszy, ale nadal słyszy. Krzyki rozbrzmiewają, najpierw głośne, potem coraz cichsze.

Kiedy przyjadą pierwsze wozy strażackie? Nie słyszą syren.

– Nie zniosę tego – mówi Wilma.

Tobias poklepuje ją po kolanie i pociesza:

– Może wyskoczą przez okno.

– Nie, nie wyskoczą – odpowiada Wilma. Gdyby była na miejscu tamtych, na pewno by nie wyskoczyła. Po prostu by się poddała. Zresztą, najpierw załatwi ich dym.

Ogień się rozprzestrzenia. Płomienie są takie jasne. Wilma widzi je, nawet patrząc prosto. Z filującymi, bijącymi w górę płomieniami łączą się ludziki,

czerwone stroje żarzą się od środka, są szkarłatne, pomarańczowe, żółte, złote.  
Wirują, są takie radosne! Ludziki spotykają się, rozdzielają w powietrznym tańcu.  
Patrzcie. Patrzcie. Śpiewają!



## PODZIĘKOWANIA

Dziewięć opowieści [*tales*] zawartych w tym tomie zawdzięcza wiele opowieściom powstającym przez wieki. Dzięki nazwaniu krótkiego utworu „opowieścią” przynajmniej odrobinę odsuwa się go od dzieł opowiadających o przyziemnej codzienności, przywołuje się bowiem świat opowieści ludowych, opowieści pełnych cudów oraz dawnych opowiadaczy. Możemy bezpiecznie założyć, że wszystkie *tales* są fikcją, podczas gdy „opowiadanie” [*story*] może być zarówno prawdziwą historią o czymś, co zgadzamy się nazywać „prawdziwym życiem”, jak i krótką formą utrzymaną w ramach realizmu społecznego. Sędziwy Marynarz snuje opowieść. „Daj mi miedziaka, a złotą opowiem ci opowieść”, jak lubił mawiać nieżyjący Robertson Davies.

Niektóre z tych dziewięciu utworów są opowieściami o opowieściach – wam pozostawiam odkrycie które. Trzy z nich ukazały się wcześniej drukiem.

Praca nad tytułowym *Kamiennym posłaniem* zaczęła się na Arktyce Kanadyjskiej, zabawiałam tą historią towarzyszy podróży. Swój wkład w ten utwór wniósł Graeme Gibson, który uknuł plan zabicia człowieka podczas podobnego rejsu tak, by zabójcy uszło to na sucho. Ponieważ wszyscy pasażerowie byli ciekawi, jak się potoczy akcja (szczególnie zainteresowanych było kilku Bobów na pokładzie), ukończyłam ją. *Kamienne posłanie* ukazało się w „The New Yorker” (19 i 26 grudnia 2011), za co dziękuję redaktorce Deborze Triesman.

*Wybryk natury* napisałam dla Michaela Chabona, który kompletował zbiór osobliwych opowieści. Ukazały się pod jego redakcją jako *McSweeney’s Enchanted Chamber of Astonishing Stories*, Vintage Books (2004).

*Śni mi się Zenia o czerwonych zębach* powstała dla „The Walrus” (lato 2012). Pisarze mieli za zadanie wrócić do postaci ze swoich wcześniejszych utworów – mój wybór padł na Zenię oraz jej przyjaciółki i ofiary oszustwa: Ros, Charis, i Tony, bohaterki *Zbójeckiej narzeczonej*.

Jak zwykle dziękuję redaktorom: Ellen Seligman z McClelland & Stewart, Random House (Kanada), Nan Talese of Doubleday, Random House (USA)

i Alexandrze Pringle z Bloomsbury (Wielka Brytania). Dziękuję też korektorce Heather Sangster ze Strongfinish.ca.

Podziękowania należą się także pierwszym czytelnikom: Jess Atwood Gibson i Phoebe Larmore, mojej agentce na Amerykę Północną, oraz moim agentkom z Wielkiej Brytanii: Vivienne Schuster i Karolinie Sutton z Curtis Brown.

Dziękuję ponadto Betsy Robbins i Sophie Baker z Curtis Brown, które zajmują się prawami zagranicznymi, oraz Ronowi Bernsteinowi z ICM. Dziękuję Louise Dennys z Vintage, LuAnn Walther z Anchor, Lennie Goodings z Virago oraz moim licznym agentom i wydawcom na świecie. Dziękuję też Alison Rich, Ashley Dunn, Madeleine Feeny i Judy Jacobs.

Dziękuję: Suzannie Porter, Sarah Webster, Laurze Stenberg, Penny Kavanaugh, VJ Bauer, Joelowi Rubinovichowi i Sheldonowi Shoibowi. Dziękuję także Michaelowi Bradleyowi, Sarze Cooper, Coleen Quinn i Xiaolan Zhao. Dziękuję Uniwersytetowi Wschodniej Anglii – w szczególności Andrew Cowanowi, oraz Writers' Centre of Norwich, a zwłaszcza Chrisowi Gribble'owi – gdzie spędziłam część semestru jako City of Literature Visiting Professor i gdzie zostały ukończone dwie opowieści.

Na koniec dziękuję Graeme'owi Gibsonowi, który zawsze ma przebiegły umysł.

## PRZYPISY

- [1] A. Tennyson, *Ulisses*, tłum. J. Pietrkiewicz, w: *Poeci języka angielskiego*, t. 2, PIW, Warszawa 1971 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- [2] W. Szekspir, *Ryszard III*, akt IV, scena 3, tłum. J. Paszkowski, <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/krol-ryszard-iii.html>.
- [3] Aluzja do słów Hamleta: „Piękna Ofelia! – Nimfo, w modłach swoich pomnij o moich grzechach”. W. Szekspir, *Hamlet*, akt III, scena 1, tłum. J. Paszkowski, <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/hamlet.html>.
- [4] Francis James Child był amerykańskim badaczem folkloru. Jego zbiór angielskich i szkockich ballad znany jest jako *Child's Ballads*.
- [5] Por. W. Szekspir, *Hamlet*, akt III, scena 1, przeł. J. Paszkowski, dz. cyt.
- [6] A. Tennyson, *Ulisses*, tłum. J. Pietrkiewicz, dz. cyt.
- [7] „Between the dark and the daylight, When the night is beginning to lower” – początek wiersza H.W. Longfellowa *The Children's Hour*.
- [8] „Just a song at twilight” – pierwszy wers refrenu piosenki *Love's Old Sweet Song* (muzyka J.L. Molloy, słowa G. Clifton Bingham). Liczne odniesienia do tego utworu znajdujemy w *Ulissesie* Jamesa Joyce'a.
- [9] Ostatnie dwa wersy tej piosenki.
- [10] „She is older than the rocks among which she sits; like the vampire, she has been dead many times, and learned the secrets of the grave” – „Ona jest starsza niż skały, pośród których siedzi; niczym wampir umierała wiele razy i poznała tajemnice grobu”. Tak o Mona Lizie pisał Walter Pater, angielski pisarz, krytyk sztuki w tekście *Leonardo da Vinci*.
- [11] Sex shop Condom Shack przy 231 Queen Street West w Toronto, który był swoistą ikoną, został zamknięty 15 stycznia 2018 roku po 25 latach działalności.
- [12] A. Tennyson, *Ulisses*, tłum. J. Pietrkiewicz, dz. cyt.
- [13] J. Keats, *Oda do urny greckiej*, tłum. M. Froński.

[14] T. Hobbes, *Lewiatan*, tłum. C. Znamierowski, PWN, Warszawa 1954.

[15] J. Milton, *Samson walczący*, tłum. M. Sprusiński, PIW, Warszawa 1977, s. 83.

[16] Sugestia, że słowo *croissant* pochodzi od *crescent*, „półksiężyc”.

[17] M. Mitchell, *Przeminęło z wiatrem*, tłum. C. Wieniawska, Czytelnik, Warszawa 1976, s. 29.

# Spis treści

Alphinlandia

Zjawa

Mroczna Pani

Wybryk natury

Liofilizowany pan młody

Śni mi się Zenia o czerwonych zębach

Martwa dłoń cię kocha

Kamienne posłanie

Wypalanie kotów z kurzu

Podziękowania

Przypisy

Spis treści

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału  
THE STONE MATTRESS

Projekt okładki  
*Karolina Żelazińska*

Redakcja  
*Katarzyna Makaruk*

Korekta  
*Dorota Jabłońska*  
*Halina Stykowska*

Copyright © 2014 by O.W. Toad, Ltd.  
All rights reserved.

Copyright © for the Polish translation by Paweł Lipszyc, 2019  
Copyright © for the Polish edition by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2019

ISBN 978-83-8032-401-5



Wielka Litera Sp. z o.o.  
ul. Kosiarzy 37/53  
02-953 Warszawa

Odwiedź  
nas na 

### **POBIERZ NA TELEFON APLIKACJĘ WIELKA LITERA AR**

Aplikacja WielkaLitera wykorzystuje technologię rozszerzonej rzeczywistości (AR) i umożliwia odtwarzanie wideo, audio oraz e-booków, a także przekierowuje na wybrane strony www. Aplikacja WielkaLitera jest dostępna w wersjach na [Android](#) oraz [iOS](#). Pobierz ją za darmo i zobacz więcej.



Konwersja: [eLitera s.c.](#)